

105
SILVIO PELLICO

MOJE WIĘZIENIA

Przetłumaczył z włoskiego

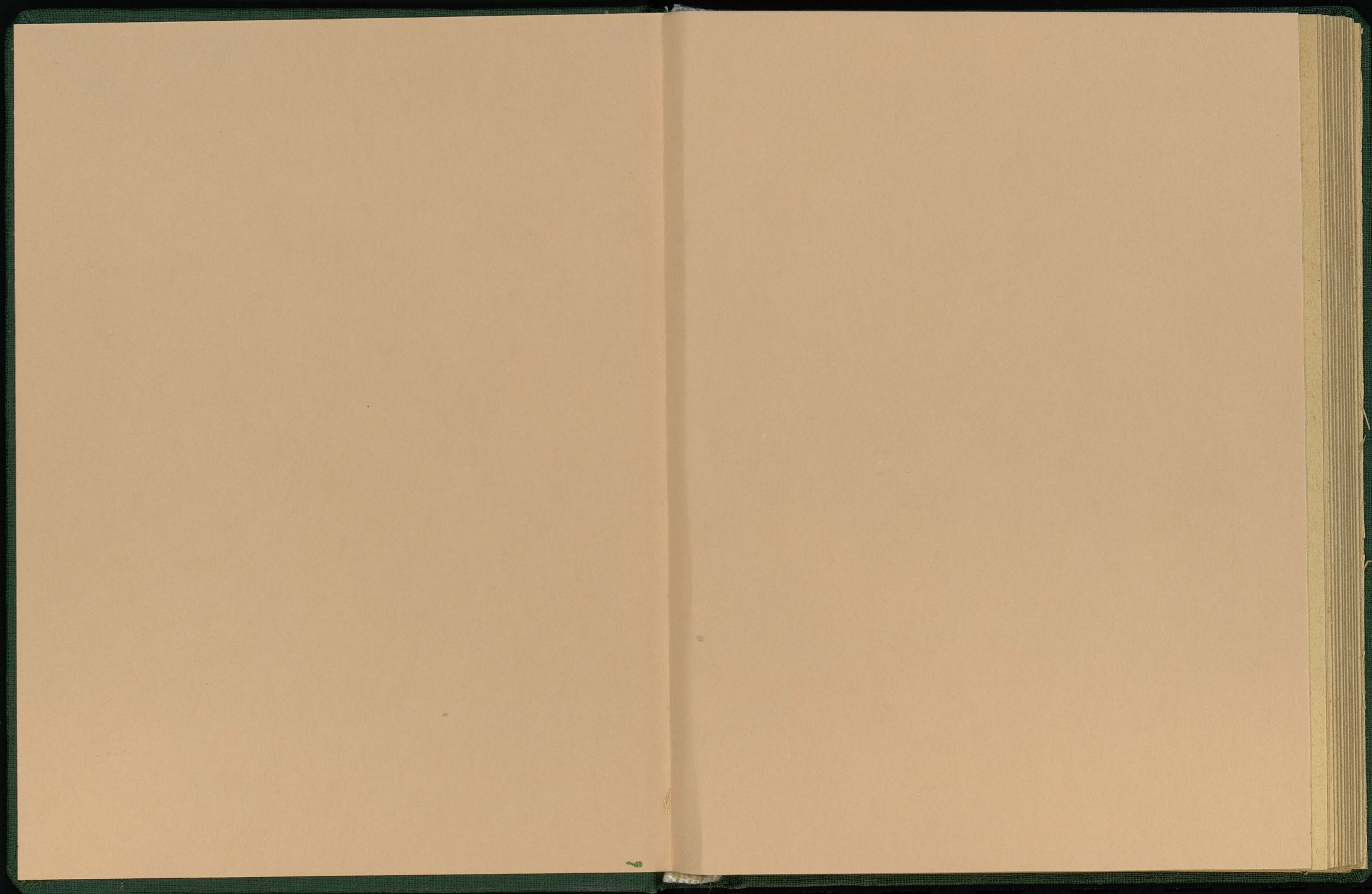
JAN ZAMOYSKI

PARYŻ

DRUKARNIA M. FLINIKOWSKIEGO

216, BOULEVARD RASPAIL, 216

—
1917



SILVIO PELLICO

MOJE WIĘZIENIA

Przetłóżył z włoskiego

JAN ZAMOYSKI

PARYŻ

DRUKARNIA M. FLINIKOWSKIEGO

216, BOULEVARD RASPAIL, 216

—
1917



CZYTELNIĄ KSIĄŻEK

343.26-052: 321.64(436): 821.131.1(034)"8"
323-051(450)"18"

Silvio Pellico, słynny pisarz i poeta włoski, syn poety Honorata Pellico, urodził się 1789 r. w Saluzzo w Piemontcie, zmarł 1854 w Turynie.

Ciężkie było wówczas dla Włochów jarzmo austriackie. Cenzura w każdym najniewinniejszym utworze literackim wietrzyła bunt. « Ilekoć baran beknął, wilk zadrżał, sądząc, że to ryk lwa ». Tak ówczesne położenie określał Marc Monnier.

Silvio Pellico z kilku przyjaciółmi założył pismo literackie *Il Consiliatore*, które się polityką nie zajmowało. Fałszywie posądzony o karbonaryzm, został uwięziony w 1820 r. Przewieziony do Wenecyi i osadzony w sławnym więzieniu pod ołowianym dachem « sotto i piombi », po śledztwie tajnem bez dopuszczenia ani obrońcy, ani zwykłych dowodów prawnych, skazany na śmierć i « ułaskawiony » na 15 lat ciężkiego więzienia, odstawiony został do fortecy Spielberg, gdzie ciężko chory na piersi, w kajdanach, przesiedział do 1830 roku.

Przeprawy swe i cierpienia przebyte opisał on w dziele *Le mie prigioni*. (Moje więzienia), wydanem w 1833 r., które nie małe w Europie sprawiło wrażenie.

Oby wytrwałość w wierze, nadziei i miłości szlachetnego męczennika otuchy dodały rodakom obecnie w niewoli będącym. Oby przykład jego niezachwianej wierności, przez tyle lat ciężkiej niewoli, utwierdził w nich skuteczną wolę służenia ojczyźnie choć tem, czem i w niewoli każdy usłużyć może i powinien. Niech zachowaniem się swoim zdobędą dla Polski u Boga miłosierdzie, u ludzi cześć i uznanie. Tem gorącym życzeniem przejęty, dzieje męczeńskie sławnego więźnia stanu włoskiego przełożył

Jan ZAMOYSKI.

MOJE WIĘZIENIA

I

W piątek 13 Października 1820 roku aresztowano mnie w Medyolanie i zaprowadzono do więzienia Santa-Margherita. Była trzecia po południu. Cały ten dzień jak i następne spędziłem na badaniach bez końca, ale o tem się rozpisywać nie myślę; politykę odkładam na bok i będę mówił o czem innem.

W ten niieszczęsny piątek, o 9-tej wieczór oddano mnie w ręce dozorczy więziennego, który zaprowadziwszy mnie do przeznaczonej mi celi, zwrócił się bardzo grzecznie do mnie i prosił o oddanie mu zegarka, pieniędzy, słowem wszystkiego, co miałem przy sobie, obiecując, że w czasie właściwym będzie mi wszystko zwrócone; następnie, życząc mi dobrej nocy, chciał odejść, kiedym go zatrzymał, mówiąc: « Mój kochany, nie miałem nic w ustach dzisiaj, każ no mi coś przynieść. — Zaraz, oberża jest tuż obok, a zobaczy pan jakie dobre wino. — Ja wina nie pijam ». Spojrzał na mnie z przerażeniem; miał jednak nadzieję, że żartuję. Strażnicy więzienni, trzymający karczmę, mają w wysokiej pogardzie więźniów, którzy wina nie piją. « Na prawdę, ja wina nie pijam. — Żal mi pana, podwójnie ciężać ci będzie samotność ». W niespełna półgodziny podano mi obiad. Zjadłem nieco, napiłem się wody i zostałem sam. Cella była na parterze, od dziedzińca, z więzieniami na prawo, na lewo, na przeciw, nademną. Przybliżyłem się do okna i stałem czas jakiś, przysłuchując się krokom przechodzących stróżów i dzikim śpiewom kilku więźniów.

Myślałem: « Temu sto lat był tu klasztor. W celach tych wówczas dawały się słyszeć tylko westchnienia niewieście lub

pieśni pobożne. Czyż świątobliwe dziewice, pokutnice, które zajmowały te cele, mogły przewidzieć, że w nich rozlegać się będą dzisiaj tylko bluźnierstwa i śpiewy ohydne? Czyż mogły sobie wystawić, że będą je zamieszkiwali wszelkiego rodzaju skazańcy, przeznaczeni do ciężkich robót, lub na powieszenie? A za drugie sto lat, któż tu będzie? O, jakże prędko czas ucieka! O, jakże wszystko wiecznie zmienne! O, wieczne przeistaczanie się rzeczy! Kto się nad tem zastanowi, czyż może się martwić, jeżeli los przestaje mu sprzyjać, jeżeli w więzieniu zagrzebany, lub zagrożony szubienicą? Wczoraj należałem do szczęśliwych tego świata. Dziś pozbawiony jestem wszystkiego, co mi życie upiększało, bez wolności, bez przyjaciół, bez nadziei. Łudzić się byłoby szaleństwem. Nie wyjdę stąd, chyba na to, by być wrzuconym w okropniejsze jeszcze lochy, albo oddanym w ręce kata!

I cóż? nazajutrz po mej śmierci, będzie mi zupełnie tak samo, jak gdybym był umarł w pałacu i był pochowany z największymi zaszczytami.

Takie rozmyślanie wzmacniały mnie na duchu. Ale wnet przypomnieli mi się: ojciec, matka, dwaj bracia, dwie siostry i inna rodzina, którą miłowałem, jak własną, a rozumowania filozoficzne straciły wszelką wartość. Rozrzewniłem się i rozpłakałem jak dziecko.

II

Przed trzema miesiącami byłem w Turynie i po kilku latach rozłąki, odwiedziłem moich drogich rodziców, jednego z braci i dwie siostry. Cała nasza rodzina tak się zawsze kochała! Żaden syn nie był bardziej odemnie obsypany dobrodziejstwami przez Ojca i Matkę! Jakże byłbym pragnął już ich nie opuszczać i stać się podporą ich starości! W tych paru

dniach, które przebyłem w Turynie, ileż kosztowały mnie obowiązki, które miałem do spełnienia, a które trzymały mnie zdala od domu rodzicielskiego i tylko tak mało czasu pozostawiały mi dla ukochanych rodziców. Moja biedna matka mawiała z gorzkim wyrzutem: « Ach nasz Silvio nie przyjechał, by się z nami widzieć! » W dzień mego wyjazdu do Medyolanu, rozstanie nasze było rozdzierające. Mój ojciec siadł ze mną do powozu i towarzyszył mi milę drogi, poczem wrócił sam. Kilka razy odwracałem się, żeby go jeszcze dojrzeć, płakałem i całowałem pierścień, który mi matka dała; nigdy nie doznałem takiej męki, opuszczając rodziców.

Nie wierząc w przecucia, a nie mogąc opanować cierpienia, zapytywałem siebie, skąd może pochodzić ten gwałtowny niepokój? I zdawało mi się, że mi grozi jakieś wielkie niebezpieczeństwo.

A teraz, w więzieniu, groza ta stawiała mi przed oczyma; przypominałem sobie każde słowo, temu trzy miesiące wypowiedziane przez rodziców. Ta bolesna skarga mojej matki « Ah! nasz Sylwio nie przyjechał do Turynu, żeby się z nami widzieć! » ciążyła mi na sercu. Wyrzucałem sobie, że nie byłem tysiąc razy czulszy dla nich, że kochając ich tak bardzo, tak mało im to okazywałem. Nie miałem już więcej oglądać tych drogich rysów, a tak mało nasyciłem się ich widokiem, tak skąpe miłości mojej dawałem dowody.

Myśli te rozdzierały mą duszę. Zamknąwszy okno, poczęłem chodzić po celi, czując, że tej nocy chwili spokoju mieć nie będę. Wreszcie rzuciłem się na łóżko i ze znużenia zasnąłem.

III

Po pierwszej nocy spędzonej w więzieniu, przebudzenie się jest czemś strasznym. Czyż to jest możliwe? Ja tu? Więc to nie

sen? Więc mnie wczoraj aresztowano? Więc mnie wczoraj poddano temu długiemu badaniu, które się jutro powtórzy i trwać będzie kowie jak długo? Więc to wczoraj przed zaśnięciem płakałem tak długo, myśląc o rodzicach.

Spoczynek, zupełna cisza, krótki sen, który odświeżył moje siły umysłowe, jakby spotęgowały we mnie możność cierpienia. Z niepojętą siłą przedstawiło się mojej wyobraźni zmartwienie, wszystkich mi drogich a mianowicie ojca i matki, na wieść o mojem aresztowaniu. W tej chwili — mówiłem sobie — śpią jeszcze, albo też przebudzeni, myślą czule o mnie, a nie domyślają się, gdzie jestem. Jakże by byli szczęśliwi, gdyby ich Pan Bóg powołał do siebie, zanim dojdzie do Turynu wieść o mojem nieszczęściu! Któż im da siłę do zniesienia tego ciosu? Głos wewnętrzny zdawał się odpowiadać: Ten, którego wszyscy strapieni wzywają, kochają i w sobie czują. Ten, który dał Matce siłę towarzyszenia Synowi na Golgotę i stania pod Jego krzyżem! Przyjacieli! nieszczęśliwej śmiertelnej ludzkości!

Ta to była pierwsza chwila, w której religia stała się panią mego serca, a dobrodziejstwo to zawdzięczam miłości synowskiej.

Do tej pory nie będąc wrogiem religii, stosowałem się do niej mało i źle. Pospolite zarzuty, które mi się ją zwalczać zwykło, nie zdawały mi się zbyt poważne, jednak tysiączne, sofistyczne wątpliwości osłabiały wiarę moją. Już od dawna te wątpliwości nie odnosiły się do istnienia Boga; powtarzałem sobie ustawicznie, że jeżeli Bóg istnieje, koniecznem następstwem jego sprawiedliwości musi być inne życie dla człowieka, który cierpi na tym świecie tak niesprawiedliwym. Stąd niezłomna potrzeba pragnienia tego, co dać ma to drugie życie; stąd miłość Boga i bliźniego, ciągła żądza uszlachetniania duszy przez poświęcenie. Dawno sobie to powtarzałem i dodawałem: « A czemże jest chrześcijaństwo, jeżeli nie tem stałem dążeniem do

uszlachetniania się? » I zdumiewało mnie jak, wobec tak czystej, filozoficznej, niezbitej istoty chrześcijaństwa, nastać mógł czas, w którym filozofia śmiała się z tem odezwać, że jego miejsce zajmie. I jak to miejsce zajmuje? Czy szerząc zepsucie? Nie. Cnotę? No to będzie miłość Boga i bliźniego; będzie to samo, czego chrześcijaństwo uczy.

Chociaż takie miałem od kilku lat uczucia, wstrzymywałem się od wniosku: « Bądźże ze sobą w zgodzie, bądźże chrześcianinem. Nie daj się już gorszyć nadużyciami. Nie cedź trudnych ustępów nauki kościoła, kiedy najważniejszym i najjaśniejszym jest to, że masz kochać Boga i bliźniego.

W więzieniu ostatecznie postanowiłem taki wniosek wyciągnąć. Wahałem się trochę na myśl, że gdyby się kto miał dowiedzieć, że się stałem pobożniejszym, niż przedtem, poczuwałby się do obowiązku, uważania mnie za obłudnika, spodłonego nieszczęściem. Ale, czując, że nie byłem ani obłudnikiem, ani spodlonym, postanowiłem nic sobie nie robić z możliwego niezasłużonego potępienia i odtąd być i głosić się chrześcianinem.

IV

Utrzymałem się stanowczo przy tem postanowieniu dopiero później, ale począłem zastanawiać się nad niem i niejako pragnąć go już w tę pierwszą noc więzienia. Nad ranem złości moje uspokoiły się i sam zdumiewałem się nad niemi. Myślałem ciągle o rodzicach i o innych ukochanych i nie wątpiłem już w siłę ich ducha, a pamięć cnotliwych uczuć, które przy innych sposobnościach w nich poznałem, pocieszała mnie.

Dlaczego odczuwałem przedtem taki niepokój na myśl o ich smutku? Czy ta szczęśliwa zmiana cudem była? Czy to był

naturalny skutek ożywionej mojej wiary w Boga? A cóż to szkodzi, czy cudem nazwać czy nie, prawdziwe szczytne korzyści religii?

O północy, dwaj stróże zastali mnie w złym humorze. Powróciwszy o świcie znaleźli mnie w usposobieniu nieco weselszem, z pogodnem czołem. — « Tej nocy, rzekł Tirola, miałeś pan wzrok bazyliszka, ale teraz jakaż zmiana; bardzo się cieszę. Dowód to, że się tak wyrażę, że nie jesteś łotrem. Dawno jestem dozorcą i spostrzeżenia moje coś warte. Łotry są wścieklejsi drugiego dnia po aresztowaniu niż pierwszego. Czy pan zażywał tabakę? — Nie mam tego zwyczaju, ale nie chcę panu odmówić. Co do pańskiej uwagi, nie jest ona godna człowieka mądrego, jakim się pan być zdajesz. Jeżeli nie mam dziś rano spojrzenia bazyliszka, czy nie byłoby to skutkiem szaleństwa, lub łatwości łudzenia się i marzenia o przyszłym uwolnieniu?

— Mogłbym to przypuszczać, gdybyś pan tu siedział dla innych powodów; ale co się tyczy spraw stanu, w dzisiejszych okolicznościach nie można przewidywać, że się prędko skończą i pan nie jesteś tak naiwny, żeby sobie to wystawiać. Przepraszam pana. Może pan zechce drugi raz zażyć tabaki? — Proszę. Ale jak pan możesz być tak wesołym, spędzając życie z nieszczęśliwymi? — Pan myślisz może, że to skutkiem zubożenia dla nędzy ludzkiej; sam nie wiem doprawdy, ale mogę pana zapewnić, że często, na widok płaczących, serce mi się krajało, czasem udaję wesołego, żeby więźniów rozweselić. — Nigdybym nie myślał, że można być dozorcą więziennym, a zarazem pocziwym człowiekiem. — To nic nie przeszkadza, panie. Z tamtej strony tego dziedzińca, jest inne podwórze i inne więzienia dla kobiet. Są to... kobiety złego prowadzenia. Otóż, panie, pomiędzy nimi są anioły co do serca, i gdyby pan był dozorcą... — Ja! » ... Parsknąłem śmiechem. Tirola zmieszany zamilkł. Może pomyślał, że gdybym był dozorcą, trudno by mi było nie

przywiązać się do której z tych nieszczęśliwych. Zapytał, czego pragnę na śniadanie, wyszedł i po krótkiej chwili przyniósł kawę.

Patrzyłem na niego z uśmiechem, chcąc mu dać do zrozumienia, że chciałbym napisać do drugiego nieszczęśliwca, do mojego ukochanego Piero. Odpowiedział mi również uśmiechem, który znaczył: nie, jeżeli się udasz do którego z moich kolegów, a ten przystanie, bądź pewien, że cię zdradzi. Nie jestem zupełnie pewny, że mnie zrozumiał, ani że ja go rozumiałem. To wiem, że dziesięć razy o mało nie poprosiłem go o kawałek papieru i ołówkę, ale nie śmiałem, bo coś w oczach jego było, co zdawało się przestrzegać, by nikomu nie ufać — a jeszcze mniej innym, niż jemu.

Gdyby Tirola, przy dobrodusznym wyrazie twarzy, nie był, z pod oka tak przebiegle spoglądał, gdyby był miał szlachetniejszy wygląd, byłbym uległ pokusie i uczynił go pośłem moim, a może kartka, na czas doręczona mojemu przyjacielowi, byłaby mu umożliwiła naprawę jakiej myłki, i to by było może uratowało nie jego, biedaka, o którym już za wiele wiadano, ale kilku innych i mnie. Cierpliwości! Tak być miało.

V

Wezwano mnie ponownie na śledztwo, które trwało dzień cały i szereg dni następnych bez przerwy, prócz pory obiadowej.

Póki się śledztwo toczyło, dni płynęły szybko dla mnie, dzięki wysiłkowi umysłu, spowodowanemu koniecznością odpowiadania bez końca na pytania najróżnorodniejsze i skupiania myśli, w godzinach obiadowych i wieczorami, by się zastanowić nad wszystkim, o co mnie pytano, nad tem com odpowiedział i nad wszystkim, o co mogłem jeszcze prawdopodobnie być pytanym.

Na końcu pierwszego tygodnia ciężka mnie przykreść spotkała: Mój biedny Piero, spragniony, jak i ja, porozumienia się ze mną, napisał do mnie kartkę i użył do przesłania jej, nie żadnego ze stróżów, ale biednego siedmdziesięcioletniego starca, który, odbywając kilkomiesięczną karę, pomagał w sprzątaniu naszych cel. Szpilką, którą zakłułem palec i krwią napisałem kilka słów, które oddałem posłańcowi.

Tego biedaka pilnowano i złapano z kartką a, jeżeli się nie mylę, dostał kije. Usłyszałem straszne jęki, zdaje się, że tego starca; już go więcej nie widziałem. Wezwany do kancelarii sądowej, struchlałem na widok mojej kartki, krwią zbroczonej, a która nikomu zaszkodzić nie mogła. Zapytano mnie, jak sobie krew puściłem. Zabrano mi szpilkę i śmiano się z tego, żeśmy złapani zostali. Ale ja się nie śmiałem, mając ciągle przed oczyma starego posłańca. Byłbym chętnie zgodził się na jaką bądź karę, pod warunkiem, że jemu będzie wina darowana; gdy usłyszałem jego, jak mi się zdawało, jęki, serce napełniło mi się łzami. Napróżno badałem kilkakrotnie moich dozorców. Kiwali głową i mówili: « Drogo go to kosztowało, już tego więcej nie zrobi ma teraz trochę więcej wypoczynku. » I nic więcej nie chcieli powiedzieć. Czy mówili o ciasniejszym więzieniu, do którego się biedak dostał; czy to miało znaczyć, że skonął pod kijami? Zdawało mi się jednak pewnego dnia, że go widziałem na końcu dziedzińca, pod zajazdem, dźwigającego drzewo na plecach. Serce zaczęło mi bić, jak gdybym był ujrzał rodzzonego brata.

VI

Gdy ustała mięka śledztwa i nic innego nie zajmowało dni moich, gorzko odczułem ciężar samotności. Prawda, że mi pozwolono mieć Biblię i Dantego; prawda, że

dozorca pozwolił mi korzystać ze swej biblioteki, która składała się z kilku powieści Scuderi, del Piazzii i gorszych; ale umysł mój był nadto wzburzony, bym mógł go zająć jakimkolwiek czytaniem. Uczyłem się codziennie na pamięć jednej pieśni Dantego, lecz to ćwiczenie było tak machinalne, że, ucząc się, mniej myślałem o wierszach, niż o mem nieszczęściu. Tak samo bywało, kiedy inne rzeczy czytałem, z wyjątkiem czasami, jakiego ustępu Biblii. Tę boską księgę zawsze bardzo kochałem, nawet kiedy mi się zdawało, że nie mam wiary; teraz przykładałem się do niej z większym niż kiedykolwiek uszanowaniem, ale jeszcze bardzo często, wbrew własnej woli, czytałem ją, mając umysł zajęty czem innym i nie rozumiałem. Po trochu wprowadziłem się do głębokiego zastanowienia się nad nią i z każdym dniem większe miałem w niej upodobanie.

To czytanie nie dawało mi najmniejszej skłonności do bigoterji, t. j. źle zrozumianej pobożności, która wytwarza małoduszność i fanatyzm. Przeciwnie, uczyła mnie miłowania Boga i ludzi, pragnienia coraz gorętszego sprawiedliwości, brzydzenia się niegodziwością, przebaczenia winowajcom. Chrześcijaństwo, zamiast zniszczyć korzyści, jakie mogłem zawdzięczać filozofii, utwierdzało je i wzmacniało moje przekonania powodami wyższymi i potężniejszymi.

Pewnego dnia, przeczytawszy, że trzeba się modlić nieustannie i że prawdziwa modlitwa nie polega na klepaniu mnóstwa słów na wzór pogan, ale na uwielbianiu Boga w prostocie ducha, tak czynem, jak i staraniem się, by jedno i drugie było wykonaniem jego świętej woli, postanowiłem rozpocząć naprawdę tę nieustającą modlitwę: to jest nie pozwolić sobie ani na jedną myśl, któraby nie była ożywiona pragnieniem zastosowania się do przykazań bożych.

Modlitwy powtarzałem zawsze te same, nie dlatego bym inne mi pogardzał, (przekonany jestem, że są one zbawienne, dla jedne-

go więcej, a dla drugiego mniej, by utrzymać uwagę w modlitwie), ale dlatego że nie jestem w stanie dużo słów powtarzać bez roztargnienia i zapomnienia o modlitwie właściwej.

Wola utrzymania się stale w obecności bożej była dla mnie nie męczącym wysiłkiem umysłu, ani powodem do bojaźni, lecz źródłem szczęścia. Nie zapominając o tem, że Bóg jest zawsze blisko nas, a raczej że my jesteśmy w Nim, codzień mniej odczuwałem mękę samotności: « Czyż nie jestem w najlepszym towarzystwie? » mówiłem sobie, i gwizdałem z przyjemnością i rozrzewnieniem.

No i coż, pomyślałem, czyż równie dobrze nie mogła mnie napisać jaka gorączka, która by mnie do grobu poniosła? A wszyscy moi drodzy, którzyby byli płakali, tracąc mnie, byłiby jednak zdobyli siłę pogodzenia się z moją nieobecnością. Zamiast grobu, więzienie mnie pochłonęło; czyż mam wierzyć, że Bóg nie byłby ich równą siłą obdarzył?

Serce moje wznosiło się ku niebu w najgorętszych życzeniach dla nich, niekiedy ze łzami; ale te łzy miały swoją słodycz. Miałem głęboką wiarę, że Bóg przyjdzie w pomoc im i mnie. I nie zawiodłem się.

VII

Życie na wolności daleko jest piękniejszym od życia więziennego; któż o tem wątpi? A jednak wśród przykrości więzienia, gdy się pomyśli, że Bóg jest obecny, że radości znikome, że prawdziwe dobro w sumieniu, a nie w przedmiotach zewnętrznych, można i tam odczuwać upodobanie do życia.

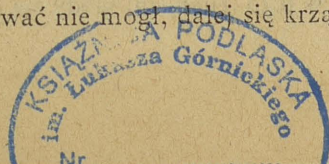
W niespełna miesiąc, pogodziłem się z moim losem, jeżeli niezupełnie, to przynajmniej w pewnej mierze. Widziałem, że nie chcąc popełnić niegodziwego uczynku zdobycia bezkarności dla siebie przez zgubę innego, moim losem może być tylko

przedłużone więzienie, jeżeli nie szubienica. Trzeba było do tego się zastosować. Oddychać będę tak długo, jak mi tchu zostawia, mówiłem, a jak mi go wydrą, uczynię, jak chorzy, gdy dochodzą do ostatniego kresu, umrę...

Uczyłem się na nic nie narzekać i dać mej duszy wszelkie możliwe uciechy. Najzwyczajszą uciechą było przypominanie sobie i wyliczanie darów, które upiększały moje dni: najlepszy ojciec, najlepsza matka, doskonali bracia i siostry, i t. d. Któż więcej odemnie obdarzony był szczęściem? Czemu nie dziękować Bogu za to szczęście, chociaż teraz przyćmione klęską? Tak wyliczając łaski doznane, rozrzewniałem się i płakałem przez chwilę, ale odwaga i radość powracały.

Już w pierwszych dniach zdobyłem sobie przyjaciela. Nie był to ani nadzorca, ani żaden ze stróżów, ani żaden z sędziów śledczych. Była to jednak istota ludzka. Któż to był? Chłopaczek głuchoniemy pięcio, może sześćioletni. Jego ojciec i matka złodzieje, skazani, a biedny sierota został na koscie policji z innemi dziećmi podobnego pochodzenia. Dzieci te mieszkaly w dużej izbie naprzeciwko mojej, a o pewnych godzinach, otwierano im drzwi i wypuszczano na dziedziniec. Głuchoniemy podchodził pod moje okno, uśmiechał się i robił znaki. Rzucąłem mu duży kawał chleba, porywał go, skacząc z radości, biegł do towarzyszy i, podzieliwszy się z nimi, wracał z swoją częścią do mnie i spożywał ją pod mojem oknem, wyrażając mi swoją wdzięczność uśmiechem pięknych oczu.

Tamte dzieci przypatrywały mi się zdaleka, ale nie śmiały się zbliżać; głuchoniemy okazywał mi wielką serdeczność i to nie tylko dla jakiejś korzyści. Czasami, nie wiedząc, co robić z chlebem, który mu rzucałem, dawał mi znak, że on i jego towarzysze są nasyceni. Jeżeli widział dozorcę, — idącego do mnie, dawał mu chleb, by mi go zwrócić. Chociaż już niczego się odemnie spodziewać nie mógł, dalej się krzątał około mojego okna, pe-



łen dziwnego uroku, ciesząc się, że go widzę. Raz któryś dozorca pozwolił mu wejść, zaczął mnie po nogach całować. Wziąłem go w objęcia i nie potrafiłbym wyrazić, z jakim zapałem okrywał mnie swemi pieściami. Jakież skarby miłości w tej drogiej duszyczce. O, jakże bym był pragnął podjąć się jego wychowania i wyrwać go z otoczenia, w jakim się znajdował!

Nazwiska jego nie znałem; on sam nie wiedział, czy jakie miał. Był zawsze wesoły, raz go tylko płaczącego widziałem, gdy go, nie wiem za co, dozorca obić. Dziwna rzecz! żyć w takim miejscu zdaje się być szczytem nieszczęścia, a jednak to dziecko miało tam tyle szczęścia, ile go w tym wieku doznać może syn księcia. Uwagę tę czyniłem i zdawałem sobie sprawę, że w mocy naszej jest zdobyć niezależność ducha wobec okoliczności i miejsca. Panujmy nad fantazją, a prawie wszędzie będzie nam dobrze. Dzień prędko mija, a gdy na wieczór człek się kładzie, bez głodu, ni dokuczliwego bólu, cóż to szkodzi, czy łoże wśród murów, co się zowią więzieniem, czy wśród takich, co się zwą domem lub pałacem?

Znakomite rozumowanie. Ale jakże nad fantazją zapanować? Wprawilem się do tego i nie raz sądziłem, że mi się cudownie udało; ale czasem ciemnizielka zwyciężała, a ja struty zdumiewałem się nad moją słabością.

VIII

W mojem nieszczęściu, mówiłem sobie, jeszcze jestem szczęśliwy, że mnie umieszczono na parterze, od podwórza, gdzie na cztery kroki podchodzi to drogie dziecko, z którym tak miło rozmawiać na migi. Jakiż objaw boskości umysłu! Ileż to rzeczy sobie mówimy, on i ja, niewyczerpaną ilością, wyrazów oczu i twarzy! Jaki wdzięk w jego ruchach, kiedy się do niego

uśmiejemy! Jak je poprawia, kiedy widzi, że mnie się nie podobają! Jak on rozumie, że go kocham, kiedy pieści, albo częstuje niektórych swych towarzyszy! Nikt na świecie tego sobie nie wystawia, a jednak ja, stojąc przy oknie, mogę być w pewnej mierze wychowawcą dla tego biednego stworzenia. Ciągłe powtarzając to wzajemne ćwiczenie, udoskonalimy wymianę naszych myśli. Im bardziej uczuję, że się przy mnie kształci i wychowuje, tem bardziej się do mnie przywiąże; stanę się dla niego geniuszem rozumu i dobroci; on nauczy się powierzać mi swe smutki, radości, życzenia; ja będę go pocieszał i uszlachetniał, kierował całym jego wykształceniem. Kto wie, czy zostawiając losy moje w niepewności, z miesiąca na miesiąc, nie dadzą mi tutaj zestarzeć! Kto wie, czy to dziecko nie urośnie pod moimi oczami i nie będzie tu użyte do jakich posług? Z takim bystrym umysłem, jaki objawia, do czego on dojdzie? Niestety, conajwyżej zostanie doskonałym stróżem, lub czemś podobnem. Otóż, czy nie spełnię dobrego uczynku, jeżeli natchnę go wolą podobania się ludziom zacnym i sobie samemu i wpoję w niego zwyczaj życzliwości?

Ten monolog był bardzo naturalny. Miałem zawsze wielki pociąg do dzieci, a zadanie wychowawcy uważałem zawsze za wspaniałe posłannictwo. Posłannictwo to spełniałem przez kilka lat przy dwóch młodzieniaszkach dobre rokujących nadzieje, Giacomo i Giulio Perro, których kochałem jak własne dzieci i tak zawsze kochać będę. Bóg jeden wie, ile to w więzieniu o nich myślałem, jak mnie martwiła myśl, że nie mogłem dokończyć ich wychowania, jak gorąco pragnąłem, by po mnie dostali nowego nauczyciela, któryby mi wyrównał w miłości ku nim.

Nieraz mówiłem sobie: « Co za parodja, zamiast Giacomo i Giulio, obdarzonych najcenniejszemi darami natury i majątkiem, dostaje mi się biedny mały, głuchoniemy, obdarty, syn

złodzieja, który zostać może conajwięcej stróżem więziennym, innemi słowami, zbirem.

Te myśli mnie trapiły i zniechęcały, ale wystarczało, żem usłyszał krzyk przeraźliwy mojego niemowy, by mi się krew wzburzyła, jak ojcu na głos syna. Krzyk i jego widok rozpraszały wszelkie uczucia pogardy. Czyż to jego winą, że obdarty, kaleka i ze złodziejskiego rodu?

Niewinna dusza dziecka jest zawsze godna uszanowania. Tak sobie powtarzałem i codziennie na mego niemowę patrzyłem z większą miłością. Zdawało mi się, że się umysłowo rozwija i to we mnie utwierdziło serdeczny zamiar przyłożenia się do uszlachetnienia jego duszy. Marząc o wszystkich możliwościach, myślałem, że może kiedyś opuścić więzienie i będę mógł umieścić to dziecko w zakładzie głuchoniemych i otworzyć przed nim drogę do czegoś lepszego, jak do posady zbira.

W czasie kiedym tak mile był zajęty jego szczęściem, dwóch stróżów zjawilo się, by mnie zabrać: « Pan zmieniasz mieszkanie. — Co chcecie przez to powiedzieć? — Nakazano pana przenieść do innej celi. — Dla czego? — Jakiegoś grubego ptaszka przychwycono, a że ten pokój najlepszy... pan rozumiesz. Rozumiem. Tu jest pierwszy przystanek nowoprzybyłych. » I przeniesiono mnie na przeciwną stronę dziedzińca, ale, niestety, nie było to już na parterze; nie można już było rozmawiać z małym niemową. Przechodząc przez dziedziniec, postrzegłem kochanego chłopca, siedzącego na ziemi, zadziwionego, smutnego; zrozumiał, że mnie traci. Po chwili zerwał się i rzucił się ku mnie. Stróże chcieli go odpędzić, ale go porwał w objęcia, wycatował jeszcze i oderwał się od niego, przyznając, że łzami zalanego.

IX

Biedne serce moje; kochasz tak łatwo i tak gorąco. Ile to już razy na rozłękę skazany byłeś! Ta nie była z pewnością najmniej bolesna, a odczułem ją tem bardziej, że moje mieszkanie było bardzo smutne. Izdebka ciemna, brudna; u okna, zamiast szyb, papier; ściany zabazgrane ohydnie, nie śmiem nawet powiedzieć jaką farbą; na miejscach nie zamalowanych były napisy. Często było tylko imię, nazwisko i ojczyzna jakiego nieszczęśliwca, z żałobną datą uwięzienia go. Bywały złorzeczenia na fałszywych przyjaciół, na siebie samego, na kobietę jaką, na sędziego i t. d. Zdarzały się własne więźniów wspomnienia, czasem zdania moralne. Znalazły się te Pascala słowa:

« Niechby ci, którzy zwalczają religię, przynajmniej poznali, czem ona właściwie jest, przed zwalczaniem jej. Gdyby ta religia chwaliła się, że jasno i bez zasłon Boga widzi, byłoby to zwalczaniem jej twierdzić, że się nic nie widzi na świecie, coby go wykazywało tak oczywiście... Ale kiedy ona mówi, że ludzie są w ciemnościach, zdala od Boga, który dla nich ukryty jest i który sam w piśmie św. przybrał imię *Boga ukrytego*, jakąż korzyść zdobyć oni mogą, gdy z zasady zaniedbają poszukiwania prawdy, a głoszą, że nic im jej nie wykazuje.

Poniżej były słowa tegoż samego:

« Nie chodzi o błahą sprawę jakichś obcych ludzi; chodzi o nas samych i o wszystko nasze... Nieśmiertelność duszy jest rzeczą takiej wagi i która nas tak blisko obchodzi, że trzeba by zmysły stracić, by pozostać obojętnym na to co jej dotyczy.

W innem miejscu stało:

« Błogosławię więzienie, bo ono mi poznać dało niewdzięczność ludzi, moją nędzę i dobroć Bożą. »

Obok tylu pokornych słów najgwałtowniejsze z wyuzdanej

pychy wyrzekania takiego, który się mienił niedowiarkiem, a wyrzekał na Boga, sam sobie kłam zadając, boć mówił, że Boga niema.

Po kolumnie takich bluźnierstw, następowała druga kolumna obelg przeciw tchórzom, jak ich nazywał, których nieszczęścia więzienia doprowadziły do pobożności,

Pokazałem te szkaradzieństwa jednemu ze stróżów i pytałem, kto to mógł pisać: « Cieszę się, odpowiedział, że się znalazły te napisy; tyle ich jest, a ja tak mało mam czasu na szukanie. » I począł odrazu nożem mur skrobać, by napisy te usunąć. « Dlaczego to? zapytałem. — Bo biedaczysko, co to pisał, skazany został na śmierć za morderstwo rozmyślne, żałował tego i kazał mnie prosić o tę miłosierną usługę. — Niech mu Bóg przebaczy, zawołałem. Co on za morderstwo popełnił? — Nie mogąc zabić nieprzyjaciela, zemścił się, zabijając mu syna, śliczne dziecko. »

Zgroza! I do tego dojść może okrucieństwo? I ten potwór przemawiał w ubliżający sposób, jak człowiek wyższy ponad wszelkie słabości ludzkie. Zabić istotę niewinną, dziecko!

X

W tej mojej nowej celi, tak ciemnej, tak obrzydliwej, pozbawionej towarzysztwa mego drogiego niemowy, byłem przybity smutkiem. Całymi godzinami stałem przy oknie, zwróconem na ganek, poza którym widać było, na drugim końcu dziedzińca, okno pierwszej mojej celi. Kto mnie tam zastąpił? Spostrzegłem człowieka szybko po celi chodzącego. We dwa czy trzy dni później widziałem, że mu dano czem pisać, i od tej chwili przez dzień cały od stolika się nie ruszał.

Wreszcie go poznałem. Wychodził w towarzystwie dozorczy; szedł na śledztwo. Był to Melchiorre Gioja!

Serce mi się ścisnęło. I ty, czcigodny mężu, tutaj jesteś! szczęśliwszy był odemnie. Po kilku miesiącach odzyskał wolność.

Widok każdej istoty zacnej mnie pociesza, przywiązuje, do zastanowienia skłania. Myśleć i kochać, wielkie to są dobrodziejstwa. Byłbym życie dał dla wydobycia Gioji z więzienia, a jednak widzieć go sprawiało mi ulgę.

Podłuższem wpatrywaniu się w niego, badaniu po ruchach jego, czy umysł jego spokojny, czy wzburzony i wznoszeniu za nim życzeń, czułem się silniejszym, w myśli bogatszym, i bardziej ze siebie zadowolonym. To dowodzi, że sam widok istoty, którą się kocha, wystarcza do osłodzenia samotności. Osłode mi taką dał naprzód biedny dzieciak, niemowa, a teraz dawał mi ją widok człowieka wielkich zasług.

Może mu który stróż powiedział, gdzie ja byłem. Pewnego rana, otworzywszy okno, powiewał chustką, kłaniając się. Odpowiedziałem w ten sam sposób. O, jakaż mi w tej chwili radość serce rozpromieniła. Zdawało mi się, że odległość znikła, że jesteśmy razem. Serce mi biło, jak zakochanemu na widok ukochanej. Dawaliśmy sobie znaki niezrozumiałe, z takim zapałem, jakbyśmy się rozumieli, a właściwie rozumieliśmy się; te ruchy miały wyrażać wszystko, co dusze nasze odczuwały; co jedna odczuwała, drugiej obcem nie było.

Jaką pociechę na przyszłość zdawały nam się nieść te znaki i ukłony. Przyszłość nadeszła, ale się znaki nie powtórzyły. Ile razy widziałem Gioję przy oknie, powiewałem chustką, ale nadaremnie. Stróże mi powiedzieli, że mu zabroniono wywoływać moje znaki lub na nie odpowiadać. Jednak patrzył on często na mnie, a ja patrzyłem na niego i tak niejednośmy sobie jeszcze mówili.

XI

Gankiem, pod mojem oknem, na wysokości mojej celi, przechodzili w tę i w tamtą stronę, od rana do wieczora inni więźniowie prowadzeni przez stróżów: szli na śledztwo i wracali. Byli to przeważnie prości ludzie. Widziałem jednego, zdaje się że i innych. Chociaż nie mogłem długo im się przypatrywać, bo szybko przechodzili, jednak ściągali moją uwagę; wszyscy mnie mniej lub więcej wzruszali. To smutne widowisko w pierwszych dniach wzmagало mój smutek; ale się powoli do niego przyzwyczaiłem i wreszcie zmniejszało ono okropność samotności.

Przechodziło mi też przed oczami mnóstwo kobiet aresztowanych. Z tego ganku szło się, przez sklepienie przejście, na inne podwórze, gdzie były więzienia kobiece i szpital. Ścianka tylko, i to lekka, odgradzała mnie od jednej z izb kobiecych. Często nieboraczki ogłaszały mnie swojemi piosnkami, czasem śmiechami. Późnym wieczorem, gdy hałasy ustały, słyszałem jak rozmawiały.

Gdybym był chciał się wdać w rozmowę, byłbym mógł. Wstrzymałem się, nie wiem dlaczego. Czy to była nieśmiałość? Czy pycha? Czy roztropny wzgląd na niebezpieczeństwo przywiązania się do kobiet upadłych? Musiały być wszystkie te trzy powody. Kobieta, gdy jest taką, jaką być powinna, jest dla mnie istotą tak czcigodną; widok jej, dźwięk jej głosu, rozmowa z nią, z bogaca mi umysł szlachetnemi myślami; ale kobieta upodłona, zasługująca na wzgardę, zasępia mnie, zdziera z serca urok.

A jednak... (ileż to zawsze trzeba zastrzeżeń, gdy się opisuje człowieka, istotę o tak różnorodnych objawach duszy) wśród tych kobiecych głosów były i wdzięczne, a te, czemuż by nie przyznać, były mi miłe; jeden szczególnie, miłszy od wszystkich innych, rzadziej się słyszeć dawał i nigdy nie wyrażał myśl-

li pospolitych. Ta śpiewała mało i przeważnie tylko te dwa wzruszające wiersze:

Chi rende alla meschina
La sua felicità? (*)

Czasem śpiewała litanię; wtedy towarzyszki wtórowały jej; ale ja miałem dar poznawania głosu Magdaleny wśród wszystkich innych, które zdawały się zapamiętałe chcieć mnie go pozbawić.

Tak, ta nieboga zwała się Magdalena. Jak jej towarzyszki opowiadały swoje bóle, ona się litowała, ubolewała i powtarzała: « Odwagi, moja droga, Bóg nikogo nie opuszcza ».

Któż mógł przeszkodzić mi, bym ją sobie wyobrażał piękną i raczej nieszczęśliwą, niż winną, urodzoną dla cnoty, zdolną do niej wrócić, jeśli się od niej oddaliła?

Któż by mnie mógł zganić, jeżeli się rozczulał, słuchając ją, jeżeli ją ze złością słuchał, jeżeli się za nią modlił ze szczególnie gorliwością?

Czcigodna jest niewinność, ale jakże też i skrucza. Czyż najlepszy z ludzi, Bóg-człowiek, nie raczył rzucić litościwego spojrzenia na grzesznice, uszanować ich wstyd, przyjąć je do rzędu dusz, które najbardziej szanował? Dla czegoż my tak pogardzamy kobietą, która sromotnie upadła?

Tak rozumując, sto razy kuszony byłem chęcią podniesienia głosu, odezwania się i oświadczenia miłości braterskiej Magdaleny. Raz już wymówiłem głośno pierwszą zgłoskę jej imienia: « Mad » (**) Dziwna rzecz. Serce mi biło, jak piętnastoletniemu chłopcu zakochanemu; miałem już przecież trzydzieści i jeden lat, a to już nie jest wiek dziecinnych drgań serca.

Nie mogłem wymówić więcej. Zawolałem znówu: « Mad! Mad! » Ale nadaremnie. Wydałem się sobie śmiesznym i, rozczłuszczony, krzyknąłem: « Matto » (***) a nie Mad ».

(*) Kto niebodze zwróci szczęście?

(**) Po włosku Maddalena.

(***) Wariat.

XII

Tak się skończył mój romans z tą biedaczką; wszakże zostałem jej dłużnikiem za najmiłsze uczucia przez kilka tygodni. Często bywałem posepny, a jej głos mnie rozveselał; często myśląc o podłości i o niewdzięczności ludzi, gniewałem się na nich; świat poczynałem nienawidzieć, a głos Magdaleny budził we mnie litość i pobożanie. Obyś ty, nieznana grzesznico, nie była skazaną na ciężką karę! na jakąkolwiek karę zostałaś skazaną, obyś skorzystać z niej mogła i podźwignąć się na nowo i żyć i umrzeć miła Bogu! Obyś napotkała u tych wszystkich, co cię znają, takie współczucie i uszanowanie, jakie dla ciebie miałem ja, który cię nie znałem! Obyś mogła wzniecać w każdym, co cię widzi, cierpliwość, łagodność, pragnienie cnoty, ufność w Bogu, jak niemi natchnęłaś mnie, który cię kocham, chociaż ciebie nie widziałem! Moja wyobraźnia może błędzić, wyobrażając sobie, że jesteś piękna, ale co do duszy twojej, pewien jestem, była piękna. Twoje towarzyszeki rozmawiały w sposób grubiański, a ty skromnie i wdzięcznie; one bluźniły, tyś błogosławiła Boga; one się kłóciły, a tyś łagodziła ich spory. Jeżeli ci kto podał rękę, by cię z upadku podźwignąć, jeżeli ci był troskliwym dobroczyńcą; jeżeli lży twoje otarł, niechaj wszelkie pociechy na niego spływają, na jego dzieci i na dzieci jego dzieci!

W więzieniu przyległem do mojego było kilku mężczyzn. Ich rozmowy także słyszałem. Jeden z nich górował nad innymi, może nie stanowiskiem, ale wymową i zuchwalstwem. Ten zachowywał się, jak to mówią, po doktorsku. Łajał, kłócących się zmuszał do milczenia wyniosłym głosem i zapalczywą mową; uczył ich, co mają myśleć i czuć, a oni po pewnym oporze na końcu przyznawali mu słuszość we wszystkim.

Nieszczęśliwi! nie było jednego, któryby starał się łagodzić

przykrości więzienne wyrażeniem jakichś błogich uczuć, słowami wiary i miłości!

Przodownik tych sąsiadów uklonił mi się, a ja się odkloniłem, spytał mi się, jak przepędzam to przekłete życie. Odpowiedziałem mu, że jakkolwiek smutne, żadne życie, według mnie, nie jest przeklętym, i że aż do śmierci trzeba się starać o upodobanie w myśleniu i kochaniu. « Wytlomacz się, panie, wytłomacz! » Wytlomaczyłem się, i nie zostałem zrozumiany. I kiedy po sztucznych wywodach przygotowawczych zdobyłem się na odwagę przytoczenia, jako przykładu, najmiłszego uczucia, jakie budził we mnie głos Magdaleny, przodownik wybuchnął potężnym śmiechem: « Co takiego? Co takiego? » zawołali jego towarzysze. Gałgan wydrwił, przekręcając je, słowa moje i parsknęły chórem śmiechy, a ja wyszedłem na głupca.

Dzieje się w więzieniu, jak w świecie. Ci, których rozum polega na gniewaniu się, skarżeniu się, złośczeniu, uważają za szaleństwo litowanie się, miłowanie, pocieszanie się pięknymi myślami, które zaszczyt przynoszą ludzkości i jej Twórcy.

XIII

Pozwoliłem im się śmiać i słowa nie odpowiedziałem. Sąsiedzi dwa czy trzy razy odezwali się do mnie; ja milczałem.

« Już go nie będzie przy oknie — musiał odejść — poszedł podsłuchiwać westchnienia Magdaleny — obraziły go nasze śmiechy ». Tak się w pierwszych chwilach odzywali. Wreszcie przodownik milczenie nakazał innym, którzy jeszcze o mnie rozprawiali: « Milczcie, durnie, którzy nie wiecie co do diabła widzicie. Ten tu sąsiad nie jest tak wielkim osłem, jak wam się zdaje. « Wy nie jesteście zdolni zastanowić się nad niczem. Ja się śmieję, a potem się zastanawiam. Wszystkie nieokrzesane

łotry umieją udawać wściekłych, jak my to czynimy. Trochę więcej łagodnej wesołości, trochę więcej miłosierdzia, trochę więcej wiary w dobrodziejstwa Nieba, czego wy naprawdę myślicie, że to jest dowodem? — Teraz co się nad tem zastanawiam, odezwał się jeden z nich, zdaje się być dowodem, że się jest trochę mniej łotrem. — Brawo, wrzasnął przodownik grzmiącym głosem, tym razem nabieram szacunku dla twego łba. »

Już bardzo się pyszniłem, że mnie tylko uznawano za trochę mniejszego łotra od nich; jednak odczuwałem rodzaj radości, że się tym nieborakom oczy otwierają na ważność ćwiczenia się w życzliwości.

Poruszyłem ramę okna, jak gdybym właśnie do niego wrócił. Przodownik zawołał mnie. Odpowiedziałem w nadziei, że on mi zechce prawić morały po mojemu. Pomyliłem się. Umysły pospolite uciekają od poważnych rozumowań. Jeżeli się do nich przebija jaka szlachetna prawda, zdolni są przez chwilę ją chwalić; ale wnet potem wzrok od niej odwracają i nie mogą się oprzeć namiętności popisywania się ze sądem, rzucaniem wątpliwości na tę prawdę, albo szydzeniem z niej.

Zapytał mnie potem, czym uwięziony za długi: « Nie. — Może oskarżony o oszustwo, rozumie się fałszywie? — Jestem oskarżony o co innego. — O sprawy miłosne. — Nie. — O zabójstwo? — Nie. — O węglarstwo? (*) Właśnie. — A kto są ci węglarze? — Tak ich mało znam, że bym nie umiał wam powiedzieć.

Któryś stróż przerwał nam z wielkim gniewem i po obrzuceniu grubiaństwami moich sąsiadów, zwrócił się do mnie z powagą nie zbira, ale mistrza i powiedział; « Wstyd, panie, rozmawiać z wszelkiego rodzaju ludźmi! Czy pan wie, że to są złodzieje? »

(*) Carbonaro, Węglarz, członek Towarzystwa tajnego, założonego w 1820 r. celem oswobodzenia Włoch.

Zarumieniłem się, a potem zarumieniłem się, że się zarumienił i wydało mi się, że rozmawiać z tego rodzaju nieszczęśliwymi to raczej dobroć, niż wina.

XIV

Następnego ranka poszedłem do okna patrzeć na Melchjora Gioję, ale już ze złodziejami nie rozmawiałem. Odpowiedziałem na ich ukłon i przestrzegłem, że mi zakazano z nimi mówić.

Nadszedł pisarz, który mi pytania stawiał na śledztwie, i w sposób tajemniczy zameldował mi wizytę, która miała mi sprawić przyjemność. Nareszcie, w mniemaniu, że mnie dostatecznie przygotował, rzekł; « To ojciec pański, proszę za mną ». Zeszedłem za nim do biur, drżąc z radości i z czułości i usiłując nadać sobie wygląd pogodny, któryby uspokoił mego biednego ojca.

Gdy się dowiedział o mojem aresztowaniu, spodziewał się, że ono było skutkiem błahych podejrzeń i że niedługo odzyskam wolność. Lecz widząc, że się moje uwięzienie przedłuża, przybył by u rządu austriackiego starać się o moje uwolnienie. — Biedne złudzenie miłości ojcowskiej! Nie przypuszczał, bym był tak nieroztropnym, bym się naraził na surowość praw, a udana wesołość, z jaką do niego przemawiałem, utwierdzała go w przekonaniu, że mi żadne niebezpieczeństwo nie groziło.

Krótką rozmową, na którą nam pozwolenia udzielono wzburzyła mnie w sposób niewypowiedziany, tem bardziej, że starałem się wszelkimi sposobami nie zdradzać wewnętrznego wzruszenia. Najciężej było w chwili rozstania.

W ówczesnem położeniu Włoch, byłem przekonany, że Austrii zależało na daniu nadzwyczajnych przykładów srogości i że będę skazany na śmierć albo na długoletnie więzienie. Ukryć to przekonanie przed ojcem! Łudzić go objawami uzasadnionej nadziei bliskiej wolności! Nie wybuchnąć płaczem, ściskając go,

mówiąc o matce, o braciach, o siostrach, których nie spodziewałem się widzieć na ziemi! Prosić go głosem, nie zdradzającym wzburzenia, by mnie jeszcze odwiedził, jeżeli to będzie możebnem. Nigdy sobie takiego gwałtu nie zadał.

Ojciec opuścił mnie pocieszony, a ja powróciłem do mojej celi z sercem rozdartem. Jak tyłkom został sam, miałem nadzieję, że sobie ulżę płaczem. Tej ulgi nie doznałem. Zaniósłem się łkaniem, ale nie mogłem wylać ani jednej łzy. Niemożność wypłakania się w wielkich zmartwienach jest jednym z najokrutniejszych cierpień, a ileż razy tego doświadczyłem.

Dostałem gwałtownej gorączki, z silnym bólem głowy i przez cały dzień nie mogłem wziąć do ust nawet łyżki rosołu. Oby to była choroba śmiertelna, myślałem sobie, która by skróciła moją mękę.

Głupie i tchórzliwe życzenia! Bóg ich nie wysłuchał i dzisiaj za to Mu dziękuję. Dziękuję nie tylko dla tego że, po dziesięciu latach więzienia powróciłem do drogiej rodziny i mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy; ale dlatego, że cierpienia potęgują wartość człowieka, a co do moich cierpień, chcę wierzyć, że nie przeszły one dla mnie bez pożytku.

XV

Dwa dni potem mój ojciec powrócił. Noc miałem dobrą; gorączki nie było. Przybrałem wygląd swobodny, wesoly, i nikt by się nie był domyślił co serce moje przecierpiało i jak jeszcze cierpiało.

« Mam nadzieję, rzekł mój ojciec, że za kilka dni będziesz odstawiony do Turynu. Przygotowaliśmy ci już pokój i oczekujemy ciebie z wielką niecierpliwością. Obowiązki urzędowe zmuszają mnie do wyjazdu. Staraj się, proszę, przybyć wnet. »

Jego tkliwa a smutna czułość szarpała mi duszę. Chociaż

i prawdę taić zdawało mi się obowiązkiem miłości synowskiej, odczuwałem jednak rodzaj wyrzutu sumienia. Czyżby nie było godniej dla mojego ojca i dla mnie, gdybym mu powiedział: « Prawdopodobnie już się więcej nie zobaczymy na tym świecie. Rozstańmy się mężnie bez skargi, i niech usłyszę wypowiedziane nad głową moją błogosławieństwo ojcowskie. »

Mowa taka byłaby mi tysiąc razy miłszą, niż udawanie. Ale patrzyłem na oczy tego szanownego starca, na jego rysy, na białe włosy i nie zdawało mi się, by nieszczęsny miał siłę wysłuchania tego.

A gdybym, nie chcąc go oszukać, miał się stać powodem jego rozpaczki a może, jakże to straszne, śmierci jego w moich objęciach.

Nie mogłem prawdy mu powiedzieć, ani mu się jej dać domyśleć. Mój udany spokój złudził go zupełnie. Rozstaliśmy się bez łez; ale z powrotem, w więzieniu, ogarnęło mnie udręczenie o wiele jeszcze silniejsze, niż przedtem, a nadaremnie łez pragnąłem.

Poddać się grozie długiego więzienia, nawet szubienicy, na to siłę miałem. Ale pogodzić się z myślą szalonej boleści ojca, matki, braci, sióstr, to już było ponad moje siły.

Padłem na kolana i z żarliwością, jakiej dotąd nie znałem, wymówiłem modlitwę: « Mój Boże, przyjmuję wszystko z Twojej ręki, ale racz wzmocnić serca tych, którym byłem potrzebny, bym im przestał być potrzebnym i by, dla tego życie żadnego z nich nie zostało ani o dzień skrócone. »

O, dobrodziejstwo modlitwy! Pozostałem kilka godzin z duszą wzniesioną do Boga, a zaufanie rosło w miarę, jak rozmyślałem nad miłosierdziem bożem, nad wielkością duszy ludzkiej, jak się uwolni od samolubstwa i pozbędzie się wszelkiej żądy poza Mądrością nieskończoną.

Tak, to możliwe, to obowiązkiem człowieka. Czyż rozum,

który jest głosem bożym, nie mówi, że wszystko trzeba poświęcić cnocie? I czyżby, spełnioną była ofiara, którąśmy cnocie winni, jeżeli w chwilach najboleśniejzych walczymy z wolą Tego, który jest początkiem wszelkiej cnoty?

Gdy szubienicy, lub innego męczeństwa uniknąć niepodobna, dać się ogarnąć tchórzowskiemu strachowi, nie umieć iść na śmierć, błogosławiąc Boga, dowód to marnego spodlenia lub nieświadomości. I należy nam się zgodzić nie tylko na śmierć własną, ale i na boleść, jaką ona drogim naszym przyniesie. Wolno nam tylko Boga prosić, by tę boleść złagodził, by nam wszystkim w pomoc przyszedł; taka modlitwa zawsze wysłuchana.

XVI

Upłynęło dni kilka, a mnie nie opuszczał ten sam smutek, pełen spokoju i bogobojnych myśli. Zdawało mi się żem wszelką słabość przemógł i stał się nieprzystępnym dla wszelkiego niepokoju. Szalone złudzenie! Człowiek powinien nieustannie dążyć do doskonałej stałości, ale jej nigdy na ziemi nie osiągnie. Cóż mi pokój zamąciło? Widok przyjaciela nieszczęśliwego, widok mojego drogiego Piero, który przeszedł o kilka stóp odemnie, na ganku, gdy byłem przy oknie. Wydobyto go z jego nory, by go poprowadzić do więzień kryminalnych.

On, i ci, co z nim szli, przeszli tak prędko, że ledwo zdążyłem go poznać, spostrzedz jego znak powitania i oddać mu go.

Biedny młodzieniec. W kwiecie wieku, o zdolnościach rokujących wielkie nadzieje, prawy, wrażliwy, kochający, godzien wspaniale z życia korzystać, wtrącony do więzienia dla spraw politycznych, w czasie, gdy trudno było nie narazić się na srogie surowości prawa.

Takie mnie dla niego ogarnęło współczucie, taki żal, że go

nie mogłem ratować, że nie mogłem mu nawet obecnością moją i słowami moimi ulgi przynieść, że mi nic nie mogło spokoju wrócić. Wiedziałem, jak kocha matkę, brata, siostry, szwagra, siostrzeńców, jak gorąco pragnął przyczynić się do ich szczęścia, jak był przez nich wszystkich uwielbiany. Czułem jaki smutek musiał każdego z nich ogarnąć wobec takiego nieszczęścia. Słów niema na opisanie wściekłości, jaka mnie ogarnęła. A ta wściekłość tak długo trwała, że traciłem nadzieję uspokojenia jej.

No, i ta obawa okazała się tylko złudzeniem. O wy nieszczęśni, którzy myślicie, że was boleść nieprzewyciężona przyniata, straszna, coraz większa, poczekajcie, miejcie trochę cierpliwości, a wnet złudzenie ustąpi. Ani spokój najwyższy, ani najwyższy niepokój nie może długo trwać. Trzeba przejść się tą prawdą, by nie rosnać w dumę w godzinach szczęścia, a gdy się szczęście odwróci, na duchu nie upadać!

Długą wściekłość zastąpiły zmęczenie i znieczulenie, ale i znieczulenie nie może być długotrwałe; obawiałem się, by mi nie wypadło na przyszłość wpadać bez ratunku z jednej ostateczności w drugą. Przeraziły mnie takie widoki na przyszłość i znowu ratunku w gorliwej szukałem modlitwie.

Prosiłem Boga o pomoc dla biednego Piero, jak i dla mnie, i dla jego rodziny, jak i dla mojej. Jedyne powtarzanie tych prośb zdołało mnie rzeczywiście uspokoić.

XVII

Lecz gdym się uspokoił, zastanowiłem się nad gniewem, któremu uległem, i, oburzony słabością moją, rozważałem nad sposobami wyleczenia się z niej. Pomógł mi następujący środek. Co rano, po krótkiej modlitwie do Stwórcy, pierwszym mojem zajęciem było pilnie i odważnie rozpatrzyć, co by takiego zająć

mogło, coby mnie wzruszyło. Nad każdym możliwym zajęciem zastanawiałem się poważnie i do niego się przygotowywałem; od odwiedzin najmiłszych do odwiedzin kata, wszystkie sobie wyobrażałem. To smutne zajęcie wydawało mi się nieznośnem przez kilka dni, ale wytrwałem i wnet zadowolenia z niego doznałem.

W dzień nowego roku 1821, hr. Luigi Porro otrzymał pozwolenie odwiedzenia mnie. Nasza serdeczna i gorąca przyjaźń, potrzeba, którąśmy odczuwali powiedzenia sobie tylu rzeczy, obecność pisarza sądowego, który nam w tem przeszkadzał, krótkość czasu, danego nam do rozmowy, złowrogie przecucia, które mnie dręczyły, wysilenia, któreśmy robili on i ja, żeby zachować spokój, wszystko to powinno było wywołać w mojem sercu najgwałtowniejszą burzę. Po rozstaniu się z tym drogim przyjacielem, byłem spokojny, rozrzuwiony, ale spokojny. Tak to można skutecznie zabezpieczyć się przeciw wielkim wzruszeniom.

To moje postanowienie zdobycia stałego spokoju nie pochodziło tyle z pragnienia złagodzenia mego cierpienia, jak z tego powodu, że mi się ten brak spokoju wydawał nieprzyzwoitym, niegodnym człowieka. Dusza wzburzona już nie rozumuje; porwana w wir nieprzewyciężony myśli przesadnych tworzy sobie rozumowanie niemądre, szalone, złośliwe; jest w stanie zupełnie nie filozoficznym, nie chrześcijańskim.

Gdybym był kaznodzieją, nalegałbym często na konieczność zwalczania wzburzeń gwałtownych; nie można być dobrym bez tego warunku. Jakże cichym był względem siebie samego i względem drugich Ten, którego mamy wszyscy naśladować! Niema potęgi ducha, niema sprawiedliwości bez umiarkowania, bez ducha, skłonnego raczej do uśmiechu, jak do gniewu, wobec okoliczności tego krótkiego życia. Gniew, w tym tylko rzadkim wypadku coś wart, gdy przypuszczać można, że człowieka złego upokorzy i jego od nieprawości odwróci.

Może są gniewy innego rodzaju, jak te, które ja znam i mniej potępienia godne. Ale ten, którego byłem do tej pory niewolnikiem, nie był to gniew smutku samego; wmięszalo się do niego wiele nienawiści, wiele potrzeby złorzeczenia, przedstawiania sobie społeczeństwa, tych lub owych ludzi w najstraszniejszych barwach. Zaraźliwa choroba tego świata! Człowiek myśli, że lepszy, gdy drugich nienawidzi. Zdaje się, że wszyscy przyjaciele sobie na ucho mówią: « Kochajmy się tylko między sobą; głośmy że wszystko hołota, a wydamy się półbogami. »

Dziwne to, że życie w stanie ciągłego gniewu tak się podoba. Upatruje się w tem rodzaj bohaterstwa. Gdy przedmiot wczorajszego gniewu zniknie, szuka się odrazu innego. Na kogo będę się dzisiaj skarżył? Kogo będę nienawidził? Któż będzie tym potworem?... O radości! Znalazłem go. Chodźcie przyjaciele, drzejmy go.

I tak idzie świat; i, nie krzywdząc go, mogę powiedzieć, że idzie źle.

XVIII

Nie było wielkiej złośliwości w użalaniu się na wstrętą celę, w której mnie umieszczono. Szczęściem, trafiła się lepsza, wolna i zrobiono mi miłą niespodziankę dania mi jej.

Czy nie powinienem się być bardzo cieszyć? A jednak.. przecież nie mogłem myśleć o Magdalenie bez tęsknoty. Co za dzieciństwo, przywiązywać się zawsze do czegoś i to dla powodów naprawdę nie bardzo ważnych! Wychodząc z tej podłej izby, zwróciłem wzrok ku ścianie, o którą się tak często opierałem, gdy może o stopę z przeciwnej strony opierała się nieszczęsna grzesznica... Byłbym chciał usłyszeć raz jeszcze te dwa wzruszające wiersze :

Chi rende alla meschina
La sua felicità ?

Próżne życzenie! I znowu rozłąka w mem nieszczęsnem życiu. Nie chcę się nad tem długo rozwodzić, by ze mnie nie drwiono. Byłbym obłudnikiem, gdybym nie wyznał, że mnie to trapiło przez kilka dni.

Odchodząc, ukloniłem się dwom biednym złodziejom, moim sąsiadom, którzy byli przy oknie. Głównego nie było, ale, ostrzeżony przez towarzyszy, przybiegł i odklonił mi się i on. Zaczął nucić: « Chi rende alla meschina »... Czy chciał drwić ze mnie? Założyłbym się, że gdyby postawiono to pytanie pięćdziesięciu osobom, czterdzieści dziewięć odpowiedziałoby potakująco. Otóż, wbrew tej większości głosów, skłaniam się do wierzenia, że dobry łotr uczynił to w uprzejmej dla mnie myśli. I tak to przyjąłem i byłem mu wdzięczny i jeszcze raz na niego spojrzałem, a on, wystawiając rękę przez kratę, czapką mi jeszcze powiewał, gdy ja już zwracałem się ku schodom.

Na podwórzu spotkała mnie pociecha. Niemowa stał w bramie. Zobaczył mnie, poznał i chciał biedz ku mnie. Żona dozorczy, niewiedzieć dlaczego, schwyciła go za kołnierz i wepchnęła do izby; przykro mi było nie módz go pocałować, ale wysiłki jakie czynił, by się do mnie dostać, niezmiernie mnie wzruszyły. Taka to miła rzecz być kochanym.

Był to dzień wielkich zdarzeń. O dwa kroki dalej, przeszedłem blisko okna dawnej mojej celi, w którym stał Gioja. « Dzień dobry, Melchiorze! » powiedziałem mu, przechodząc. On głowę podniósł i, zwracając się ku mnie, krzyknął: « Dzień dobry, Silvio! »

Niestety, nie dano mi zatrzymać się i chwili. Zwróciłem pod bramą, wyszedłem na schody i wszedłem do czystej izdebki nad izbą Gioji.

Wniesiono łóżko, zostałem sam bez stróżów, zacząłem od przeglądu ścian. Były tam napisy częścią ołówkiem, częścią węglem, częścią ostrzem jakimś ryte. Znalazłem dwa ładne

francuskie wiersze, których teraz żałuję, że się nie nauczyłem na pamięć. Podpisane były: le duc de Normandie. Począłem je nucić na nutę melodji mojej biednej Magdaleny; ale oto głos sąsiedni zanucił na inną nutę. Gdy skończył, krzyknąłem: « Brawo! » A on pozdrowił mnie uprzejmie, pytając czy jestem Francuzem. « Nie, jestem Włochem i nazywam się Silvio Pellico. — Autor « Francesci da Rimini »? — Ten sam. » Dodał pochlebne słowo i wyrazy współczucia, że jestem w więzieniu. Pytał mnie, z której części Włoch jestem rodem. — Z Piemontu, odpowiedziałem, z Saluzzo. — Znowu pochlebne słowo o charakterze i zdolnościach Piemontczyków, ze szczególną wzmianką o znakomitych Salluzianach, a szczególnie o Bodonim. Pochwały te wyrażone były jak przez człowieka wykształconego: « Niech mi wolno teraz będzie, powiedziałem, zapytać pana, kim jesteś? — Nuciłeś moją piosenkę. — Więc te piękne wiersze, wypisane na ścianie, są pana? — Tak, panie. — Jesteś więc!.. — Nieszczęsny duc de Normandie. »

XIX

Dozorca przechodził pod oknami i nakazał milczenie.

Co za nieszczęsny duc de Normandie, pomyślałem. Czyż to nie był tytuł, który dawano synowi Ludwika XVI? Ale to biedne dziecko zmarło, niema wątpliwości; no to mój sąsiad będzie jednym z nieszczęśliwców, którzy usiłują go do życia powołać.

Kilku już podawało się za Ludwika XVII i uznanych zostało za oszustów. Dłaczegóż by większą wiarę ten wzbudzać miał?

Chociaż starałem się zachować pewne wątpliwości, nieprzewyciężona niewiara przemagała we mnie i dalej przemaga. Niemniej postanowiłem nie martwić nieszczęśliwego, jaką by mi nie zaśpiewał piosenkę

Parę chwil potem począł na nowo śpiewać, stąd nawiązaliśmy rozmowę na nowo. Na pytanie o nim, odpowiedział, że jest istotnie Ludwikiem XVII i począł gwałtownie powstawać na Ludwika XVIII, swojego stryja, który sobie prawa jego przywłaszczył: « Ale te prawa, jakże się stało, żeś ich pan nie dochodził w chwili powrotu Burbonów? — Byłem wówczas śmiertelnie chory w Bolonji. Zaledwie wyzdrowiałem, pogoniłem do Paryża. Przedstawiłem się sprzymierzonym mocarstwom, ale co się stało, to się stało. Niegodziwy mój stryj nie chciał mnie uznać; moja siostra się do niego przyłączyła, by mnie prześladować. Sam tylko pocziwy ks. Condé najserdeczniej mnie przyjął, ale przyjaźń jego nic zdziałać nie mogła. Któregoś dnia, na ulicach Paryża, zostałem napadnięty przez siepaczy, uzbrojonych w pugiwały, i ledwo zdołałem uniknąć ich ciosów. Po pewnym czasie, przepędzonym w Normandji, wróciłem do Włoch i zatrzymałem się w Modenie. Ztamtąd, pisząc bezustannie do monarchów Europy, a mianowicie do cesarza Alexandra, który mi odpowiadał z najwyższą uprzejmością, nie traciłem nadziei osiągnięcia ostatecznie sprawiedliwości lub, gdyby dla polityki chciano poświęcić prawa moje do tronu francuskiego, uzyskania, by mi przyznano przyzwoite wyposażenie. Zostałem aresztowany, odprowadzony do granicy Xięstwa Modeńskiego i oddany w ręce rządu austriackiego. Otóż od ośmiu miesięcy jestem tu jak w grobie. Bóg wie, kiedy stąd wyjdę. »

Nie dawałem wiary tym wszystkim słowom. Ale że był jak w grobie, to była prawda i wzbudzał we mnie żywe współczucie.

Prosiłem go, by mi życie swoje w streszczeniu opowiedział. Mówił mi drobniaczko o szczegółach, które już znałem, o Ludwiku XVII, jak był nieszczęśliwy z łajdakiem Simonem, szewcem, jak go skłaniano do stwierdzenia haniebnego oszczerstwa o zwyczajach biednej królowej, matki jego i t. d. Wreszcie

przyszli ludzie w nocy do jego więzienia i zabrali go; w jego miejscu zostawiono głupkowate dziecko, nazwane Mathurin, a jego porwano. Był na ulicy powóz zaprzężony w cztery konie, z których jeden był drewniany i w tym go ukryto. Dotarli szczęśliwie do Renu, ale po przebyciu granicy, generał (powiedział mi jego nazwisko, ale go nie pamiętam), który go był wybawił, był mu przez pewien czas wychowawcą, ojcem, i wysłał go czy odwiózł do Ameryki. Tam młody król bez królestwa liczne miał przeprawy, cierpiał głód na pustyni, walczył, był szanowany na dworze króla Brazylii; szkolony, prześladowany, musiał uciekać. Wrócił on do Europy pod koniec napoleońskiego cesarstwa; uwięziony został w Neapolu przez Joachima Murat, a gdy wolność odzyskał, powaliła go w Bolonii ta nieszczęsna choroba, podczas której ukoronowano Ludwika XVIII.

XX

Opowiadał on te historie ze zdumiewającym wyrazem prawdy. Nie mogąc mu wierzyć, przecież podziwiałem go. Wszystko, co zaszło podczas rewolucji francuskiej, było mu dobrze znane: o tem wymownie mówił i opowiadał przy każdej sposobności ciekawe z tych czasów szczegóły. Bywało czasem w jego mowie coś żołdackiego, lecz nie brakło mu oglądy, którą daje obcowanie z najlepszym towarzystwem. « Czy mi pan pozwalasz, zapytałem, mówić do ciebie, jak do przyjaciela i nie tytułować cię? — Tego tylko pragnę, odpowiedział, nieszczęście tę mi przynajmniej korzyść przyniosło, że poznałem śmieszność próżności. Zaręczam panu, że więcej sobie to cenię, że jestem człowiekiem, niż że jestem królem ».

Rano i wieczór długośmy razem rozmawiali; i, poza tem co mi się w nim komedya być zdawało, wrażenie miałem, że dusza

jego zacna, czysta, żadna wszelkiego dobra moralnego. Kilka razy już mu miałem powiedzieć : « Wybacz, chciałbym wierzyć, że jesteś Ludwikiem XVII, ale szczerze przyznaję, że przeciwne mnie opanowało przekonanie; między odwagę porzucić te brednie ». I rozmyślałem nad wygłoszeniem mu pięknego kazania nad marnością wszelkiego fałszu, nawet na pozór niewinnego.

Z dnia na dzień odkładałem. Zawsze oczekiwałem, by się ścieśniła nasza zażyłość, i nigdy nie miałem odwagi postanowienia wykonać.

Gdy się zastanawiam nad tym brakiem odwagi, tłómaczę go sobie obowiązkową grzecznością, uczciwą obawą sprawienia przykrości i cóż ja wiem... Ale mnie te wymówki nie zadawały i nie mogę zataić, że bym był bardziej ze siebie zadowolony, gdyby mi owo kazanie nie było utkwilo w gardle. Udawać, że się oszustwu wierzy, to małoduszność. Zdaje mi się, że bym tego już nie zrobił. Tak, małoduszność! Pewno, że jakimi by się nie zabezpieczyć subtelnymi wstępami, jest to rzecz nie miła powiedzieć komuś : « Nie wierzę ci ». On się oburzy, stracimy miłą przyjaźń, może obelgami zarzuci. Ale wszelka strata zaszczytniejszą jest od kłamstwa. A może nieborak, który by obelgami miotał, widząc, że jego oszustwo wiary nie uzyskało, uczułby z czasem podziw dla naszej szczerości, co by skłonić go mogło do zastanowienia, które by go zwróciło na lepszą drogę.

Stróże skłaniali się do wierzenia, że on był rzeczywiście Ludwikiem XVII; tyle już widzieli zmian szczęścia, nie tracili nadziei, że on kiedyś wstąpi na tron francuski i zapamięta ich życiowe usługi. Po za ułatwieniem mu ucieczki, mieli dla niego wszystkie względy, jakich tylko pragnął.

Temu zawdzięczam zaszczyt, że widział tego wielkiego pana. Był to człowiek miernego wzrostu, od czterdziestu do

czterdziestu pięciu lat, trochę otyły, o rysach twarzy burbońskich. Prawdopodobnem jest, że przypadkowe podobieństwo do Burbonów skłoniło go do odegrania tej smutnej roli.

XXI

Z jednej jeszcze niegodnej uległości względem ludzkim muszę się oskarżyć. Mój sąsiad nie był bezbożnikiem, i nawet mówił czasem o uczuciach religijnych, jak ktoś, który je ocenia i któremu nie są obce, jednak zachowywał liczne niemądre uprzedzenia przeciw Chrześcijaństwu, którego on mniej badał istotę, niż nadużycia. Powierzchnowna filozofia, która we Francyi, poprzedziła rewolucję i po niej panowała, olśniła go. Zdawało mu się, żeby można Boga czcić z większą czystością, niż wedle przepisów Ewangelii. Choć mało mu znani byli Condillac i Tracy, czcił ich jak najwyższych myślicieli i wystawiał sobie, że ten ostatni rozwiązał wszelkie możliwe pytania, jakie zaprzęgnąć mogą umysł ludzki.

Ja, dalej posunąłem moje studia filozoficzne, czułem słabość nauki doświadczalnej, znałem grube błędy krytyki, któremi wiek Voltaire'a usiłował zohydzić chrześcijaństwo, czytałem dzieła Guénée i innych autorów, którzy udowodnili fałsz tej krytyki, przekonany byłem, że nie można rozsądnie uznawać Boga, a odrzucać Ewangelię, uważałem za rzecz tak nie piękną iść za prądem opinii antychrześcijańskich i nie umieć się wznieść do poznania jak katolicyzm, nie jego karykatura, jest prosty i wspinały, a mimo to popełniłem podłość złożenia ofiary względem ludzkim. Żarty mojego sąsiada głowę mi zawracały, chociaż mi ująć nie mogła ich błahość. Tailem wiarę moją, wahałem się, zastanawiałem się nad tem, czy wskazanem było jego zwalczać, powiedziałem

sobie, że to było niepotrzebne i chciałem siebie przekonać, że jestem usprawiedliwiony.

Podłość! podłość! Cóż znaczy bezczelny nacisk opinii rozpowszechnionych bez podstawy? Prawda, że niewczesna gorliwość jest rzeczą nierozważną, że może bardziej jeszcze rozgniewać niewierzącego. Ale wyznawać otwarcie i skromnie zarazem to, co się stanowczo uważa za ważną prawdę, wyznawać to tam, gdzie prawdopodobnie pochwalonem nie będzie i narazi na szyderstwo, to jest wyraźnym obowiązkiem. I to szlachetne wyznanie można zawsze uczynić, bez przybierania nieważniejszych cech misjonarza.

Jest to obowiązkiem wyznawać ważną prawdę w każdym czasie, gdyż jeżeli niema nadziei, by od razu uznana była, może to jednak duszy dać przygotowanie, z którego wyniknie kiedyś większa bezstronność w sądach i następnie zwycięstwo światła.

XXII

Zostałem w tej celi miesiąc i kilka dni. W nocy z 18 na 19 lutego 1821, obudził mnie dźwięk łańcuchów i kluczy. Widzę wchodzących kilku ludzi z latarnią. Myślałem w pierwszej chwili, że mnie przychodzą zamordować. Ale gdy im się przypatrywałem niespokojny, oto hr. Bolzo przystąpił grzecznie do mnie i poprosił, żebym się prędko ubrał do wyjazdu.

To mnie mocno zdziwiło i już wystawiałem sobie, że mnie mogą odstawić do granic Piemontu. — Czyż podobno, żeby tak wielka burza się w ten sposób rozwiązała? I ja bym odzyskał jeszcze słodką wolność, oglądał na nowo moich drogich rodziców, braci i siostry?

Te głupie myśli opanowały mnie na chwilę. Ubrałem się jaknajprędzej, i poszedłem za moimi towarzyszami i już nie

mogłem pożegnać sąsiada. Zdaje mi się, że usłyszałem jego głos; przykro mi, że mu odpowiedzieć nie mogłem.

« Dokądże jedziemy » zapytałem pana Bolzo, siadając do powozu z nim i z oficerem żandarmeryi: « Nie mogę Panu tego powiedzieć, nim ujedziemy milę za Medyolan. »

Widząc, że powóz nie jedzie ku bramie Vercellina, straciłem wszelką nadzieję. Milczałem. Noc była wspaniała, księżycowa, patrzyłem na te drogie ulice, przez które przechodziłem tyle lat tak szczęśliwy, na te domy, na te kościoły. Wszystko mi odnawiało tysiące miłych wspomnień.

O! Corsia di Porta Orientale. O! publiczne ogrody, po których tyle razy przechadzałem się z przyjaciółmi Foscolo, Monti, Lodovico di Breme, Pietro Borsieri, Porro i jego dwoma synami i tylu innymi drogimi, z którymi rozprawiałem, pełen życia i nadziei! — O! jakże gdy sobie powiem, że was widziałem po raz ostatni, gdy szybko mi z oczu znikacie, czułem, jak was kochałem. Jakiś czas za bramę wyjechali, spuściłem trochę kapelusz na oczy i zapłakałem.

Ujechawszy więcej jak milę, odezwałem się: « Przypuszczam, że jedziemy do Werony? — Dalej jeszcze, jedziemy do Wenecyi, gdzie mam pana oddać w ręce komisji specjalnej ». Jechaliśmy pocztą bez zatrzymania i stanęliśmy w Wenecyi 20 Lutego.

We wrześniu roku poprzedniego, w miesiąc przed moim aresztowaniem, byłem w Wenecyi i obiadowałem w licznej towarzystwie w hotelu « della Luna ». Rzecz dziwna, do tego samego hotelu mnie zaprowadzono.

Jeden ze służących osłupiał, poznając mnie i widząc że jestem w rękach siły zbrojnej (choć żandarm i jego pomocnicy byli przebrani za lokajów).

Po obiedzie zaprowadzono mnie do pałacu Dożów gdzie są teraz Trybunały. Przeszedłem pod drogiemi arkadami « delle

Procuratie », naprzeciwko sławnej kawiarni Florian, gdzie tyle pięknych wieczorów spędziłem ostatniej jeszcze jesieni. Nie spotkałem nikogo ze znajomych.

Przeszliśmy przez Piazzettę. Na tym samym placu we Wrześniu przeszłym żebrak mi te dziwne powiedział słowa : — « Widać, że pan nie tutejszy ; ale nie rozumiem, dlaczego wszyscy cudzoziemcy podziwiają piękność tego miejsca tak samo jak pan : dla mnie miejsce to jest przeklęte, i nie przechodzę tędy nigdy, jak tylko kiedy jestem do tego zmuszony, « Musiało cię tu spotkać jakieś nieszczęście ? — Tak, panie, nieszczęście okropne, i nietylko mnie. Niech pana Pan Bóg strzeże ! » I oddalił się szybko. A teraz, wracając do tego samego miejsca, nie mogłem nie przypomnieć sobie słów tego biedaka. I to znowu na tym samym placu, roku następnego, wstąpiłem na rusztowanie, aby wysłuchać wyroku śmierci i ułaskawienia na piętnaście lat ciężkiego więzienia.

Gdybym głowę miał zaprzątą mistycyzmem, wielce bym cenił tego żebraka, który mi tak stanowczo zapowiedział, że to miejsce przeklęte. Ale o tem wspominam tylko, jako o ciekawem zdarzeniu.

Weszliśmy do pałacu ; hr. Bolzo rozmówił się z sędziami, poczem oddał mnie w ręce dozorczy więziennego i żegnając się ze mną, uściskał mi rękę z rozrzewnieniem.

XXIII

Poszedłem milczący za dozorcą. Przeszedłszy przez różne korytarze i sale, doszliśmy do małych schodów prowadzących do więzień pod dachem ołowianym « Sotto i Piombi » sławnych z czasów końca Rzeczypospolitej Weneckiej. Tu dozorca zapisał

moje nazwisko, poczem zamknął mnie w pokoju, który mi przeznaczono.

Tak zwane « ołowie » są częścią najwyższą dawnego pałacu Dożów, całego krytego ołowiem.

Mój pokój miał wielkie okno z ogromnemi żelaznemi kratami z widokiem na dach kościoła Św. Marka, również pokryty ołowiem. Poza kościołem widać było w oddali koniec placu i ze wszystkich stron niezliczoną ilość kopuł i wieżyc. Olbrzymia wieża Św. Marka była odemnie oddalona o długość kościoła i mogłem słyszeć głos tych, którzy trochę głośniejszymi rozmawiali na samym jej szczycie. Widać też było po lewej stronie kościoła część dużego dziedzińca pałacowego i jedno wejście. W tej części znajduje się publiczna studnia, do której bez ustanku ludzie po wodę przychodzą. Ale moje więzienie było tak wysoko, że ludzie wyglądali na dole, jak małe dzieci, a głosu ich nie można było dosłyszeć, chyba jak na kogo wołali. Czuję się o wiele samotniejszy, niż w więzieniu medyolańskim.

W pierwszych dniach kłopoty procesu kryminalnego, wytoczonego mi przez komisję specjalną, zasmucały mnie, a przyłączało się może do tego przykre uczucie większego osamotnienia. Poza tem byłem bardziej oddalony od rodziny i nie miałem już żadnych o niej wiadomości. Nowe twarze, które widziałem, nie były mi wstrętne, ale zachowywały powagę prawie przerażającą. Rozniesiono przesadne wieści o spiskach w Medyolanie i w reszcie Włoch, na rzecz niepodległości, a przypuszczano, że ja byłem jednym z podżegaczy najmniej przebaczenia godnych. Moja skromna sława literacka znaną była dozorczy, żonie jego, córce, dwóm synom i dwóm stróżom, a ci wszyscy, kto wie, czy sobie nie wyobrażali, że autor tragedyi, to rodzaj czardzieja.

Byli poważni, nieufni, pragnący jak najwięcej się ode mnie dowiedzieć, ale pełni względów.

Po pierwszych dniach obłaskawili się wszyscy i zdali mi się poczciwi. Żona najbardziej utrzymywała powagę dozorczy. Była to kobieta o suchym wyglądzie, lat około czterdziestu, o mowie dziwnie suchej, nie dająca najmniejszego dowodu, by zdolną była do jakiegokolwiek życzliwości dla kogokolwiek, prócz dzieci swych.

Zwykle przynosiła mi kawę rano i po obiedzie, wodę, bielezinę. Towarzyszyli jej zwyczajnie córka, piętnastoletnia, nieładna, ale o miłosiernych oczach i dwaj synkowie, trzynastoletni i dziesięcioletni. Odchodzili potem z matką, a te trzy młode twarzyczki zwracały się ku mnie, gdy drzwi zamykano. Dozorca do mnie przychodził tylko, gdy miał mnie prowadzić do sali, gdzie się zbierała komisya śledcza. Stróże rzadko przychodzili, bo zajęci byli więzieniami policyjnymi, umieszczonemi na niższem piętrze, gdzie dużo zawsze było złodziei. Jeden z tych dozorców był starzec przeszło siedmdziesięcioletni, ale jeszcze mogący prowadzić to męczące życie biegania wiecznie po schodach do różnych więzień. Drugi był młodzieniec dwudziesto-cztero czy pięcio-letni, pochłopniejszy do opowiadania o swoich miłostkach, niż do pełnienia służby.

XXIV

O tak! Utrapienia procesu kryminalnego są straszne dla oskarżonego o wrogie uczucia względem państwa! Jaka obawa zaszkodzenia komu! Jak trudno walczyć z tylu oskarżeniami, tylu podejrzeniami! Jakie prawdopodobieństwo, że się sprawa coraz gorzej zapłaczę, jeżeli się proces prędko nie skończy, jeżeli zajdą nowe aresztowania, jeżeli się nowe wykryją nieroztropności osób, choćby nieznajomych, ale należących do tego samego stronnictwa!

Postanowiłem nie mówić o polityce, trzeba tedy, żebym pominął wszelkie sprawozdanie dotyczące procesu. Powiem tylko, że często, przepędziwszy długie godziny na śledztwie, wracałem do mojej celi tak gniewem uniesiony i wzburzony, że byłbym się zabił, gdyby mnie nie powstrzymywał głos wiary i pamięć na ukochanych rodziców. Spokój, który, zdawało mi się, żem już od Medyolanu nabył, przepadł. Przez kilka dni straciłem nadzieję odzyskania go, były to dni piekielne. Wówczas przestałem się modlić, zwątpiłem o sprawiedliwości Bożej, przeklinałem ludzi i świat cały i obrabiałem wszystkie możliwe sofizmaty o marności cnoty.

Człowiek nieszczęśliwy i rozjątrzony jest bardzo skłonny do szkalowania bliźnich i samego Stwórcę. Złość jest bardziej niemoralna, bardziej zbrodnicza, niż się to zwykle przypuszcza. Ale że niepodobna ryczeć od rana do wieczora całemi tygodniami, i że dusza najmocniej złością opanowana, ma z konieczności swoje chwile spoczynku, na tych chwilach odbija się zwykle niemoralność, która je poprzedziła. Wtedy zdaje się, że się ma pozorny spokój fałszywy, nie boży; uśmiech dziki, bez miłości, bez godności, pragnienie nieporządku, upojenie szyderstwa.

W takim usposobieniu śpiewałem całemi godzinami z pewnego rodzaju wesołością jałową; żartowałem z tymi wszystkimi, którzy wchodzili do mojej celi; zmuszałem się do rozważania wszystkiego mądrością pospolitą, mądrością cyników.

Ten niegodziwy czas krótko trwał; sześć czy siedm dni. Biblia moja pokryła się kurzem. Jedno z dzieci dozorczy, pieszcząc się ze mną, powiedziało: « Odkąd pan nie czyta tego książki, nie jest tak smutny, tak mi się zdaje. — Tak ci się zdaje? » powiedziałem mu. I wzięwszy Biblię, chustką starłem z niej kurz; otworzyłem ją na los szczęścia; wpadły mi w oczy

te słowa : « I rzekł do uczniów swoich : nie podobna jest, aby zgorszenia przyjść nie miały ; lecz biada temu przez kogo przychodzi. Pożyteczniej mu jest, gdyby młyński kamień zawieszono mu na szyi i rzucono go w morze, niżli by miał zgorszyć jednego z tych malutkich. »

Uderzyło mnie, że na te słowa trafił ; zarumieniłem się na myśl, że ten chłopczyk spostrzegł się po kurzu, który książkę pokrywał, że już Biblii nie czytam i z tego wnioskował, że się stałem bardziej uprzejmym, stając się mniej dbałym o Boga.

A ty urwiszu ! powiedziałem mu z serdecznym wyrzutem i z żalem, że go zgorszyłem. To nie jest żadne książczyśko, i od kilku dni, odkąd nie czytałem tej książki, jestem znacznie gorszym. Jak ci twoja matka pozwala chwilkę ze mną przepędzić, staram się odpędzić zły humor ; ale żebyś wiedział, jak on mnie ogarnia, kiedy jestem sam, kiedy słyszysz mnie śpiewającego, jak szaleńca.

XXV

Chłopiec odszedł, a ja uczułem pewną radość, że wziętem znowu Biblię do ręki ; że wyznałem, iż staję się gorszym bez niej. Zdawało mi się, że zadość uczyniłem szlachetnemu przyjacielowi, któremu niesłusznie ubliżyłem i że się z nim pogodziłem. — I ja Ciebie opuściłem, mój Boże ? krzyknąłem. I sprzeniewierzyłem się ? I mogłem wierzyć, że niegodziwy śmiech cynizmu przystoi memu rozpaczliwemu położeniu ?

Powiedziałem te słowa ze wzruszeniem niewymownem ; położyłem Biblię na stołku, klęknąłem do czytania i ja, któremu płakać tak trudno, zalałem się łzami.

Te łzy były tysiąc razy słodsze od wszelkiej rozkoszy zwierzęcej : odczułem ponownie obecność Boga ! miłowałem Go ! Wyrzucałem sobie, że Jego obraziłem, siebie zbezczeszczając !

i przyrzekałem, że już nigdy od Niego nie odstąpię, już nigdy !

O, jakże szczerzy powrót do Boga pociesza i ducha wznosi !

Czytałem i płakałem przeszło godzinę i powstałem pełen ufności, że Bóg ze mną, że Bóg mi przebaczył moje szaleństwo. Wtedy moje nieszczęście, udręczenia procesu, prawdopodobna szubienica wydały mi się rzeczami małej wagi. Unosiłem się radością, że cierpię, bo to mi dawało sposobność spełnienia jakiegoś obowiązku : a cierpiąc z poddaniem, posłuszny byłem Panu. Biblię, z łaski niebios, umiałem czytać. Nie był to już czas kiedy ją sądziłem marną krytyką Voltaire'a, wyszydzając wyrażenia, które nie są śmieszne, lub fałszywe, chyba kiedy przez prawdziwe nieuctwo lub przewrotność nie przenika się ich znaczenia. Mnie przedstawiała się jasno, jako kodeks świętości, a zatem prawdy : jakże zrażenie się do niej z powodu niektórych jej niedoskonałości formy, jest niefilozoficznym i podobnem do pyszałkowatości tych, co pogardzają tem wszystkim, co niema wykwintnych kształtów ; jakaż to nedoręczność wystawiać sobie, że taki zbiór ksiąg, tak bogobojnie wielbionych pochodzi ze źródła niewiarogodnego ; jakaż to wyższość tych pism nad Koranem, nad teologią indyjską.

Wielu ich nadużyło, wielu chciało mieć z nich kodeks niesprawiedliwości, uświęcenie ich zbrodniczych namiętności. To jest prawda ; ale powracamy zawsze do tego samego : wszystkiego można nadużyć, a kiedyż nadużycie rzeczy doskonałej upoważniło do powiedzenia, że ona sama w sobie jest niegodziwa ?

Jezus Chrystus twierdzi : całe prawo i prorocy, cały ten zbiór świętych ksiąg streszcza się w przykazaniu miłości Boga i ludzi. A takie pisma, nie byłyby prawdą wszystkich wieków ? Nie byłyby słowem wiecznie żywym Ducha Świętego ?

Gdy się te myśli we mnie rozbudziły, odnowiłem postanowienie zastosowania do wiary wszystkich moich myśli o spra-

wach ludzkich, wszystkich moich zapatrywań o postępach cywilizacji, o mojej filantropii, o mojej miłości Ojczyzny, wszystkiego tego co dusza moja miłuje. Te kilka dni, które przepędziłem w cynizmie, mocno mnie skalały. — Odczuwałem tego skutki przez długi czas, i musiałem się natrudzić, żeby je zwyciężyć. Ile razy człowiek ulega choć troszkę pokusie spodlenia swego umysłu, patrzenia na dzieła Boże przez piekielną lupę szyderstwa, zaprzestania błogosławionego przywyknienia modlitwy, zamęt jaki sprawia w swym rozumie, usposabia go do łatwego upadku. Przez kilka tygodni napadany byłem jakby co dnia silnemi myślami niewiary, musiałem użyć całej siły ducha, żeby je odpychać.

XXVI

Kiedy te walki ustały i wydało mi się, że się ponownie umocniłem w przywyknieniu uwielbiania Boga każdą moją wolą, zakosztowałem przez jakiś czas najśłodsze go pokoju. Badania, którym mnie poddawała komisya, co dwa lub trzy dni, jakkolwiek przykre, już nie pociągały za sobą długiego niepokoju. Starałem się w tem trudnem położeniu nie uchybić obowiązkom i uczciwości i przyjaźni, a potem sobie mówiłem, że Panu Bogu resztę poruczam.

Stałem się znowu dokładnym w przewidywaniu codziennem wszelkiej niespodzianki, wszelkiego wzruszenia, wszelkiego możliwego nieszczęścia; i to ćwiczenie cieszyło mnie znowu nie mało.

Tymczasem moja samotność się wzmogła. Dwaj synowie dozorczy, którzy z początku bywali czasami u mnie, teraz chodzą do szkoły i dla tego mało czasu przepędzają w domu, do mnie już nie zaglądają. Matka i siostra, które, gdy chłopcy byli

w domu, także się często zatrzymywały u mnie na pogadance, teraz już się nie pokazują, jak tylko żeby przynieść mi kawę i zaraz odchodzą.

O matkę nie wiele mi chodziło, bo nie zdawała się mieć duszy litościwej. Ale córka, chociaż nie ładna, miała w spojrzeniu i słowach słodycz, która nie była dla mnie bez wdzięku. Jak mi kawę przynosiła i mówiła mi: « Ja ją zgotowałam », kawa wydawała mi się zawsze znakomita. Jak mówiła: « Mama ją zgotowała », była to ciepła woda.

Widząc tak rzadko istoty ludzkie, zwróciłem uwagę na mrówki, które na okno moje wychodziły; żywiłem je wystawnie; poszły i zwołały całe wojsko towarzyszek, i okno zapełniło się niemi. Zwróciłem też uwagę na pięknego pajaka, który pajęczynę zakładał na jednej z moich ścian. Żywiłem go komarami i muszkami; tak się zaprzyjaźnił ze mną, że przychodził na łóżko i na rękę brać łup z palców moich.

Bodajby te mnie tylko odwiedzały owady. Była to jeszcze wiosna, a już się komary mnożyły, mogę rzeczywiście powiedzieć, w sposób zastraszający. Zima była niezwykle łagodna i, po kilku wichrach marcowych, nastąpiło ciepło. Niesłychana rzecz, jak się rozgrzało powietrze mojej nory. Wprost na południe, pod ołowianym dachem, ze światłem, odbijającym się w straszny sposób z sąsiedniego ołowianego dachu, wyraźnie się dusiłem. Nie miałem wyobrażenia o tak przynębiającym upale. Do tej męczarni przybywały komary w takich ilościach, że jakkolwiek się rozbijałem i tępiłem je, byłem niemi pokryty; łóżko, stolik, stołek, podłoga, ściany, sufit, wszystko niemi pokryte było, a w powietrzu była ich moc, które wlatywały przez okno, piekielne sprawiając brzęczenie. Ukąszenia tych stworzeń są bolesne, a gdy się powtarzają od rana do wieczora, od wieczora do rana i trzeba ciągle z przykrością myśleć o tępieniu ich liczby, dostatecznie się cierpi na ciele i duszy. Gdy,

doznawszy tej plagi, nie mogłem uzyskać, by mi zmieniono więzienie, opanowała mnie pokusa samobójstwa i chwilami obawiałem się, że zwaryuję. Ale, dzięki niebu, niedługotrwałe były te złości, a wiara mnie dalej podtrzymywała. Ona mnie przekonywała, że człowiek musi cierpieć, cierpieć odważnie; odczuwać mi dawała pewną wolę cierpienia, zadowolenie z niepoddania się, ze zwyciężenia wszystkiego.

Powiadałem: « Czem mi się boleśniejsem staję życie, tem mniej przerażony będę, jeżeli, choć tak młody, skazany zostanę na śmierć. Bez tych przedwstępnych cierpień, byłbym tchórzliwie umarł. No, i jakimi ja cnotami zasłużyłem na szczęście? Gdzie one?

Przetrząsając przeszłość, ze sprawiedliwą surowością, nie znajdowałem w latach przeżytych nic, prócz kilku znośnych drobiazgów; poza tem głupie namiętności, bałwochwalstwo, dumna i fałszywa cnota. No, wnioskowałem tedy, cierpże, niegodny! Jeżeli cię ludzie i komary ubijają ze samej złości i bezprawnie, uznaj w nich narzędzia sprawiedliwości Bożej i zamilcz!

XXVII

Czyż człowiekowi potrzeba wysiłku by się szczerze upokorzyć? by uznać że jest grzesznikiem? Czyż nie jest prawdą, że wogóle trwonimy młodość na próżno i, zamiast użycia wszystkich sił do postępowania na dobrej drodze, największą ich część marnujemy na podlenie się? Bywają wyjątki, ale one nie dotyczą mojej biednej osoby. I nie mam żadnej zasługi, żem niezadowolony ze siebie. Kiedy się widzi lampę więcej wydzielającą dymu niż ognia, nie potrzeba wielkiej szczerości do przyznania, że się nie pali jak należy.

Tak, bez spodlenia się, bez skrupułów bigoteryi, patrząc na siebie z całym możliwym spokojem umysłowym uznawałem, że zasługuję na kary boskie. Głos wewnętrzny mówił mi: takie kary, jeżeli nie za to, to za tamto ci się należą; służą one do zwrócenia cię na nowo do Tego, który jest doskonałym i do naśladowania którego śmiertelnicy są powołani w miarę swych ograniczonych sił.

Cóż by to był za rozum, gdybym zmuszony sam siebie potępić, za tysiączne niewierności względem Boga, żalił się ze mi się jedni ludzie wydają podli, a inni niecni; gdyby mnie pozbawiono dóbr ziemskich; gdybym miał zamrzeć w więzieniu lub karę śmierci ponieść?

Usiłowałem sobie wrazić do serca te myśli tak słuszne i tak odczute, a to uczyniwszy, wiedziałem, że trzeba być w zgodzie z samym sobą, i że tego nie zdołam dokonać inaczej, jak tylko błogosławiąc sprawiedliwe sądy Boże, kochając je i gasząc w sobie wszelką wolę im przeciwną.

Żeby lepiej się utwierdzić w tym zamiarze, myślałem, że powinienem odtąd pilnie czuwać nad moimi myślami, spisując je. Biedą było, że komisya, pozwalając, bym miał kałamarz i papier, kartki papieru mi obliczała i, nie pozwalając żadnej zniszczyć, zastrzegała sobie prawo przekonania się, jaki z nich użytek zrobiłem. Żeby zastąpić brak papieru, uciekłem się do niewinnej sztuczki; wygładziłem kawałkiem szkła ordynarny stół, i na nim tedy pisałem co dnia długie rozmyślenia o obowiązkach ludzkich i moich w szczególności.

Nie przesadam, mówiąc, że godziny tak użyte były mi czasami rozkoszne, mimo trudności oddychania, jakiej doznawałem z powodu strasznego upału i niezmiernie bolesnych ukąszeń komarów. Dla zmniejszenia ich liczby, musiałem, mimo upału, zawijać głowę i nogi, i pisać nie tylko w rękawiczkach, ale obwijając ręce tak, by komary nie wkraδαły się do rękawów.

Te moje rozmyślenia miały raczej cechę pamiętników. Pisałem dzieje wszystkiego, co się we mnie działo dobrego i złego od dzieciństwa, rozprawiając potem sam ze sobą, starając się rozstrzygnąć wątpliwości, porządkując, jak mogłem, moje wiadomości i wszystkie zdania moje o każdej rzeczy.

Kiedy cała powierzchnia stoliczka, dająca się zużytkować, była już zapisana, czytałem i odczytywałem, rozmyślałem o tem, o czem już byłem rozmyślał i nareszcie postanowiłem (często z przykrością) wszystko zdrapać szkłem, by ponownie zdobyć wolną przestrzeń do zapisania znowu myśli moich.

Pisałem dalej moje dzieje, wiecznie opóźnione wywodami wszelkiego rodzaju, rozbiorem tego lub owego punktu metafizyki, moralności, polityki, religii, a jak cały stół zapisałem, znowu zabierałem się do czytania i odczytywania, a potem do wyškrobania.

Nie chcąc mieć żadnej przeszkody w powtórzeniu sobie samemu z najswobodniejszą wiernością wypadków, które wspominałem i zdań moich, a przewidując możność jakichś odwiedzin śledczych, pisałem, używając skrótów i przedstawiając głoski, do czego byłem bardzo wprawiony. Wszakże nie zdarzyły się takie odwiedziny i nikt się nie domyślał, że tak mile spędzam smutny dla mnie czas. Gdy słyszałem, że dozorca lub kto inny drzwi otwiera, przykrywałem stoliczek serwetą i stawiałem na niej kałamarz i uprawnione pięć ćwiartek papieru.

XXVIII

Tym uprawnionym ćwiartkom też kilka godzin poświęcałem, a czasem i dzień cały i całą noc. Zapisywałem tam prace literackie. Wtędym napisał *Ester d'Engaddi* i *Iginia d'Asti* i pieśni zwane *Tancreda*, *Rosilde*, *Eligi e Valafrido*, *Adello* i kilka innych

zarysów tragedii i innych płodów, a między nimi zarys poematu o *Lidze Lombardskiej* i innego o *Krzysztofie Kolumbie*.

Wobec tego, że odnowienia moich pięciu kartek, gdy zużyte były, ani łatwo, ani prędko uzyskać nie można było, do pierwszego rzutu wszelkiej pracy używałem stolika lub papieru w którym kazałem sobie przynosić figi lub inne owoce. Czasami dawałem mój obiad któremu z pomocników, wmawiając w niego, że nie głodny, a skłaniałem go do dania mi kilku ćwiartek papieru. To się wtedy tylko zdarzało, gdy stolik był już cały zapisany, a ja się zdobyć nie mogłem na zeskrobanie go. Wtedy głód cierpiałem i chociaż dozorca miał moje pieniądze, nie prosiłem go o jedzenie dzień cały, po części dla tego, by mnie nie posądzał o to, że zmyślał, zaręczając, że nie głodny. Wieczorem podniecałem się silną kawą i błagałem, by ją zgotowała siora Zanze. Była to córka dozorcę, która, gdy to uczynić mogła pokrywom przed matką, gotowała mi ją nadzwyczaj mocną; tak że, wobec pustego żołądka, sprawiało mi to podniecenie nie bolesne, ale które mnie rześkiego noc całą trzymało.

W tym stanie częściowego upojenia czułem jakby zdwojone siły umysłowe, wiersze pisałem, filozofowałem, modliłem się do świtu z niesłychaną rozkoszą. Poczem mnie ogarniała nagła słabość; wtedy rzucałem się na łóżko i, mimo komarów, którym, jakkolwiek owinięty byłem, udawało się krew moją ssać, spałem twardo godzinę lub dwie.

Te noce, wskutek działania silnej kawy na pusty żołądek, spędzone w tak miłym podnieceniu, zbyt mi się błogiemi wydawały, bym ich sobie często sprawiać nie miał. To też bez potrzeby papieru pomocnika, nie rzadko nie tykałem obiadu, by zyskać wieczorem upragnione upojenie czarodziejskim trunkiem. Szczęśliwy, gdym celu dopiął. Nieraz mi się zdarzyło, że kawy nie zgotowała litościwa Zanze i była to nieskuteczna lura.

Wtedy mnie ta psota trochę humor psuła. Zamiast się czuć podnieconym, byłem marny, ziewałem, czułem głód, rzucałem się na łóżko, a zasnąć nie mogłem.

Skarżyłem się potem, a Zanze się litowała. Kiedyś, gdym jej gorzkie czynił wymówki, jakoby mnie była oszukała, biedaczka się rozplakała i powiedziała mi: « Panie, ja nigdy nikogo nie oszukałam, a wszyscy nazywają mnie oszustką. — Wszyscy? A no to widać, że nie ja jeden się wściekam z powodu tej lury. — Nie to chciałam powiedzieć. O! gdybyś pan wiedział! Gdybym mogła serce moje w pańskie przelać!... — Ale nie płacz tak. Cóż ci jest u licha? Przepraszam cię, że ci niesłusznie robił wymówki. Wierzę chętnie, że to nie twoja wina, że kawa była tak zła. — O, nie dlatego płaczę, panie. »

Upokorzyło to moją miłość własną, ale się uśmiechnąłem: « Więc płaczesz przy sposobności moich wymówek, ale z powodu czego innego. — Prawdziwie, że tak. — Któż cię wyzwał od oszustki? — Kochanek. » I poczerwieniała. I w pełnem prostoty zaufaniu opowiedziała mi sielankę komiczno-poważną, która mnie wzruszyła.

XXIX

Od tego dnia zostałem, nie wiem dlaczego, powiernikiem dziewczęcia i ona poczęła długie zemną miewać rozmowy. Mówiła mi: « Panie, pan jesteś taki dobry, że spoglądałam na pana, jakby córka mogła spoglądać na swego ojca. — Brzydkie czynisz mi oświadczenie, odpowiedziałem, odpychając jej rękę: mam zaledwie 32 lat, a już na mnie patrzysz jakby na swego ojca. — No to, panie, powiem, jakby na brata ». I gwałtem porwała mi rękę i trzymała ją czule. A to wszystko było jaknajniewinniejsze. Mówiłem do siebie:

« Szczęście, że ona nie jest piękną! Inaczej ta niewinna poufałość mogłaby mnie głowę zawrócić. » To znowu: « Szczęście, że to taki podłotek. Niema niebezpieczeństwa, żebym się zakochał w tak młodem dziewczęciu.

Czasem napadał mnie pewien niepokój, wydawało mi się, że się pomylił, sądząc, że jest brzydka i musiałem przyznać, że rysy jej i kształty nie były szpetne: « Gdyby nie była taka blada — mówiłem sobie — i nie miała tych piegów na twarzy, mogłaby uchodzić za piękną.

Prawda, że niepodobna nie znaleźć pewnego uroku w obecności, w wejrzeniu, w rozmowie dziewczeczki żywej i czulej. No, i ja nic nie uczyniłem, by zdobyć jej życzliwość, a byłem jej drogiem, jak ojciec, czy jak brat, do mojej woli. Czemu? dla tego, że przeczytała Francesca da Rimini i Eufemio i nad moimi wierszami tak się napłakała, a potem dlatego, że byłem więźniem i to, jak mówiła, nic nie ukradłszy i nikogo nie zamordowa-
wszy!

Słowem, ja, który się przywiązałem do Magdaleny nie widziawszy jej, jakże bym mógł być zostać obojętnym na siostrzane serdeczności, na ujmujące pochlebstwa, na wyśmienitą kawę Wenecyaneczki, młodziutkiej dozorczyń?

Byłbym oszustem, gdybym przypisywał roztropności, że się nie zakochał. Nie zakochałem się jedynie dlatego, że ona miała kochanka, za którym szalała. Biada mnie, gdyby nie to!

Ale jeżeli uczucie, którym mnie raczyła, nie było tem, co się zowie miłością, wyznaję że się nieco do niego zbliżało. Pragnąłem, by była szczęśliwą, by się jej udało pójść za tego, ktoby jej się podobał; nie miałem najmniejszej zazdrości, najmniejszej myśli, by ona mogła mnie obrać za przedmiot swojej miłości. Ale gdy słyszałem, że się drzwi otwierały, serce mi biło w nadziei, że to Zanze; a jak to nie była ona, byłem nie rad, a kiedy to ona była, serce mocniej mi biło i weseliło się.

Jej rodzice, którzy już sobie dobre pojęcie o niej wyrobili i którzy wiedzieli, że ona była szalenie zajęta innym, pozwalali jej prawie zawsze przynosić mi ranną kawę, a czasami i wieczorną.

Miała ona prostotę i serdeczność ujmującą. Mawiała mi: « Jestem tak zakochana w innym, a jednak tak chętnie przy panu zostaję; kiedy nie widzę mego kochanka, wszędzie mi nudno z wyjątkiem tutaj. — Czy nie wiesz dlaczego? — Nie wiem. — Ja ci to powiem; dla tego, że ci dam mówić o kochanku twoim! — Być może; ale zdaje mi się, że i dlatego, że ja pana tak bardzo, bardzo szanuję! — Biedne dziewczę! Miało ono tę przemiłą wadę, że ciągle brała mnie za rękę i ścisła ją, nie spostrzegając się, że to mi zarazem przyjemność i niepokój sprawia. Dzięki Niebu, że mogę wspomnieć tę pocziwą istotę bez najmniejszego wyrzutu.

XXX

Te kartki byłyby z pewnością rozkoszniejsze, gdyby Zanze była się zakochała we mnie albo, przynajmniej, gdybym ja był szalał za nią. A jednak ta prosta życzliwość, która nas łączyła, droższą mi była nad miłość. I jeżeli chwilami obawiałem się, że mogłaby w mojem niemądrem sercu zajść zmiana, wtedy naprawdę zasmucałem się.

Razu jednego w wątpliwości, czy to się nie zdarzy, zrozpaczony, że mi się wydaje (nie wiedziałem pod jakim urokiem) sto razy piękniejszą, niż mi się wydawała z początku, zdziwiony ze smutku, jakiego czasami doznawałem w oddaleniu od niej i z radości, jaką mi sprawiała jej obecność, począłem przez dwa dni być rubasznym, wystawiając sobie, że się nieco odzwyczai od poufałości, do której przywykła ze mną. Środek mało był

wart. Ta dziewczynka była tak cierpliwa i litościwa! Opierała się łokciem na oknie i tak stała, patrząc na mnie w milczeniu, potem mówiła mi: « — Pan jesteś znudzony mojem towarzystwem; a jednak gdybym mogła, przepędziłabym tu dzień cały, właśnie dlatego, bo widzę, że trzeba panu rozrywki. Ten zły humor jest naturalnym skutkiem samotności. Ale jeżeli spróbuje pan trochę pogawędzić, zły humor się rozejdzie. A jeżeli pan mówić nie chce, to ja mówić będę. — O swoim kochanku? — O nie! nie zawsze o nim; umiem mówić i o czem innym ». I w istocie zaczęła mi opowiadać o swoich domowych sprawach, o cierpkim usposobieniu matki, o dobroduszości ojca, o siostrzyczkach i braciach; a jej opowiadania były pełne wdzięku i prostoty. Ale nie zdając sobie z tego sprawy, wpadała coraz w przedmiot ulubiony, swoją nieszczęsną miłość.

Nie chciałem odstąpić od mojej rubaszości i miałem nadzieję, że to ją zniechęci. Ona zaś, czy to bezwiednie, czy umyślnie, nie zdawała się tego spostrzegać i ostatecznie musiałem się wypogodzić, usmiechać, wzruszać się, dziękować za jej słodką cierpliwość względem mnie.

Porzuciłem niewdzięczną myśl zrażenia jej, a po trochu moje obawy się uspokoiły. Istotnie nie byłem nią zajęty. Badałem przez długi czas moje skrupuły; moje rozmyślanie o tym przedmiocie, a uwolnienie od tej zmory ucieszyło mnie.

Człowiek czasami się trwoży bez powodu. Chcąc się od trwogi uwolnić, trzeba się zastanowić uważniej i dokładniej.

I cóż w tem złego, jeżeli pragnąłem z czułym niepokojem jej odwiedzin, jeżeli odczuwałem ich słodycz, jeżeli miłe mi było, że ma dla mnie współczucie, że płacę czułością za czułość, kiedy myśli nasze wzajemnie były czyste, jaknajczystsze myśli dziecinne, kiedy uściśnienie ręki, kiedy najczulsze jej wejrzenie, wzruszając mnie, napełniały mnie zbawiennem poważaniem.

Raz wieczorem, zwierzywszy się z wielkiego zmartwienia,

jakiego doznała, biedaczka zarzuciła mi ręce na szyję i zalała mi twarz swemi łzami. W tym pocałunku nie było żadnej myśli złej. Córka nie mogłaby uściskać ojca z większem uszanowaniem.

Jednak po tym wypadku pozostałem pod jego wrażeniem. Ten pocałunek często mi na myśl wracał i wtedy nie mogłem myśleć o czem innem.

Inny raz, gdy się z takim zaufaniem mnie na szyję rzuciła, wnet się uwolniłem z jej drogich objęć, nie ściskając jej, nie całując, i wybąkałem: « Zanze, już mnie nigdy nie całuj; to nie dobrze ».

Popatrzała na mnie, oczy spuściła i zarumieniła się; i na pewno po raz pierwszy wyczytała w duszy mojej możliwość słabości z mojej strony względem niej.

Nie przestała ona odtąd być ze mną poufała z większem uszanowaniem, zgodnem z życzeniem mojem i byłem jej za to wdzięcznym.

XXXI

Nie mogę mówić o cudzych przykrościach: ale co do tych, które los mnie przeznaczył, odkąd jestem na świecie, muszę wyznać, że dobrze je badając, zawsze znalazłem jakąś w nich korzyść dla mnie. Tak, nawet ten upał okropny który mnie gnębił, i te chmary komarów, które taką zajadłą wojnę ze mną toczyły! Tysiąc razy się nad tem zastanawiałem. Gdyby nie takie nieustające udręczenia, czy bym był miał wytrwałą czujność potrzebną, by się obronić od zakóchania, które mi groziło i które by się z trudnością było utrzymało w granicach dostatecznego uszanowania, przy usposobieniu tak wesołem i pieśczośliwym tego dziewczęcia? Jeżeli wtedy tak sam się o siebie obawiałem, będąc w takim stanie, jakże byłbym mógł zapanować

nad majaczeniem mojej wyobraźni, gdyby powietrze było cokolwiek przyjemniejsze i usposabiało do uciechy?

Przy braku przezorności rodziców Zanzzy, którzy tak mi ufali, przy nieroztropności Zanzzy, która się niedomyślała, że mogłaby mi się stać powodem do grzesznego upojenia, przy małym bezpieczeństwie, jakiego się od własnej cnoty spodziewać mogłem, niema wątpliwości, że zaduszający skwar tego pieca i okrutne komary były rzeczą zbawienną.

Te myśli godziły mnie jako tako z temi plagami.

I wtedy pytałem sam siebie: Czy chciałbyś być wolnym, zamieszkać w dobrym pokoju, oddychać świeżem powietrzem, ale już nie widzieć tej serdecznie życzliwej istoty?

Czy mam prawdę wyznać? Nie miałem odwagi odpowiedzieć na to pytanie. Kiedy się komu dobrze życzy, niewymowną przyjemność sprawiają rzeczy na pozór nic nie znaczące. Często jedno słowo Zanzzy, uśmiech, łza, wdzięczny zwrot jej weneckiego narzecza, zgrabność jej ręki w odpędzaniu chustką lub wachlarzem komarów od siebie i odemnie, wlewały mi w duszę jakąś radość dziecinna, która trwała dzień cały. Szczególniej miło mi było widzieć, że jej smutki, gdy ze mną mówiła, że moja litość była jej miłą, że moje rady ją przekonywały i że jej serce się rozpałało, kiedyśmy rozprawiali o cnotcie i o Bogu: « Kiedyśmy rozmawiali o wierze, mówiła mi, modłę się chętniej i z większą wiarą ».

Czasem, przerywając znienacką jaką rozmowę płochą, brała biblię, otwierała, całowała na los szczęścia jaki wierszyk i chciała, żebym jej go przetłumaczył i objaśnił. I mówiła: « Chciałabym, byś pan, ile razy odczytasz ten wierszyk, przypomniat sobie, że ja go pocałowałam. Nie zawsze, prawdę mówiąc, jej pocałunki przypadały właściwie (szczególniej, kiedy jej się zdarzało otworzyć na Pieśni nad Pieśniami). Wtedy, żeby się nie zarumieniła, korzystałem z tego, że nie umie po łacinie,

by ułożyć zdania, które strzegąc świętości Księgi, szanowały i jej niewinność, mając dla jednej i dla drugiej najwyższą cześć. W takich razach nie pozwalałem sobie nigdy na uśmiech. Byłem jednak w niemałym kłopotcie, kiedy ona czasami, nie bardzo rozumiejąc mojego rzekomego tłumaczenia, prosiła mnie, bym tłumaczył dosłownie, wyraz po wyrazie i nie pozwalała mi zlekka przechodzić do innego przedmiotu.

XXXII

Nic trwałego na tym świecie. Zanze zachorowała. W pierwszych dniach choroby odwiedzała mnie, skarżąc się na silne bóle głowy. Płakała, a nie zdradzała powodu płaczu. Przebąkiwała tylko jakieś żale na kochanka: « To gałgan, mówiła, ale niech mu Bóg przebaczy ».

Jakkolwiek ją prosiłem, by, jak zwykle, serce wylała, nie mogłem się dowiedzieć, co ją do tego stopnia strapiło: « Wrócę jutro rano, powiedziała mi w któryś wieczór, ale nazajutrz kawa przyniesioną mi została przez matkę, a w dni następne przez stróżów. Zanze była ciężko chora. Stróże mówili mi dwuznaczne rzeczy o tej dziewczynie, że aż mi włosy na głowie stawały. Uwiedzenie? Ale może to były potwarze. Przyznaję, że im uwierzyłem i byłem do najwyższego stopnia wzburzony tem nieszczęściem. Mam jednak nadzieję, że kłamali.

Po miesięcznej chorobie biedactwo wywieziono na wieś i już jej nie widziałem.

Niepodobna wypowiedzieć, jak mi bolesną była ta strata. O, jakże samotność moja stała się straszniejsza. O, jakże sto razy boleśniejszą od jej nieobecności była mi myśl, że ta pocziwa istota może być nieszczęśliwą. Ona tyle mi słodkiem swoim

współczuciem pociechy przyniosła w mych nieszczęściach, a moje współczucie nic jej dać nie może. Ale ona na pewno przekonała, że ja ją oplakuję, że bym gotów był do każdego poświęcenia, by jej, gdyby to możliwem było, ulgę jaką przynieść, że nie przestanę nigdy jej błogosławić i życzyć jej szczęścia.

Za czasu Zanzę, jej odwiedziny, choć zawsze za krótkie, miło przerywając jednostajność mojego wiecznego rozmyślenia i pracy w milczeniu, przeplatając moje myśli innymi myślami, wzbudzając we mnie miłe przywiązanie, upiększały istotnie moją niedolę i podwajały mi wartość życia.

Potem, więzienie stało się dla mnie grobem. Przez długie dni byłem smutkiem zgnębiony do tego stopnia, że już żadnej nie doznawałem przyjemności w pisaniu. Zkądinąd smutek mój był spokojny w porównaniu do złości, jakich poprzednio doznawałem. Czy to znaczyć miało, że już lepiej oswojony z nieszczęściem? więcej filozofem? więcej chrześcianinem? czy też tylko, że duszący skwar mojego pokoju zdołał skruszyć siłę mojej boleści? O nie, siłę boleści, pamiętam, że ją potężnie odczuwałem w głębi duszy, może jeszcze potężniej dla tego, że jej nie chciałem wylać, krzycząc i unosząc się.

Niewątpliwie, długie przysposobienie się już mnie zdolniejszym uczyniło do znoszenia nowych utrapień, zdając się na wolę bożą. Tak sobie często powtarzałem « skarżyć się to małoduszność », że ostatecznie umiałem powstrzymać skargi gotowe wybuchnąć i wstydziłem się, że tak bliskie były wybuchu.

Zwyczaj spisywania myśli moich przyczynił się do wzmocnienia mi ducha, do zdarcia ułudy próżności, do sprowadzenia przeważnej części rozumowań do następujących wniosków:

« Jest Bóg, a zatem nieomylna sprawiedliwość, a zatem wszystko, co się zdarza, zarządzone dla najlepszego celu, a zatem cierpienie człowieka na ziemi ma na celu dobro człowieka. »

Wreszcie znajomość Zanzę stała się dla mnie dobrodziejstwem,

złagodziła moje usposobienie. Jej słodka pochwała stała się dla mnie bodźcem do niezadawania kłamu, przez kilka miesięcy, obowiązki, jaki czułem, że ciąży na każdym człowieku, był wyższym nad los, a zatem cierpliwym. I kilka miesięcy wytrwałości nagięło mnie do zdania się na wolę bożą.

Zanze dwa razy tylko widziała mnie rozniewanego. Raz to było, jak o tem już wspominałem, z powodu złej kawy; drugi raz zdarzyło się przy następnej okoliczności :

Co dwa lub trzy tygodnie oddawany mi bywał przez dozorcę list od mojej rodziny; list poprzednio przechodził przez ręce Komisji i bywał surowo przetrzebiony, pokreślony bardzo czarnym atramentem. Raz się zdarzyło, że, zamiast mi przekreślić tylko niektóre zdania, przeciągnięto obrzydliwą pręgę po całym liście, pozostawiając tylko słowa « najdroższy Silvio » i końcowe « Ściskamy cię wszyscy serdecznie ».

Tak się na to wściekłem, że w obecności Zanzę wybuchnąłem wrzaskiem i przekleństwami, nie wiem na kogo. Biedna dziewczyna litowała się nademną, ale zarazem wymawiała mi brak zgodności z moimi zasadami. Uznałem, że miała słusność i już więcej nikogo nie przeklinałem.

XXXIII

Pewnego dnia, jeden ze stróżów wszedł do mego więzienia z jakimś tajemniczym wyrazem twarzy i powiedział mi : « Kiedy była panna Zanze — bo to ona kawę przynosiła — i długo się zatrzymywała na gawędce, a ja się obawiałem, żeby ta szachrajka nie wyłudziła od pana wszystkich jego tajemnic... — Nie wyłudziła ani jednej, rzekłem ze złością, i żebyś miał jakie tajemnice, nie jestem takim prostakiem, żebyś dał je sobie wyłudzić. Mów dalej. — Przebac pan, nie powiedziałem,

by pan był prostakiem, ale do panny Zanzę nie mam zaufania. A teraz, że pan już niema nikogo do towarzystwa... ufam... że.. — Że co? wytłómacz że się. — Przysięgnij mnie pan na przód, że mnie pan nie zdradzi. — Przysiądź, że cię nie zdradzę, to mogę uczynić : nigdy nikogo nie zdradziłem. — A więc na prawdę pan przysięga, czy tak? — Tak, przysięgam, że cię nie zdradzę, ale pamiętaj durniu, że kto jest zdolny do zdrady, ten będzie zdolny do wiarołomstwa ».

Wyjął z kieszeni list i wręczył mi go drżącą ręką i błagając, żebym go zniszczył po przeczytaniu : « Poczekaj, powiedziałem, biorąc list, skoro przeczytam, zniszczę go w twojej obecności. — Ale trzebaby, żeby pan odpisał ; a ja nie mogę czekać. Niech pan uczyni, jak mu dogodnie, tylko trzeba nam porozumienia. Gdy pan usłyszysz, że ktoś idzie, niech pan uważa, czy to ja; będę zawsze śpiewał aryę : « Sognai mi gora un gato (1) ». W takim razie niech się pan nie obawia niespodzianki i może pan w kieszeni mieć jakiś papier. Ale jeżeli pan tej piosnki nie usłyszysz, będzie to znakiem, że to nie ja, albo że mi ktoś towarzyszy. W takim razie niech się pan strzeże wszelkiego ukrytego papieru, bo mogłaby być rewizja i gdyby pan miał jakiś papier, niech go doszczętnie podrze i przez okno wyrzuci. — Bądź spokojny; widzę, że jesteś oględny, a i ja takim będę. — A jednak pan mnie poczęstował od durnia. — Słusznie mi to wyrzucasz, powiedziałem, ściskając go za rękę. Przebac mi ». On odszedł, a ja list przeczytałem :

« Jestem — a tu podawał swoje nazwisko — jednym z pańskich wielbicieli : całą pańską Francesca da Rimini umiem na pamięć. Uwieszono mnie za — i tu podał powód swego uwięzienia i datę — i dałbym nie wiem wiele swojej krwi by być z panem, lub przynajmniej mieć więzienie przyległe do pańskiego,

(1) Śnił mi się kot.

abyśmy mogli ze sobą rozmawiać. Odkąd usłyszałem od Tremorelli — tak nazywać będziemy powiernika — że pan w bliskości jesteś i z jakiego powodu, płałem chęcią powiedzenia mu, że nikt więcej z panem nie współczuje i nikt bardziej pana nie kocha, niż ja. Czy zechciałbyś się zgodzić na to, byśmy sobie wzajemnie ulżyli w samotności, pisując do siebie. Przysięgam słowem honoru, że nikt na świecie nigdy się odemnie nie dowie, przekonany, że jeżeli się zgodzisz, to mogę liczyć na podobną tajemnicę z twojej strony. — Tymczasem, abyś pan coś o mnie wiedział, posyłam panu krótki mój życiorys. » Następował opis.

XXXIV

Każdy czytelnik, mający troszkę wyobraźni, łatwo zrozumie, jak taka ćwiartka papieru musiała elektrycznie działać na biednego więźnia, a tembardziej na więźnia wcale nie dzikiego i serca czułego. Pierwszem mojem uczuciem było pokochać tego nieznajomego, rozrzewnić się nad jego niedolą, być bardzo wdzięcznym za życzliwość jaką mi okazał: — Tak, rzekłem, zgadzam się na myśl twoją, szlachetna duszo. Oby listy moje tak ci dały otuchę, jaką mi twoje przynoszą, jaką już czerpię z twojego pierwszego listu. I czytałem i odczytywałem ten list z radością dziecięcą i błogosławiłem stokrotnie tego, co go napisał, zdawało mi się, że każde jego wyrażenie odkrywało duszę czystą i szlachetną. Słońce zachodziło; była godzina mojej modlitwy. O jakże odczuwałem obecność Bożą! Jakież Mu dzięki składałem, że mi dostarcza co raz to nowych sposobów utrzymania żywotności władz umysłowych i serca! Jakże mi się ożywiała pamięć wszystkich jego cennych darów. Stałem na oknie, ręce wyciągnięte i po za kraty założone: na ołowianym dachu kościoła Św. Marka niezliczone gołębie na wolności gruchały, latały,

gniazda sobie słały; najwspanialsze przedemną niebo. Wzrokiem panowałem nad całą częścią Wenecyi którą widać było z mego więzienia; daleki szmer ludzkich głosów łagodnie dochodził do moich uszu. W tem nieszczęśliwym, ale nadzwyczajnem miejscu, rozmawiałem z Tym którego jedynie oczy mnie widziały; wskazywałem mu mego ojca, moją matkę i jedną po drugiej wszystkie osoby mi drogie, i zdawało mi się, że mi odpowiadał: « Ufaj mojej dobroci! » a mnie się wyrывał okrzyk: « Tak jest, na dobroć twą się spuszczam ». Skończyłem moją modlitwę rozrzucony, pocieszony i mało dbający o ukaszanie, których tymczasem nie szczędziły mi komary. Tego wieczora, po takim podniesieniu na duchu, gdy się wyobraźnia zaczęła uspakajać, gdy komary zaczęły niezmiernie mi dokuczać i uczułem potrzebę zawinięcia sobie twarzy i rąk, myśl pospolita i nędzna opanowała mnie, dreszcz mi sprawił; chciałem ją odpędzić i niemożem. Tremerello rzucił ohydne podejrzenie na Zanzę, że ona wysledza moje tajemnice, ona, taka czysta dusza, która nic nie wiedziała o polityce i nic o niej wiedzieć nie chciała! O niej niepodobna mi było wątpić; ale pytałem się siebie: czy mi tę samą pewność daje Tremerello? A nużby ten łotr był narzędziem jakiego niegodziwego podejścia? Jeżeli ten list jest podrobiony, kto wie przez kogo, by mnie znęcić do ważnych zwierzeń nowemu przyjacielowi? Może ten mniemany więzień, co do mnie pisze, wcale nie istnieje; — a może istnieje, i jest zdrajcą, starającym się dochodzić tajemnic, by je sprzedawać dla własnego zbawienia. A może to człowiek zacny, a zdrajcą jest Tremerello, który chce nas obu stracić, aby zasłużyć na dodatek do pensji? Straszna to jest, ale zbyt naturalna dla jęczącego w więzieniu, ciągła wszędzie obawa niewiści i oszukaństwa! Te posądzę udęczały i poniżały mnie. Nie, co do Zanzy nie mogłem ich nigdy przypuścić ani na chwilę!

Jednakowo odkąd Tremerello rzucił to słowo o niej, pół podejrzenia mnie trapiło nie co do niej, ale co do tych, którzy jej pozwalali przychodzić do mojej celi. Czyżby oni z własnej gorliwości, czy z woli przełożonych dali jej polecenie szpiegowania mnie? O, jeżeliby tak było, jakże ich źle obsłużono!

Ale z tym listem nieznajomego, co począć? Czy trzymać się surowych, ciasnych rad strachu, który się tytułuje roztropnością? Oddać list Tremerelli; powiedzieć mu: Niechcę narażać mego spokoju? — A nużby nie było żadnego podejrzenia? I gdyby ten nieznajomy był człowiekiem najgodniejszym mojej przyjaźni, godnym, bym ja siebie nieco naraził, żeby ulżyć jego męce samotności? Ohydnie! Ty stoisz o dwa kroki od śmierci, wyrok może zapaść lada dzień, a ty byś odmówił uczynić jeszcze jeden akt miłości? Odpisać, odpisać powinienem! Ale gdyby nieszczęście chciało, żeby odkryto tę wymianę pism, a nikt nie mógł nic w niej upatrzeć na nasze oskarżenie, czyż nie jest jednakże pewnem, że potężna kara spadłaby na biednego Tremerellę? Czyż ten wzgląd nie wystarcza, by mi sumienie nie pozwalało posługiwać się tajnymi listami?

XXXV

Wzburzony byłem cały wieczór, oka przez noc nie zmrużyłem i wśród tych niepewności nie wiedziałem, co postanowić.

Zerwałem się z łóżka o świcie, skoczyłem na okno i modliłem się. W trudnych wypadkach, trzeba się z zaufaniem zwracać do Boga, wysłuchać jego natchnienia i do tegoż się zastosować.

Tak uczyniłem i po długiej modlitwie, zeszedłem z okna, spędziłem komary, wytarłem rękami pokąsane policzki, a postanowienie zapadło; przedstawić Tremerelli moje obawy, by przez tę wymianę korespondencji jemu się krzywda nie

stała, odstąpić od wszystkiego gdyby się wahał, przyjąć jeżeli w nim trwoga nie zwycięży.

Chodziłem po celi, aż do chwili, gdy usłyszałem aryę: Sognai mi gora un gate ». Tremerello przynosił mi kawę. Powiedziałem mu o obawie mojej. Słów nie żałowałem, by mu strachu napędzić. Ale on stanowczo objawił wolę « usłużenia, jak mówił, dwom tak zacnym panom » co się nie zgadzało z jego zajęczym wyglądem i z nazwą Tremerelli, jaką mu dawano. Stałem tedy i ja twardo: « Zostawię ci moje wino, powiedziałem mu, dostarcz mi papieru do tej korespondencji i bądź spokojny, że jeżeli usłyszę dźwięk kluczy, bez twojej piosenki, zniszczę od razu każdy przedmiot podejrzany. — Otóż jest już ćwiartka papieru; zawsze go panu tyle dam, ile pan będziesz chciał; spuszczam się zupełnie na pańską ostrożność ».

Sparzyłem sobie podniebienie, by prędko kawę wypić. Tremerello sobie poszedł, a ja zasiadłem do pisania.

Czym dobrze robił? Czy postanowienie moje było istotnie z bożego natchnienia? Czy raczej nie było ono wynikiem zapалу naturalnego z jakim przekładałem to co mi się podobало, nad uciążliwe poświęcenie? Czy nie mieszanina dumnego zadowolenia z uznania, jakie mi nieznajomy składał i obawy by się nie wydać tchórzliwym, gdybym pierwszeństwo przyznał roztropnemu milczeniu nad korespondencję poniekąd niebezpieczną?

Jakże rozwiązać te wątpliwości? Przedłożyłem je otwarcie, odpowiadając memu koledze więziennemu; dodałem jednak, że, zdaniem mojem, jeżeli się ma poważne powody do postąpienia w pewien sposób bez wyraźnego wyrzutu sumienia, nie należy się błędu obawiać. Zwracałem mu jednak też uwagę najpoważniej na postanowienie, jakie poweźmiemy, prosząc, by mi otwarcie powiedział, w jakim stopniu spokoju lub niepokoju postanowienie powziął. Gdyby z powodu nowych moich uwag, miał

uważać przedsięwzięcie za zbyt nierozważne, trzeba nam się zdobyć na siłę wyrzeczenia się otuchy, którą nam wymiana listów zapowiadać zdawała i zadowolić się tem, że o sobie wiemy dzięki wymianie kilku słów, które zostaną niezatartymi zadatkami szczytnej przyjaźni.

Zapisałem cztery strony w najgorętszych wyrazach szczerego przywiązania; wspomniałem krótko o powodach mojego uwięzienia, mówiłem z rozrzewnieniem o mojej rodzinie i o kilku innych mnie bliskich i starałem się dać poznać do dna duszy.

Wieczór list mój zaniesiony został. Po bezsennej nocy byłem zmarnowany; snu nie trzeba było wzywać, a rano obudziłem się wypoczęty, szczęśliwy, wzruszony na myśl, że może lada chwila otrzymam list od przyjaciela.

XXXVI

Odpowiedź przyszła wraz z kawą. Rzuciłem się na szyję Tremerelli i powiedziałem mu z czułością: « Niech ci Pan Bóg nagrodzi twoje miłosierdzie ». Moje podejrzenia co do niego i co do nieznanego rozeszły się same, nie wiem dlaczego; dlatego, że były mi wstrętne i że, strzegąc się mówienia o polityce, wydawały mi się nieuzasadnione; dlatego, chociaż podziwiam geniusz Tacyta, mało mam wiary w słuszność jego sposobu widzenia wszystkiego w czarnych kolorach.

Juliusz — tak nieznanemu podobało się podpisać — zaczął list od uprzejmości i mówił, że nie ma najmniejszego niepokoju, co do zamierzonej wymiany listów. Żartował z moich obaw naprzód umiarkowanie, potem w sposób nieco ostrzejszy. Nareszcie, po wymownej pochwie szczerości, przeproszał, że nie mógł mi ukryć nieprzyjemności, jakiej doznał, postrzegając

we mnie, jak mówił pewną skrupulatność, chwiejność, pewną chrześcijańską delikatność sumienia, która nie może się zgodzić z prawdziwą filozofią: « Zawsze cenić cię będę, dodawał on, chociażbyśmy się w tem zgodzić nie mogli; ale szczerość, którą się szczyć, zmusza mnie do wyznania ci, że nie jestem religijny, że wszystkie religie są mi wstrętne, że przez skromność przyjąłem imię Juliusza, bo ten pocziwy cesarz był nieprzyjacielem chrześcian, ale że w rzeczywistości ja w tym względzie idę wiele dalej od niego. Ukoronowany Juliusz wierzył w Boga i miał pewne swoje bigoterie; ja nie mam żadnej, w Boga nie wierzę; dla mnie jedyna cnota jest miłowanie prawdy i tych którzy jej szukają, a nienawidzić tego, który mi się nie podoba ».

I tak ciągnąc dalej, nie dając dowodów na nic, wygadywał na chrześcijaństwo, głosił z nadętą energią cnoty bez religii i pół serjo, pół żartem wychwalał cesarza Juliusza za odstąpienie od wiary i za, natchnione miłością ludzi, usiłowanie zatarcia na ziemi wszelkich śladów Ewangelii. Potem obawiając się, że zbyt silnie uderzył na zdania moje, poczynął na nowo przeproszać i występował przeciw zbyt zwykłemu brakowi szczerości. Powtarzał gorąco pragnienie utrzymania ze mną stosunków i żegnał mnie. W przypisku dodawał: « Nie mam innego wyrzutu sumienia, jak że nie jestem dość szczery. Nie mogę zataić przypuszczenia, że pański chrześcijański sposób wyrażania się to tylko udawanie. Gorąco życzę, by tak było. W takim razie zrzucę maskę: dałem ci przykład. » Nie umiałbym wypowiedzieć, jak niesłychane mi wrażenie ten list sprawił. Drżałem, jak zakochany, przy pierwszych zdaniach; potem zdawało mi się, jakby mi serce ścisnęła lodowata ręka. To szydzenie z drażliwości mojego sumienia obraziło mnie. Żałowałem, że nawiązałem stosunek z takim człowiekiem, ja, który tak pogardzam cynizmem, że wszystkich dążeń dla mnie najbardziej antyfilo-

zoficznej, najbrzydszej; ja, któremu zarozumiałość tak marne wrażenie sprawia

Po przeczytaniu ostatniego wyrazu, chwyciłem list między wskaziciela i wielki palec obu rąk i, podnosząc lewą rękę, w dół ostro pociągnąłem prawą tak, że każda z obu rąk pozostała w posiadaniu jednej części listu.

XXXVII

Spojrzałem na przedarty list i rozmyślałem chwilę nad nieśmiałością spraw ludzkich i nad fałszywymi ich pozorami. Przed chwilą tak gwałtowne pragnienie tego listu, a teraz go niszczyć z pogardą? Przed chwilą takie przeczucie przyszłej przyjaźni z tym towarzyszem niedoli, takie przekonanie wzajemnej otuchy, takie usposobienie do okazania mu największej serdeczności, a teraz nazywam go zuchwalcem? Złożyłem jedną część listu na drugą i chwyciwszy znowu, jak poprzednio, między wskaziciela i wielki palec jednej ręki i wskaziciela i wielki palec drugiej ręki, podniosłem w górę lewą rękę i ściągnąłem ostro prawą. Miałem to samo powtórzyć, ale jeden z czterech kawałków wypadł mi z ręki; schyliłem się by go podnieść i w krótkiej chwili schylenia się i podniesienia, zmieniłem zdanie i zachciało mi się odczytać to pychę nadęte pismo.

Siadam, przystawiam cztery kawałki jeden do drugich na Biblii i odczytuję. Zestawiam je w tem położeniu, chodzę po celi, znowu odczytuję i myślę sobie: «Jeżeli mu nie odpowiem, osądzi, że jestem zmieszany i zgnębiony, że nie śmiem stanąć w obecności takiego Herkulesa. Odpowiedzmy mu, okażmy, że nie boimy się zestawienia zasad. Wykażmy mu w porządnym sposób, że niema żadnej podłości w staraniu się o dojrzałość myśli i w wahaniu się, kiedy idzie o powzięcie postanowienia nieco

niebezpiecznego a bardziej niebezpiecznego dla drugich, niż dla nas. Niech się dowie, że prawdziwe męstwo nie polega na szydzeniu z sumienia, że prawdziwa godność nie jest w pysze. Wyłóżmy mu mądrość chrześcijaństwa, niedostateczność niewiary. — I ostatecznie jeżeli ten Juliusz okazuje przekonania tak przeciwne moim, jeżeli mi nie oszczędzi uszczypliwych szyderstw i tak mało się stara o ujęcie mnie, czyż to nie dowodzi, że nie jest szpiegiem? A jeżeli nie, czy by to być miała jakaś wytworność sztuki w tem biczowaniu mojej miłości własnej? A jednak nie; nie mogę temu wierzyć. Jestem niegodziwcem, gdyż obrażony temi śmiałymi żartami, chciałem w siebie wmówić, że kto nie mi miota, musi być najpodlejszym z ludzi. Podła złośliwość, którą tysiąc razy w innych ganiłem, precz z mego serca!

Nie, Juliusz jest tem czem jest i niczem więcej; jest on zuchwalcem, ale nie szpiegiem. I czyż mam prawo dać wstrętą nazwę zuchwalstwa temu, co on może uważa za szczerość? — Oto twoja pokora, obłudniku! Wystarcza, że kto z braku zdrowego sądu podtrzymuje mylne zdanie i żartuje z twojej wiary, byś przypisywał sobie prawo potępienia go. Bóg wie, czy ta złośliwa pokora i ta fałszywa gorliwość w piersiach moich chrześcianina nie są gorsze od zuchwałej szczerości tego niedowiarka?

Może braknie mu tylko promyka łaski, by to jego namiętne umiłowanie prawdy zamieniło się w pobożność bardziej stałą od mojej. — Czyż nie lepiejbym uczynił, modląc się za niego, jak oburzając się na niego, i sądząc, że lepszy od niego? — Kto wie, czy podczas gdy ja ze złością list jego darłem, on nie odczytywał mego listu z serdecznym wzruszeniem, ufny w moją dobroć i, nie przypuszczając bym był zdolny obrazić się jego szczerymi słowami? — Kto byłby gorszym z dwojga, ten co miłuje i mówi: « Nie jestem chrześcianinem », czy ten który mówi: « Jestem chrześcianinem », ale niema miłości. Zmudna to rzecz znać człowieka, po długoletniem z nim pożyciu; a ja

chcę o tem sądzić z jednego listu? Wśród tych możliwości, czyż nie można przypuścić i tej, że, nie wypowiedawszy tego samemu sobie, nie jest bardzo zadowolony ze swojej niewiary i że chce mnie pobudzić do zbijania z ukrytą nadzieją, że ustąpi? Oby tak być mogło! O wielki Boże, w którego rękę najmarniejsze narzędzia mogą być skuteczne, wybierz mnie, wybierz do tego dzieła! Poddaj mi tak potężne i święte słowa, by przekonały tego nieszczęśliwego i doprowadziły go do błogosławienia Ci i poznania, że daleko od Ciebie, niema cnoty, któraby nie była sprzecznością!

XXXVIII

Podarłem na drobne kawałki cztery części listu, ale już bez gniewu; poszedłem do okna, wyciągnąłem rękę i patrzałem na losy tych kawałeczków papieru, unoszonych przez wiatr. Niektóre zostały na ołowianym dachu kościoła, inne kręciły się długo w powietrzu i padły na ziemię. Widziałem, że się tak rozproszyły, że niebezpieczeństwa nie było, by je kto zebrać mógł i tajemnicę odkryć.

Potem napisałem do Juliusza, starając się usilnie nie być i nie wyglądać urażonym. Żartowałem z jego obawy, bym drażliwości sumienia nie posuwał do stopnia niezgodnego z filozofią i prosiłem, by przynajmniej co do tego sądy swe wstrzymał. Pochwaliłem głoszone przez niego oświadczenia szczerości, zaręczyłem mu, że znajdzie we mnie równego sobie pod tym względem i dodałem że, by mu tego dać dowód, zabierałem się do bronięcia Chrześcijaństwa, przekonany, mówiłem, że tak jak ja zawsze gotów będę po przyjacielsku wysłuchać jego zdań, tak i on będzie miał cierpliwość wysłuchania spokojnie moich.

Obronę zamierzałem prowadzić krok za krokiem, a rozpo-

cząłem ją od wiernego rozbioru istoty chrześcijaństwa; bogobojność bez przesądów, braterstwo między ludami, wieczne dążenie do cnoty, pokora bez uniżoności, godność bez pychy, przykład Bóg-Człowiek! Cóż bardziej filozoficznego, coś większego!

Miałem potem zamiar wyłożenia mu, jak ta mądrość była mniej więcej słabo rozsianą wśród tych wszystkich, którzy światłem rozumu szukali prawdy, ale się nigdy nie rozpowszechniła po świecie; i jak, po przyjściu boskiego Nauczyciela na ziemię, cudowne dała o sobie świadectwo, dokonywując, środkami po ludzku najsłabszemi, tego rozpowszechnienia. To, czego najwięksi filozofowie nigdy zdziałać nie mogli, zburzenie pogaństwa i powszechne głoszenie braterstwa, tego dokazało kilku apostołów prostaczków. Wtedy oswobodzenie niewolników poczęło się stawać coraz częstszem i ostatecznie ukazała się cywilizacya bez niewolników, stan społeczeństwa, który się starożytnym filozofom wydawał niemożliwym.

Przegląd historyi Jezusa Chrystusa miał mu ostatecznie wykazać, jak religia, przez niego ustanowiona, okazała się zawsze przystosowaną do wszystkich możliwych stopni rozwoju społeczeństwa. Fałszem tedy, by z rozwojem postępu Ewangelia miała się do niego nie stosować.

Pisałem najdrobniejszym pismem, bardzo obszernie; nie mogłem jednak bardzo się rozpisać, bo mi zabrakło papieru. Czytałem i odczytywałem ten mój wstęp i zdał mi się dobrym. Nie było słowa urazy za szyderstwa Juliusza, za to moc była wyrazów życzliwości, a to natchnęło serce już zupełnie nawrócone do pobłażliwości.

Wysłałem list i nazajutrz rano niespokojnie oczekiwałem odpowiedzi. Tremerello nadszedł i powiedział mi: « Ten pan nie mógł pisać, ale prosił byś Pan dalej pisać żarty. — Żarty? zawołałem, ech, nie powiedział żarty! musiałeś źle zrozumieć ». Tremerello ramiona wzniosł: « Ja bym był źle zrozumiał! —

Ale czy ci się zdaje na pewno, że powiedział żarty? — Jak mi się zdaje, że w tej chwili słyszę dzwon świętego Marka. » Błł w tej chwili wielki dzwon. Zamilkłszy wypilem kawę : « Ale, powiedz mi, czy ten pan był już cały mój list przeczytał? — Tak sobie wystawiam ; bo się śmiał, śmiał się, jak waryat, zgniół list w kulę i rzucił go, a jak mu powiedziałem, by nie zapomniał go zniszczyć zniszczył go odrazu. — Dobrze. »

Oddałem filiżankę, mówiąc, że poznałem, że kawę zgotowała pani Bettina : « Znalazłeś Pan, że zła? — Bardzo zła. — A jednak ja ją zgotowałem i zaręczam Panu, że ją zgotowałem mocną i że nie było fusów. — Muszę mieć zły smak w ustach. »

XXXIX

Chodziłem po celi drżący przez cały poranek. Cóż to za człowiek ten Juliusz? Dla czego list mój nazywać żartem? czego się z niego wyśmiewać i w piłkę się nim bawić? Dlaczego mi nie odpisał choćby jednej linii? Wszyscy niedowiarcy tacy! jak słabe są ich wywody, gdy je kto chce odeprzeć, nie słuchają, śmieją się, chępią się wyższością rozumu, który nie potrzebuje już niczego badać. Nieszczęśni! A czyż istniała kiedyś filozofia bez badania, bez powagi! Jeżeli to prawda, że Demokryt zawsze się uśmiechał, to był błaznem! — Ale dobrze mi tak : po co wszczynać tę korespondencję? Ja się łudziłem przez chwilę, to można przebaczyć. Ale, gdy postrzegłem, że zuchwalstwa popełnia, czyż nie byłem niedorzecznym pisać dalej do niego?

Postanowiłem dalej nie pisać. Podczas obiadu Tremmerello przelał sobie moje wino do flaszki i schował do torby : « Ot, spostrzegam się, powiedział, że mam papieru troszkę » i podał mi.

I poszedł sobie; a ja, patrząc na ten biały papier, czułem, że

mi przychodzi pokusa napisania ostatni raz do Juliusza, i pożegnania go dobrą nauczka o brzydocie zuchwalstwa.

Piękna pokusa! rzekłem sobie potem, oddać mu pogardą za pogardę! a co gorsze wzniecić w nim nienawiść do chrześcijaństwa, pokazując mu we mnie, chrześcianinie, niecierpliwość i pychę! — Nie, to być nie może. Dajmy pokój pisaniu. Ale, jak sucho zerwę, czyż nie powie zarówno, że to niecierpliwość i pycha mnie przemogły. — Należy napisać do niego jeszcze raz i bez złości. Ale jeżeli mogę pisać bez złości, czyż nie byłoby lepiej nie narażać się na jego drwiny i na to by listy moje nazywał żartami? czy nie byłoby lepiej dalej pisać poprostu obronę wiary chrześcijańskiej? Myślałem przez chwilę i doszedłem do tego wniosku.

Wieczorem wyprawilem moją przesyłkę, a nazajutrz rano otrzymałem kilka linii podziękowania, bardzo zimnych, jednak bez wyrazów niecierpliwych, ale też bez najmniejszego słowa pochwały lub namowy do dalszego pisania.

Ta kartka nie podobala mi się. Niemniej postanowiłem wytrwać do końca.

Mojego zapatrywania nie mogłem krótko wyłożyć, trzeba było jeszcze pięciu czy sześciu długich listów, a po każdym przychodziło w odpowiedzi krótkie podziękowanie, któremu towarzyszyły jakieś deklamacye, nie mające nic wspólnego z przedmiotem : to przekleństwa na nieprzyjaciół, to znowu drwiny z tych przekleństw i twierdzenie, że to rzecz naturalna, by silni gnębili słabych i żale, że nie jest silnym ; to znowu zwierzanie mi się ze swoich miłostek i wpływ jakie one wywierały na jego udręczoną wyobraźnię.

Nie mniej, na ostatni mój list o wierze chrześcijańskiej, mówił, że mnie czeka długa odpowiedź. Czekałem przeszło tydzień, tymczasem pisał codziennie zupełnie o czem innem a najczęściej o sprośnościach.

Prosiłem go, by pamiętał o odpowiedzi, którą mi był winien i polecałem mu, by zechciał przyłożyć umysł do poważnego zastanowienia się nad myślami, które mu przedłożyłem. Odpisał mi trochę złośliwie, racząc mnie właściwościami filozofa, człowieka mądrego, niepotrzebującego tak wiele ważyć, by zrozumieć, że robaczki świętojańskie nie są latarniami. Skończył wesołym opowiadaniem jakichś gorszących awantur.

XL

Wszystko cierpliwie znosiłem, by nie być poczęstowanym od świętoszka, nietoleranta i dla tego nie traciłem nadziei by, po tej gorące błazeństw miłosnych, nastąpiła chwila poważniejszego zastanowienia. Tymczasem wynurzałem mu potępienie jego braku uszanowania dla kobiet, jego bezczelnego sposobu udawania miłości, i litowałem się nad nieszczęśliwymi, o których mi mówił, że były jego ofiarami.

On udawał, że mało wierzy mojemu potępieniu i powtarzał: « Chociaż zrzędzisz o niemoralności, pewny jestem, że cię bawią moje opowiadania; wszyscy ludzie uciechę lubią, jak i ja, ale nie mają śmiałości mówienia o tem otwarcie; tyle ci o tem powiem, że cię oczaruję i uczujesz się sumiennie zmuszony do dania mi oklasków. »

Ale on, z tygodnia na tydzień, nie porzucał nigdy tych bezeceństw, a ja, spodziewając się zawsze w każdym liście znaleźć inny przedmiot i, ulegając ciekawości, czytałem wszystko, a dusza moja nie ujęta, ale jednak zamęczona, mniej była przejęta myślami szlachetnymi i świętymi. Rozmowa z ludźmi spodlonymi upadła, jeżeli się niema cnoty o wiele większej od przeciętnej, o wiele większej od mojej.

Otoż i ukarany jesteś, mówiłem sobie, za twoją zarozumia-

łość! Oto, co się zyskuje, gdy się chce grać rolę misjonarza bez świętości odpowiedniej.

Któregoś dnia zdobyłem się na napisanie mu: « Usiłowałem dotąd skłonić cię do innych przedmiotów, a ty mi wciąż piszesz rzeczy, które, powiedziałem ci to szczerze, nie podobają mi się. Jeżeli ci dogadza, byśmy mówili o sprawach godniejszych, możemy dalej do siebie pisywać, w przeciwnym razie podajmy sobie rękę i niechaj każdy ze sobą zostanie.

Przez dwa dni odpowiedzi nie było i początkowo cieszyłem się tem. O błogosławiona samotności, powtarzałem sobie, o ile ty mniej gorzką jesteś od rozmowy bez harmonii, ni szlachetności. Zamiast się zamęczać czytaniem bezczelności, zamiast się trudzić nadaremnie przeciwstawianiem im wyrazu uczuć, które zaszczyt ludzkości przynoszą, powrócę do obcowania z Bogiem, z drogą pamięcią rodziny i innych prawdziwych przyjaciół. Powrócę do częstszego czytania Biblii, do spisywania mych myśli na stole, badając dno serca mego, usiłując je ulepszyć, do korzystania ze słodczy niewinnej melancholii, tysiąc razy lepszej od obrazów wesołych a niecných.

Ile razy Tremerello wchodził do mojej kaźni, powiadał mi: « Nie mam jeszcze odpowiedzi. — Dobrze », odpowiadałem. Trzeciego dnia mówi mi: « Pan N. jest na pół chory. — Co mu jest? — Nie powiedział, ale leży wyciągnięty na łóżku, nie je, nie pije i jest w złym humorze. » Wzruszyła mnie myśl, że cierpi i że niema nikogo, kto by go pocieszył. Wyrwało mi się z ust, a raczej z serca: « Napiszę do niego dwa słowa » — « Zaniósę je dziś wieczór » odpowiedział Tremerello i wyszedł.

Byłem trochę zakłopotany, siadając przed stoliczkiem. Czy ja dobrze robię nawiązując na nowo tę korespondencję? Czyż dopiero nie błogosławiłem samotności, jak odzyskanego skarbu? Jakaż to moja zmienność! A jednak nieborak nie je, nie pije; na pewno chory. Czy to chwila na opuszczenie go? Ostatnia

moja kartka była gorzka. Musiała się przyczynić do zmartwienia go. Może, mimo odmiennych naszych zapatrywań, nie byłby zerwał naszej przyjaźni. Moja kartka musiała mu się wydać nieżyczliwszą niż była. Musiało mu się wydać, że to pogardliwe zerwanie stosunków.

XLI

Napisałem jak następuje : « Czuję, że ci niedobrze i żywo to mnie obchodzi. Chciałbym z całego serca być twym sąsiadem i oddawać ci wszystkie usługi przyjacielskie. Ufam, że niedomaganie było jedynym powodem milczenia twego od trzech dni. Nie byłbyś obrażony moją kartką tamtego dnia? Napisałem ją, zaręczam ci, bez najmniejszej nieżyczliwości i jedynie dla tego, by cię skłonić do rozmowy o poważniejszych przedmiotach. Jeżeli pisanie ci szkodzi, donieś mi tylko o zdrowiu; a ja ci codzień napiszę o jakiej drobnostce, żeby cię rozerwać i żebyś pamiętał, że ci dobrze życzę. »

Nie byłbym się nigdy spodziewał listu, jakim mi odpowiedział. Zaczynał tak : « Odmawiam ci przyjaźni; jeżeli nie wiesz co robić z moją przyjaźnią, ja nie wiem, co robić z twoją. Nie jestem człowiekiem, któryby przebaczał urazy, któryby odepchnięty powracał. Wiesz, że jestem słaby i dlatego się znowu mnie czepiasz obłudnie, ufając, że choroba osłabi mi ducha i nakłoni mnie do słuchania twoich kazań ». I tak dalej mnie gwałtownie lżył, szydząc ze mnie, przekręcając i wyśmiewając wszystko, co mu powiedziałem o religji, o moralności, zaręczając że takim żyć i umierać będzie, to jest z największą nienawiścią i największą pogardą dla wszystkich filozofii odmiennych od jego własnej.

Zgłupiałem! Pięknych dokonywuje nawróceń, powiedziałem

sobie z boleścią i przerażeniem. Bóg mi świadkiem, że chęci moje były czyste. Na te obelgi nie zasłużyłem. No, to cierpliwości. Jeszcze jeden zawód. Niech tak z nim będzie, jeśli sobie wymyśla obrazy, by mieć rozkosz przebaczenia mi ich. Więcej, jak to co zrobiłem, nie mam obowiązku robić.

Jednak po kilku dniach gniew mój opadł i pomyślałem sobie, że list waryacki mógł być owocem rozdrażnienia, które długo nie potrwa. Może on się już wstydzi, powiadałem sobie, ale zbyt dumny, by się do winy przyznał. Czy by to nie był szlachetny czyn, teraz, co się miał czas uspokoić, jeszcze do niego napisać?

Kosztowała mnie dużo ta ofiara miłości własnej, ale ją uczyniłem. Kto się upokarza, ale nie dla niskich celów, nie podli się, jakaby na niego nie padła niesprawiedliwa pogarda.

Otrzymałem odpowiedź mniej gwałtowną, ale nie mniej obraźliwą. Nieubłagany mówił mi, że podziwiał moje ewangeliczne umiarkowanie : « Bierzmy się tedy na nowo, dodawał on, do pisywania do siebie; ale mówmy jasno. Nie kochamy się. Pisywać do siebie będziemy, ale dla własnej rozrywki, kładąc swobodnie na papier, co mu do głowy przyjdzie, ty swoje seraficzne urojenia, ja moje bluźnierstwa, ty swoje zachwyty nad godnością Człowieka, ja szczere opowiadanie o moich bezeceństwach; w nadziei, że ja ciebie nawrócę, ty, że mnie nawrócisz. Odpowiedz mi, czy ci się ta umowa podoba.

Odpowiedziałem : « To nie umowa, lecz kpiny. Pełen byłem dobrej woli względem ciebie. Sumienie już mnie nic więcej nie nakazuje, jak tylko życzyć ci wszelkich pomyślności w tem życiu i w przyszłym. »

Taki był koniec moich tajnych stosunków z tym człowiekiem. Kto wie? Może on raczej był rozgoryczony wobec nie-szczęścia i zwaryowany z rozpacz, niż przewrotny?

XLII

Błogosławiłem raz jeszcze naprawdę samotność ; dnie moje znowu przez pewien czas mijały jednostajnie.

Skończyło się lato ; w ostatniej połowie września upały zwolniały. Nadszedł październik ; cieszyłem się wtedy, że miałem pokój, który w zimie musiał być dobrym. Otóż któregoś dnia rano zjawia się dozorca i mówi mi, że ma rozkaz przeniesienia mnie do innego więzienia : « Dokąd idziemy ? — O kilka kroków do chłodniejszego pokoju. — Czemuż się o tem nie pomyślało, kiedy konałem z upału, powietrze było pełne komarów, a łóżko pluskiew ? — Rozkazu wcześniej nie było. — Cierpliwości ! Idźmy. »

Chociaż dosyć się nacierpiałem w tem więzieniu, przykro mi było je opuścić, nie dla tego, by tam pora zimna miała być najlepszą, ale i dla tylu innych powodów. Miałem te mrówki, które kochałem i żywiłem z troskliwością, jeżeli nie śmiesznie tak się wyrazić, powiedziałbym, ojcowską. Od kilku dni ten drogi pająk, o którym wspominałem, nie wiem z jakiego powodu, wyemigrował ; lecz mówiłem sobie : « Kto wie, czy nie pamięta o mnie i nie wróci ? A teraz, co sobie idę, może wrócić, zastanie więzienie puste. A może tu będzie inny gość, może wróg pająków, który pantoflęm zbierze tę piękną tkaninę i zgniecie biedne stworzenie ? Wreszcie czyż tej smutnej celi nie upiększyła mi litość Zanny ? Na tem oknie wspierała się tak często i szcudrobliwie sypała moim mrówkom kruszyny chleba. Tu zwykle siadała, tu mi taką rzecz opowiadała, tu inną ; tu nachylała się nad moim stoliczkiem i łyżę się jej lały.

Miejsce, do którego mnie przeniesiono, było też pod ołowianym dachem z dwoma oknami, jednym od północy, jednym od

zachodu, siedziba wiecznych zaziębień i straszego mrozu w czasie zimnych miesięcy.

Okno od zachodu było bardzo wielkie ; to od północy było małe, wysoko nad moim łóżkiem.

Stałem naprzód przed pierwszym oknem i widziałem, że zwrócone ku pałacowi patriarchy. Inne więzienia były obok mojego w skrzydle małej rozciągłości na prawo i w budynku, który stał naprzeciwko. W tym budynku były dwa więzienia, jedno nad drugim. Niższe miało olbrzymie okno, przez które widziałem wewnątrz przechadzającego się po pańsku ubranego człowieka. Był to pan Caporali di Cesena. Ten mnie spostrzegł. Robił mi znaki. Powiedzieliśmy sobie swoje nazwiska.

Chciałem potem zbadać na co zwrócone było drugie okno. Postawiłem stoliczek na łóżko, na stoliczku stołek i na niego wdrapałem się i spostrzegłem, że byłem na wysokości dachu jednej części pałacu. Po za pałacem ukazywała się ładna część miasta i laguny.

Przyglądałem się temu pięknemu widokowi i słysząc, że się drzwi otwierają, nie ruszyłem się. To był dozorca, który spostrzegłszy mnie tak wysoko usadowionego, zapomniał, że nie mogę, jak czarownik, przedostać się przez kraty, myślał, że próbowałem uciec, w chwili zmięszania, skoczył na łóżko, mimo bólu w biodrze i mnie za nogi chwycił, drąc się jak orzek.

« Ale czy nie widzisz, mówię mu, postrzelony, że nie mogę uciec przez te kraty ? Nie rozumiesz, że tu wlażę przez samą ciekawość ? — Widzę, panie, widzę, rozumiem, ale złaż, mówię, złaż, to są pokusy do drapnięcia.

Zgodziłem się, zeszedłem i śmiałem się.

XLIII

Przy oknach cel bocznych poznałem sześciu innych uwięzionych za sprawy polityczne.

Otóż i gdym się przygotowywał do samotności zupełniejszej niż dotąd, znajduję się wśród rodzaju świata. Na początku litowałem się nad sobą samym czy dla tego, że długie życie samotne uczyniło mnie nietowarzyskim, czy dla tego, że nie miły koniec mojej znajomości z Juliuszem uczynił mnie podejrziwym.

Jednakże rozmowa z nimi częściowo ustna, częściowo na migi, wnet stała się dla mnie dobrodziejstwem, bo mi była jeżeli nie powodem radości, to przynajmniej rozrywką. O moim stosunku z Juliuszem nie wspomniałem nikomu. Daliśmy sobie wzajemnie słowo, on i ja, że tajemnica zachowaną zostanie między nami. Jeżeli tu o tem wspominam, to dlatego, że nikt z tych, którzy czytać będą te kartki, nie będzie w stanie domysleć się, kto taki, wśród tak licznych więźniów, mógł być Juliusz.

Do wyżej przytoczonych nowych znajomości więziennych przybyła jedna szczególnie miła.

Z wielkiego okna widziałem, poza gmachem więziennym na przeciwko, szeregi dachów, kominów, galeryi nad dachami, wieżyc, kopuł, których ostatnie ginęły na tle morza i nieba. W domu najbliższym, który był skrzydłem patryarchatu, mieszkała pocziwa rodzina, która zdobyła prawa do mojej wdzięczności, okazując mi pozdrowieniami swymi litość, jaką w nich wzbudzałem. Ukłon, słowo miłości wyrzeczone do nieszczęśliwych to wielkie miłosierdzie.

Począł tam z okna wznosić ku mnie rączki, dziewięcio lub dziesięcioletni chłopaczek i usłyszałem go krzyczącego: « Mamo, mamo, wsadzili tam kogoś pod ołowiany dach. O biedny

więźniu, kto jesteś? — Jestem Silvio Pellico, odpowiedziałem.

Drugi chłopiec trochę większy przybiegł też do okna i zawołał: « Tyś Silvio Pellico? — Tak, a wy drogie dzieci? — Ja się nazywam Antoni S., a mój brat Józef. »

Potem zwrócił się w tył, mówiąc: « O co go innego mam pytać? » I jakaś pani, przypuszczam że ich matka, stojąc na pół ukryta, poddawała grzeczne słowa tym kochanym chłopczykom, a oni mi je mówili, i ja im za nie dziękowałem najczulej.

Te rozmowy, to nie było wiele, ale nie trzeba było i tego nadużywać, by nie wywołać krzyków dozorczy; ale codziennie się one powtarzały, na wielką moją pociechę, rano, w południe i na wieczór. Jak zapalano światła, ta pani zamykała okno, a dzieci wołały: « Dobranoc, Silvio! », a ona odważniejsza w ciemności, powtarzała wzruszonym głosem: « Dobranoc, Silvio, odwagi! ».

Gdy te dzieci dostawały śniadanie lub podwieczorek, mówiły mi: « O, gdybyśmy ci mogli dać naszej kawy z mlekiem! O gdybyśmy ci mogli dać naszych ciasteczek. Jak będziesz uwolniony, pamiętaj byś przyszedł i zobaczył. Damy ci ciasteczek pięknych i ciepłych i tyle całusów! »

XLIV

W miesiącu październiku nadchodziła dla mnie najszkodniejsza z rocznic. Byłem aresztowany 13 tego miesiąca przeszłego roku. Podobnie smutne wspomnienia z tego miesiąca przychodziły mi poza tem na pamięć. Przed dwoma laty w październiku nieszczęsnym zdarzeniem utonął w Ticino przeczny człowiek, którego bardzo szanowałem. Trzy lata temu w październiku przypadkiem zastrzelił się Odoardo Briche, chłopiec którego kochałem, jakby własnego syna. W pierwszej

mojej młodości, w październiku inne mnie dotknęło ciężkie zmartwienie.

I chociaż nie jestem przesądny, zejście się w tym miesiącu tylu bolesnych wspomnień, sprawiło, że byłem bardzo smutny. Rozmawiając przez okno z dziećmi, lub z towarzyszami niewoli, udawałem wesołość, ale ledwo cofnąłem się do mojej nory, niewymowny ciężar boleści, jakby ołów, duszę mi gnębił.

Chwytałem za pióro, żeby złożyć jaki wiersz, albo zająć się jaką sprawą literacką, a jakaś siła, której nie mogłem się oprzeć, zmuszała mnie do pisania czegoś innego. A co? długie listy, których nie mogłem odsyłać; długie listy do mojej ukochanej rodziny, w których wylewałem całe moje serce. Pisałem je na stoliczku, a potem zdrapywałem. Były to gorące wyrazy przywiązania i wspomnienia o szczęściu jakiego doznałem przy rodzicach, braciach, siostrach, tak pobłazających i kochających. Tęsknota do nich nasuwała mi mnóstwo namiętnych myśli. Pisząc całymi godzinami, nigdy wszystkiego nie wypowiedział.

To było, w innym kształcie, powtórzenie mojego życiorysu, łudzenie się odtwarzaniem przeszłości, zmuszanie się do zwracania oczu na czasy szczęśliwe, które już minęły. Ale, o Boże! ileż to razy, po opisaniu żywo chwili z najpiękniejszej części życia mego, po upojeniu sobie wyobraźni, tak, że mi się zdało, że jestem z tymi do których mówiłem, raptem przypomniałem sobie moje położenie obecne, pióro mi z ręki wypadało przerażonemu. Były to chwile prawdziwie straszne! Przebyłem już podobne, ale nigdy wzburzeń takich nie doznałem, jak te, które mnie teraz napadały.

Przypisywałem te wzburzenia i te okropne udręczenia zbyt niemu podniecaniu mych uczuć przywiązania z powodu formy listów, jaką dawałem tym pismom i dlatego, że je zwracałem do osób tak drogich.

Chciałem inaczej, nie mogłem; chciałem przynajmniej zaniechać formy listów, a nie mogłem. Brałem pióro, poczytałem pisać i wynikał z tego zawsze list, pełen serdeczności i bólu.

Czyż już nie mam wolnej woli? mówiłem sobie. Konieczność czynienia tego, czego bym robić nie chciał, przewrót sprawiała w moim mózgu. To mi się dawniej nie zdarzało. Byłoby to zrozumiałe w pierwszych czasach mojego uwięzienia, ale teraz gdy przywykłem do życia więziennego, teraz gdy wyobraźnia powinna się była do wszystkiego przyzwyczaić, teraz gdy się nasyciłem rozmyślaniami filozoficznymi i religijnymi, jakże się mogłem stać niewolnikiem ślepych pragnień serca i tak dziecinnym? Przyłóżmy się do czego innego.

Wtedy starałem się modlić, albo przeciążyć się nauką języka niemieckiego. Próżne wysiłki. Spostrzegłem, że znowu kończyło się na pisaniu nowego listu.

XLV.

Taki stan był prawdziwą chorobą; nie wiem, czy można powiedzieć, rodzajem opętania. Było to niewątpliwie skutkiem wielkiego zmęczenia. sprawianego natężeniem myśli i bezsennością.

Jeszcze się pogorszyło. Noce moje stały się zupełnie bezsenne, a w dodatku gorączkowe. Nadaremnie przestałem kawę pić wieczorem; bezsenność pozostała ta sama.

Zdawało mi się, jakoby we mnie było dwóch ludzi, jeden który chciał zawsze pisać listy, drugi, który chciał co innego robić. No, powiedziałem sobie, zawrzyjmy układ; pisz listy, ale pisz je po niemiecku; tak nauczymy się tego języka.

Odtąd nadal pisałem wszystko złą niemczyzną. W ten sposób przynajmniej jakieś poczyniłem postępy w tej nauce.

Nad ranem, po długiej bezsenności, mózg wycieńczony zapadał w drzemanie. Wtedy śniło mi się, a raczej majaczyło, że widziałem ojca, matkę, albo kogoś innego drogiego, rozpaczających nad losem moim. Słyszałem ich najlitościwsze łkania i wnet się budziłem łkając i przerażony.

Czasem wśród tych krótkich snów, zdawało mi się, że słyszę matkę, pocieszającą tamtych, wchodzącą z nimi do mojego więzienia, mówiącą mi najświętsze słowa o obowiązku poddania się, a gdy mi się najbardziej cieszyłem z jej i tamtych odwagi, ona się raptem łzami zalewała i wszyscy płakali. Nikt wypowiedzieć nie może jak mi się wtedy dusza rozdzierała.

By uniknąć takiego cierpienia, próbowałem już się wcale na łóżko nie kłaść. Trzymałem światło zapalone całą noc i przy stoliczku czytałem i pisałem. Ale co? Przychodziła chwila, że czytałem, zupełnie obudzony, ale nic nie rozumiałem, a głowa zupełnie służby odmawiała do zebrania myśli. Wtedy zabierałem się do przepisywania czego, ale przepisywałem myśląc o czem innym zupełnie, jak to com pisał, myśląc o moich zmartwieniach.

A jednak, jeżeli siadłem do łóżka, było gorzej. W żadnym położeniu wytrzymać nie mogłem; rzucałem się niespokojnie, trzeba było wstać. A jeżeli trochę spałem, rozpaczliwe sny szkody mi więcej wyrządzały od bezsenności.

Modlitwy moje były jałowe, ale je często powtarzałem; nie wielu słów używałem, ale wzywałem Boga, Boga złaczonego z człowiekiem, doświadczonego w ludzkich cierpieniach.

W te straszne noce wyobrażenia mi się rozpalala w taki sposób, że mi się zdawało, choć byłem obudzony, że słyszę jęki w moim więzieniu, lub śmiechy przytłumione. Ani w dzieciństwie, ani później nie byłem nigdy skłonny do wierzenia w czarownice i w duchy, a teraz te śmiechy i te jęki przerażały mnie; nie wiedziałem jak sobie je wytłumaczyć i począłem

wątpić, czym nie stał się igraszką nieznanych mi złych potęg.

Nieraz trzęsąc się brałem światło i zaglądałem czy niema pod łóżkiem kogo, który sobie ze mnie drwi. Nieraz przychodziła mi myśl, że mnie z tamtej celi do tej przeniesiono, bo tu była jakaś zasadzka, że w ścianach były jakieś kryjówki, z których draby śledziły wszystko, com robił, i bawiły się okrutnie przerażaniem mnie.

Gdy siedział przy stoliczku, zdawało mi się, że mnie ktoś za ubranie ciągnie, lub spycha książkę, która padała na ziemię, lub że z za pleców moich dmucha na światło, by je zgasić. Ja się wtedy zrywałem, rozglądałem dokoła, przechadzałem nieufny i pytałem się siebie samego, czym zwaryował, czym przy zdrowych zmysłach. Nie wiedziałem już, co z tego, com widział i słyszał, było rzeczywistością lub urojeniem i wołałem udręczony: « Boże mój, Boże mój, dlaczegoś mnie opuścił? »

XLVI

Razu jednego położyłem się krótko przed świtem z najzupełniejszym przekonaniem, że chustkę wsunąłem pod poduszkę. Po chwili zdrzemanie obudziłem się jak zwykle, ale miałem wrażenie, że mnie duszą. Czułem, że mam szyję ciasno okręconą. Rzecz dziwna! okręconą była moja chustką, silnie związaną na kilka węzłów. Przysięgnąłem, że ja tych węzłów nie zrobił i że nie tknąłem się chustki odkąd ją wsunąłem pod poduszkę. Zdaje się, że uczyniłem to we śnie, lub w gorączce, i że mi to w pamięci nie zostało; ale nie mogłem temu wierzyć i od tej pory, każdej nocy wystawiałem sobie, że mnie zaduszą.

Rozumiem, jak takie zmory musiały być śmieszne dla innych; ale dla mnie który, ich doznawałem, tak mi szkodziły, że na samo wspomnienie o nich, dreszcz mnie jeszcze przejmuje.

Zmory te znikaly co rano i, póki trwało światło dzienne, czułem się tak umocniony na duchu przeciwko tym strachom, że mi się wydawało niepodobieństwem, żebym musiał jeszcze na nie cierpieć, ale z zachodem słońca zaczynały mnie dreszcze przechodzić i każda noc sprowadzała szkaradne dziwadła nocy poprzedniej.

Im większe było moje osłabienie w ciemności, tem większe były moje wysiłki przez dzień, by się okazać wesołym w gawędkach z towarzyszami, z dwoma chłopczykami z pałacu patryarchy i z moimi dozorcami. Nikt, słysząc, jak żartowałem, nie byłby sobie wystawił, jaka straszna mnie bieda dręczyła. Miałem nadzieję, że mnie te wysiłki umocnią, ale na nic się nie przydały. Te nocne widma, które w dzień nazywałem głupstwem, wieczorem stawały się przerażającą rzeczywistością.

Gdybym śmiał, byłbym prosił komisję o zmienienie mi celi, ale nie umiałem przemóc tego na sobie, nie chcąc się wystawiać na śmiech.

Próżne były wszystkie rozumowania, wszystkie postanowienia, wszystkie nauki, wszystkie modlitwy. Ohydna myśl, że jestem zupełnie i na zawsze opuszczony od Boga opanowała mnie.

Wszystkie te nieczne sofizmy przeciwko Opatrzności które, gdy byłem przy zdrowych zmysłach, kilka tygodni przed tem, wydawały mi się takie niedorzeczne, teraz rozbiły mi się gwałtownie w głowie i zdawały mi się godne uwagi. Walczyłem z tą pokusą przez kilka dni, a potem jej uległem.

Zaprzeczyłem wartości wiary; mówiłem jak mówiących słyszałem zaciętych bezwyznaniowców i jak, niedawno temu, pisał do mnie Juliusz : « Religia na nic się zdać nie może innego, jak na osłabienie umysłów. Pozyskałem sobie prawo wierzenia, że wyrzekając się Boga, umysł bym sobie wzmocnił. Szalona ułność ! Zaprzeczałem istnieniu Boga, a nie umiałem

zaprzeczyć istnieniu niewidomych szkodników, które zdawały się otaczać mnie dokoła i karmić się moją boleścią.

Jak nazwać to męczeństwo? Czy wystarczy powiedzieć, że to była choroba? Czy też było to zarazem karą boską dla skruszenia mojej pychy i nauczania mnie, że bez szczególnego światła, mogłem stać się niedowiarkiem, jak Juliusz, i bardziej obłąkanym od niego?

Bądź co bądź, Bóg uwolnił mnie od tak wielkiego zła, kiedy najmniej się tego spodziewałem.

Jednego poranka, po wypiciu kawy, napadły mnie gwałtowne wymioty i bólesci. Myślałem, że mnie otruli. Po zmęczeniu, jakie wymioty sprawiły, byłem cały w potach i zostałem w łóżku. Około południa zasnąłem i spałem spokojnie do wieczora.

Obudziłem się zdziwiony takim spokojem i myśląc, że nie będę spał więcej, wstałem. Będąc na nogach, mówiłem sobie, będę silniejszym przeciwko tym zwykłym zmorom.

Ale zmory nie przyszły. Radowałem się i w pełni mej wdzięczności, poczynając na nowo odczuwać Boga, padłem na kolana, by Go chwalić, by Go prosić o przebaczenie, że się Go przez dni kilka zaparł. Ten wybuch radości wyczerpał moje siły i klęczącego, opartego o stołek, znowu mnie sen chwycił.

Nie wiem, jak długo spałem, czy godzinę, czy więcej, i napwół się przebudziwszy, ledwo miałem czas rzucić się ubrany na łóżko i zasnęłem znowu do rana. Spiały byłem jeszcze przez dzień cały. Wieczór prędko się położyłem i spałem całą noc. Co to za przesilenie we mnie zaszło? Nie wiem, ale byłem wyleczony.

XLVII

Ustały mdłości, na które oddawna cierpiałem, ustały bóle głowy i przyszedł nadzwyczajny apetyt. Trawiłem doskonale i sił mi przybywało. Cudowna Opatrzność! Ona mi odjęła siły, żeby mnie upokorzyć; ona mi je oddawała, bo zbliżała się chwila wyroków, a ona chciała, by mnie ich ogłoszenie nie powaliło.

Dnia 24 listopada jeden z naszych towarzyszy, doktor Foresti, przeniesiony został z więzienia « pod ołowianym dachem », nie wiedziałem dokąd. Dozorca naczelny, żona jego i stróże byli przybici; żaden z nich nie chciał mi wyjaśnić tej tajemnicy: « Po co pan chcesz wiedzieć, mówił mi Tremerello, kiedy niema nic dobrego? Już za wiele powiedziałem, już za wiele powiedziałem. — No, po co milczeć? zawołałem drżąc. Czym ciebie nie zrozumiał? On skazany na śmierć? — Kto on? — Doktor Foresti? » Tremerello wahał się, chęć wygadania się nie była ostatnią z jego cnót: « Niech pan nie mówi potem, żem papla; ja nie chciałem ust otworzyć o tym przedmiocie. Pamiętaj pan, żeś mnie zmusił. — Tak, tak, zmusiłem cię; ale, duszo, powiedz mi wszystko. Cóż tam z biednym Foresti? — A Panie, przeprowadzili go przez most westchnień. On jest w więzieniach kryminalnych. Wyrok śmierci był mu czytany jemu i dwóm innym. — I będzie wykonany? kiedy? O biedacy! A kto są tamci dwaj? — Nie wiem nic więcej. Nie wiem nic więcej. Wyroki jeszcze nie ogłoszone. Mówią w Wenecyi, że będą zmniejszone kary. Dałby Bóg, by wyroku śmierci na żadnym nie wykonano. Dałby Bóg, by jeżeli wszyscy nie wybawieni od śmierci, pan przynajmniej wybawion był, ja takie mam dla pana przywiązanie, wybaczone pan, jakbyś był bratem moim ».

I poszedł sobie wzruszony. Czytelnik może sobie pomyśleć, jak wzburzony byłem cały ten dzień i noc następną i tyle innych dni, przez które nie mogłem się niczego innego dowiedzieć.

Niepewność trwała miesiąc; wreszcie wyroki, odnoszące się do pierwszego procesu, zostały ogłoszone. Skazanych było wielu, z tych dziewięciu na śmierć, a w drodze łaski na ciężkie więzienie, to na dwadzieścia lat, na piętnaście (w tych dwóch wypadkach karę się miało odsiedzieć we fortecy Spielbergu, koło miasta Berna na Morawach), to na dziesięć lat lub mniej (wtedy szło się do fortecy Lublany).

Czy to że kara zmniejszoną została wszystkim z pierwszego procesu dowodzić miało, że się śmierci oszczędzi tym z drugiego procesu? Czy też pobłażanie było by stosowane tylko do pierwszych, dlatego że aresztowani zostali przed ogłoszeniem rozporządzeń przeciw tajnym stowarzyszeniom, a cała surowość padłaby na drugich?

Rozwiązanie tych wątpliwości wnet nastąpić musi, powiedziałem sobie. Niechaj będą dzięki niebu, że mam czas pomyśleć o śmierci i przygotować się na nią.

XLVIII.

Jedyną myślą moją było umrzeć śmiercią chrześcijańską i z należytem męstwem. Przyszła mi pokusa ustrzeżenia się od szubienicy samobójstwem, ale ustąpiła. — Jakaż by to była zasługa nie dać się zamordować przez kata, ale natomiast stać się katem samego siebie? Dla ratowania honoru? A nie jest że to dzieciństwem myśleć, że jest zaszczytniej figla spletać katowi, jak nieuczynić mu go, kiedy jednak trzeba umrzeć? — A chociaż bym nie był chrześcianinem, samobójstwo, gdy się nad

tem zastanawiam, byłoby mi się wydało przyjemnością bezrozumną, daremną.

Jeżeli kres życia mego nadszedł, powtarzałem sobie, czyż nie jestem szczęśliwy, że nadszedł w taki sposób, bym miał czas się skupić i sumienie oczyścić przez pragnienia i skrucę godne człowieka? Pospolicie sądzą, że śmierć na szubienicy jest najprzykrzejszą śmiercią. Ale, sądząc według mądrości, czyż nie jest lepszą śmiercią od tylu innych śmierci przez chorobę przy takim osłabieniu umysłowem, że już niema sposobu podźwignienia ducha ponad myśli poziome? Słuszność tego rozumowania tak mnie przeniknęła duszę, że ohyda śmierci i tego rodzaju śmierci zupełnie mnie odbiegła. Rozmyślałem dużo o sakramentach, które miały mnie umocnić na tę uroczystą chwilę i zdawało mi się, że jestem przygotowany na przyjęcie ich w takim usposobieniu, jakiego potrzeba, by dowieść ich skuteczności. To podniesienie ducha, które, mniemałem, że posiadam, ten spokój, ta pobłażliwa miłość tych co mnie nienawidzili, ta radość, że mogę życie poświęcić dla woli Bożej, czy byłyby mnie nie odstąpiły, gdybym był na śmierć prowadzony? Niestety, jakże człowiek jest pełen sprzeczności i kiedy zdaje się bardziej rzeński i światobliwy, może upaść w jednej chwili w bezsilność i grzech!

Czy tedy byłbym umarł, jak należy, Bóg jeden o tem wie. Nie dosyć siebie cenię, bym mógł za to zaręczyć.

Tymczasem prawdopodobna bliskość śmierci tak opanowała moją wyobraźnię, że śmierć mi się wydawała nie tylko możliwa, ale miałem przeczucie, że jest nieunikniona. Żadna nadzieja uniknięcia tego losu nie miała przystępu do mego serca, i na każdy odgłos kroków i kluczy, za każdym otworzeniem moich drzwi, mówiłem sobie: Odwagi! może przychodzą po mnie, by mi przeczytać wyrok. Wysłuchajmy go ze spokojną godnością i błogosławmy Panu.

Rozmyślałem nad tem, co bym powinien po raz ostatni napisać do mojej rodziny, a w szczególności do Ojca, do Matki, do każdego z braci, do każdej z sióstr i, obracając w umyśle te wyrazy miłości, jak głębokie, tak święte, rozrzewniłem się błogo i płakałem. A ten płacz nie zakłócił mego spokoju.

Jakżeby się nie powróciła bezsenność? Ale jakże się ona różniła od poprzedniej. Nie słyszałem ani jęków, ani śmiechu w mojej celi, nie majaczyłem ani o duchach, ani o ludziach ukrytych. Noc była mi miłszą od dnia, dlatego, że więcej się skupiałem w modlitwie. Koło czwartej zwykle kładłem się do łóżka i jakie dwie godzin spałem spokojnie. Obudziwszy się, zostawałem w łóżku do późnej godziny dla wypoczynku. Wstawałem około jedenastej.

Jednej nocy położyłem się wcześniej i przespałem zaledwie kwadrans, kiedy przebudziwszy się, widziałem ogromne światło na murze naprzeciw mnie. Przeraziłem się myślą, że wpadłem znowu w poprzednie majaczenie, ale to co widziałem, nie było złudzeniem. To światło wchodziło oknem na zachód, pod którym leżałem.

Zrywam się, stawiam stoliczek na środku łóżka, na nim stolik, winduję się nań: ukazał mi się jeden z najwspanialszych i najstraszniejszych widoków ognia, jaki mogłem sobie wystawić.

Był to wielki pożar o strzał strzelby od naszego więzienia. Począł się w domu, w którym były piekarnie publiczne i pochołował go.

Noc była niezmiernie ciemna, tem dokładniej odznaczały się te ogromne kłęby płomieni i dymu wichrzzone wiatrem szalonym. Leciały iskry ze wszystkich stron i zdawało się, że deszczem z nieba padały. Sąsiednia laguna odbijała ogień. Mnóstwo gondoli płynęło tu i tam. Wystawiałem sobie przestrach i niebezpieczeństwo ludzi, mieszkających w domu pałącym

się lub w sąsiednich, i współczuwałem z nimi. Słyszałem zdala głosy mężczyzn i kobiet wołających się: Tognina! Momolo! Beppo! Zanze! « I to imię Zanny dzwoniło mi w uszach! Są ich tysiące w Wenecyi; a jednak obawiałem się, że to mogła być ta jedna, której pamięć jest mi tak miłą! Czyż by to była ta nieszczęśliwa, może otoczona płomieniem. O gdybym mógł się rzucić na jej ratunek i wyzwolić ją!

Z bijącym sercem, drżący, zdumiały, stałem przy oknie do rana; potem zszedłem zgnębiony śmiertelnym smutkiem. Wystawiając sobie o wiele większą klęskę, niż była w istocie. Tremmerello mi powiedział, że spalili się tylko piecze piekarskie, rzyległe im składy i wielka ilość worków mąki.

IL

Moja wyobraźnia była jeszcze żywo wzruszoną widokiem tego pożaru, gdy parę nocy później (jeszczem się nie był położył, pracowałem przy stoliczku, zdrętwiały od zimna) oto nieodległe głosy dozorczy, żony jego, dzieci, stróżów: « Ogień, ogień! O panno święta! Jesteśmy straceni! »

Zimno odrazu ustąpiło. Zerwałem się cały spocony i patrzałem do koła, czy już widać płomienie. Nie było ich widać.

Ogień był jednak w pałacu samym, w biurach obok więzień.

Jeden ze stróżów wołał: « Ale, Panie, co zrobimy z więźniami, jak się ogień zbliży? »

Dozorca odpowiadał: « Nie mam serca dać ich spalić. Jednak nie mogę więzienia otworzyć, bez pozwolenia komisji. Żywo! pędź i proś o to pozwolenie. — Lecę, panie, ale odpowiedzi na czas nie będzie, wie pan. »

I gdzie się podziało to bohaterskie poddanie się woli bożej,

które sądziłem, że posiadam, myśląc o śmierci? Dlaczego obawa, że się żywcem spalę, sprawiała mi gorączkę? Jak gdyby większą była przyjemność dać sobie gardziel ścisnąć, jak się spalić. Miałem już wołać na dozorcę, by mi przez litość otworzył, ale się wstrzymałem. A jednak strach czułem.

Otóż, powiedziałem sobie, jaka to będzie moja odwaga, jeżeli wyratowany od ognia, ujrzę się prowadzonym na śmierć. Utrzymam się w karbach, nie zdradzę nędzy mojej, ale drzeć będę. Chyba, że... czy to jednak nie jest odwaga postępować tak, jakby się nie drżało, choć się drży? Czy to nie jest szlachetność zmuszać się do dania dobrowolnie tego, co dać przykro? Czy to nie jest posłuszeństwo słuchać mimo wstrętu, jaki to sprawia?

Wrzawa w domu dozorczy wskazywała, że niebezpieczeństwo rośnie. A stróż, który poszedł po pozwolenie wydobywania nas z tych miejsc, nie wracał. Wreszcie wydało mi się, że poznaję jego głos. Słuchałem, ale nie mogłem słów zrozumieć. Czekam, ufam, daremnie, nikt nie przychodzi. Czy to możliwe, by nie dozwolono nas ratować od ognia? A jeżeli by już było na ratunek zapóźno? A jeżeli dozorca i jego rodzina, usiłują samych siebie ratować, i nikt już nie pomyśli o nieszczęsnych więźniach?

To wszystko, powtarzałem sobie, to nie filozofia, to nie wiara. Czyżbym lepiej nie uczynił, przygotowując się na widok płomieni, wkradających się do mojej celi, by mnie pochłonię?

Tymczasem hałasy ustawały. Wreszcie już nic nie słyszałem. Czy to dowód, że po pożarze? Czy też że uciekli wszyscy, którzy mogli i że pozostają tylko ofiary zdane na straszny los?

Przedłużanie się ciszy uspokoiło mnie. Wnioskowałem, że ogień zagaszony.

Położyłem się, wymawiając sobie jako małoduszność przecierpianą mękę; i teraz, gdy już nie chodziło o spalenie, martwi-

łem się, zem się nie spalił, raczej jakbym miał za kilka dni być ręką ludzką zgładzony.

Następnego ranka dowiedziałem się od Tremerelli, co to był za pożar i śmiałem się ze strachu, jakiego on doznał, jak twierdził, tak, jakby mój strach nie był większy od jego strachu, lub przynajmniej jemu równy.

L

Dnia 11 Lutego 1822, około dziewiątej rano, Tremerello skorzystał z jakiejś sposobności, aby do mnie zajrzeć i bardzo zmieszany powiedział mi: « Czy pan wie, że na wyspie San Michele di Murano jest więzienie, w którym siedzi może przeszło stu mularzy? — Jużes mi to nieraz mówił. No i cóż? Dalejże mów. Czy może macie tam skazanych? — Właśnie. — Jakich? — Nie wiem. — Czyżby tam był mój biedny Maroncelli? — O, panie, nie wiem, nie wiem, ktoby tam był. » I poszedł wzruszony, litościwie na mnie patrząc.

Nieco później wszedł dozorca: towarzyszyli mu dwaj stróże i jakiś człowiek, którego jeszcze nie widział. Dozorca wyglądał zafrasowany. Nowy przybysz zabrał głos: « Panie, Komisya kazała, byś pan szedł za mną. — Idźmy, rzekłem. A pan któż jesteś? — Jestem dozorcą więzienia San Michele, do którego pan masz być przeniesiony. »

Dozorca więzienia « Piombi » oddał mu moje pieniądze, które w rękę trzymał. Prosiłem o pozwolenie dania podarunku stróżom i otrzymałem je. Poskładałem moje rzeczy, wziąłem Biblię pod pachę i poszedłem. Gdym schodził po tych schodach bez końca, Tremerello ukradkiem ścisnął mi rękę. Chciał, zdawało się, mi powiedzieć: « Nieszczęśliwy, tyś stracony! »

Weszliśmy drzwiami od strony kanału; tam czekała łódź z dwoma stróżami nowego dozorca.

Wszedłem do łodzi; sprzeczne uczucia mną miotaly; pewna żalność z opuszczenia więzienia Piombi, gdzie dużo przecierpiał, ale gdzie jednak przywiązałem się do kogoś i ktoś przywiązał się do mnie, — przyjemność znajdowania się po tych miesiącach niewoli na świeżem powietrzu, patrzenia na niebo, na miasto, na wodę, bez nieszczęsnych krat żelaznych.

Przypomnienie sobie wesołej łodzi, która w lepszych czasach niosła mnie przez ten kanał, i łodzi na jeziorze Como i na jeziorze Maggiore i czółnach na rzece Po, na Rodanie i na Saonie! O wesołe lata ubiegłe! Któż na świecie był tak szczęśliwym jak ja?

Urodziłem się synem najtroskliwszych rodziców, w stanie, który nie jest ubóstwem, a który będąc równie bliski ubóstwa, jak dostatku, ułatwia dokładne obznajmienie się z obu temi stanami; stan ten uważam za najkorzystniejszy dla kształcenia uczuć i zdolności; ja, po dzieciennych latach, spędzonych na łonie drogiej rodziny przeniosłem się do Lugdunu, do starego krewnego mojej matki, człowieka bardzo majątnego i zasługującego na swe bogactwa, gdzie wszystko, co może służyć do zaspokojenia serca, spragnionego wykwintu i miłości, zachwycało mnie w pierwszym zapale młodości. Zamtąd przeniosłem się do Włoch i zamieszkałem z rodzicami w Medyolanie, gdzie dalej się uczyłem i kochałem towarzystwa i książki, spotykając tylko najlepszych przyjaciół i najmiłsze uznanie. Monti i Foscolo, przeciwnicy, byli mi obaj równie życzliwi. Przywiązałem się więcej do ostatniego; i ten człowiek popędliwy, który szorstkością swoją tyłu od siebie ludzi odstrychnął, był dla mnie pełen słodyczy i serdeczności, a ja jego czciłem najserdeczniej. Inni literaci znakomici także mnie kochali, jak i ja ich kochałem. Żadna zawiść, żadne oszczerstwo nigdy się mnie nie

uczepiło, a przynajmniej te, co były, pochodziły od ludzi tak mało szanowanych, że mi szkodzić nie mogły. Gdy upadło królestwo włoskie, mój ojciec przeniósł się do Turynu z resztą rodziny, a ja, odkładając chwilę powrotu do tak mi drogich osób, wreszcie pozostałem w Medyolanie, gdzie mnie takie szczęście otaczało, że nie mogłem się zdobyć na opuszczenie go.

Wśród najlepszych przyjaciół, trzech w Medyolanie, pierwsze w sercu mojem miejsce zajmowało: D. Pietro Borsieri, Monsig. Lodovico di Breme, i hr. Luigi Porro Lambertenghi. Przybył później hr. Frederico Confalonieri. Zostawszy wychowawcą dwóch młodych Porro, byłem dla nich jak ojcem, a ich ojcu, jak bratem. W tym domu zbierało się nie tylko wszystko co miasto miało lepszego, ale i mnóstwo przejeżdżających znakomitości. Bywali tam pani de Stael, Schlegel, Davis, Byron, Hobhouse, Brongham i liczni inni sławni ludzie z rozmaitych stron Europy, których teraz poznałem. O jakże raduje, jakim że jest bodźcem do uszlachetnienia się znajomość ludzi zasłużonych! Tak byłem szczęśliwy! Nie byłbym losu mojego zamienił z xięciem! I z tak szczęśliwego położenia strąconym być między złoczyńców! przechodzić z więzienia do więzienia, by skończyć powieszeniem lub śmiercią w okowach!

LI

Zajęty takimi myślami, dobiłem do San Michele i zamknięty zostałem w celi z widokiem na podwórze, na kanał i na piękną wyspę Murano. Pytałem o Maroncellego dozorcę, jego żonę, czterech stróżów, ale ich odwiedziny były krótkie, pełne nieufności i nic mi nie chcieli powiedzieć.

Jednak, gdzie jest pięć czy sześć osób, trudno by się nie znalazła jedna zdolna do współczucia i chętna do rozmowy. Zna-

lazłem taką i dowiedziałem się o tem, co następuje: Maroncellego, trzymanego przez dłuższy czas w samotności, osadzono z hr. Camillo Laderchi; ten ostatni wypuszczony był z więzienia przed kilku dniami, jako niewinny, pierwszy zaś został znowu sam. Z naszych towarzyszy wypuszczono, jako niewinnych, profesora Gian-Domenico Romagnosi i hr. Giovanni Arrivabene. Capitan [Rezio i pan Canova byli razem. Profesor Ressi umierający leżał w izbie przyległej do tamtych dwóch.

« A zatem wyroki na tych, których nie wypuszczono, musiały być wydane. Na co czekają do ogłoszenia ich? Może na śmierć biednego Ressi, albo na polepszenie jego zdrowia o tyle by mógł wysłuchać wyroku? Czy nie tak? — Myślę, że tak. »

Codziennie wypytywałem o niego. — « Stracił mowę; — odzyskał ją, ale majaczy i jest nieprzytomny; — mało daje znaków życia; — często krwią pluje i znowu majaczy; — ma się gorzej; — ma się lepiej; — kona. »

Takie odpowiedzi dawano mi przez kilka tygodni. Nareszcie jednego poranka powiedziano mi: « Umarł! »

Łzę po nim uroniłem i pocieszyłem się, myśląc, że nie wiedział o swoim skazaniu! Nazajutrz, 21 lutego 1822, dozorca przyszedł po mnie o dziesiątej, przed południem. Zaprowadził mnie do celi posiedzeń Komisji i odszedł. Siedzący z krzeseł powstali: prezes, inkwizytor i dwaj asystenci.

Prezes z wyrazem szlachetnego współczucia powiedział mi, że wyrok na mnie nadszedł i że jest straszny, ale że Cesarz już go złagodził.

Inkwizytor przeczytał mi wyrok: Skazany na śmierć; potem przeczytał mi reskrypt cesarski — kara jest złagodzona na piętnaście lat ciężkiego więzienia do odsiedzenia w twierdzy Spielberg.

Odpowiedziałem: « Niech się dzieje wola Boża! » I życzeniem mojem było istotnie przyjąć po chrześcijańsku ten straszny

cios i nie okazać ani nie żywić mściwości względem kogokolwiek bądź.

Prezes pochwalił mój spokój i poradził mi zawsze go zachować, dodając, że od tego spokoju zależeć może, bym po dwóch lub trzech latach był uważany za zasługującego na większą łaskę: zamiast dwóch lub trzech lat było ich wiele więcej.

I inni sędziowie zwrócili się do mnie z uprzejmymi słowami nadziei. Ale jeden z nich, który w czasie procesu wydawał mi się bardzo nieprzychylnym, powiedział mi jakąś uprzejmość, która mi się jednak wydała uszczypliwą; a w tej uprzejmości, o której sądziłem, że była kłamliwą, z powodu towarzyszącego jej wejrzenia, byłbym przysiągł, mieścił się uśmiech radości i obelgi.

Teraz już bym nie przysiągł, że tak było; mogłem doskonale się pomylić. Ale krew mi się wtedy burzyła; starałem się nie wybuchnąć gniewem. Udawałem, i podczas gdy mnie jeszcze wychwalano za chrześcijańską cierpliwość, już ją byłem w duszy stracił.

« Przykro nam, powiedział inkwizytor, że jutro musimy publicznie wyrok ogłosić, ale to jest formalność, której pominąć nie można. — Niechaj tak będzie, rzekłem. — Od tej chwili pozwalamy panu przestawać w towarzystwie przyjaciela ».

Wezwano dozorcę, oddano mnie znowu jemu, polecając bym został umieszczony z Maroncellim.

LII

Jakże słodkie były dla przyjaciela i dla mnie chwile tego spotkania po roku i trzech miesiącach rozłąki i tylu cierpień! Radość odzyskania przyjaciela sprawiła, że się poniekąd zapomniało na chwil kilka o wyroku.

Wyrwałem się jednak wnet z jego objęć dla chwycenia za

pióro i napisania do mego ojca. Gorąco pragnąłem, by wieść o moim smutnym losie doszła moją rodzinę przeziemnie, raczej niż przez innych, dlatego by boleść zadana tym ukochanym sercom złagodzoną była mojemu słowami spokoju i wiary. Sędziowie obiecali mi wysłać ten list odrazu.

Potem Maroncelli mówił mi o swoim procesie, a ja o moim; opowiedzieliśmy sobie nawzajem rozmaite więzienne przygody; przybliżywszy się do okna; pokłoniliśmy się trzem nowym przyjaciółom, którzy stali przy swoich oknach; dwaj z nich byli Canova i Rezia, którzy byli razem, pierwszy skazany na sześć lat ciężkiego więzienia, a drugi na trzy lata; trzecim był doktor Cesare Armari, który w ostatnich miesiącach był moim sąsiadem « pod ołowiami »; na tego nie wydano wyroku i ogłoszono go niewinnym.

Rozmowa z jednym i z drugimi była miłą rozrywką przez cały dzień i cały wieczór. Ale gdym się położył do łóżka po zgaszeniu światła, gdy milczenie nastąpiło, niepodobna mi było zasnąć, głowa płonęła, a serce się krwawiło na myśl o domu moim. — Czy moi starzy rodzice zniosą takie nieszczęście? Czy im wystarczą na pociechę tamte dzieci? Wszyscy byli zarówno kochani, jak ja, a więcej byli warci odemnie; ale czy ojcu i matce pozostałe dzieci mogą zastąpić te które tracą?

Gdybym był myślał tylko o rodzicach i jakiej innej ukochanej osobie! pamięć o nich trapiła mnie i rozczulała. Ale myślałem także o ubliżającym uśmiechu radości, jaki zdawało mi się, że wyczytał na twarzy owego sędziego, o procesie, o powodach skazania, o namiętnościach politycznych, o losie tylu moich przyjaciół... i nie umiałem już pobłażliwie sądzić żadnego z moich przeciwników. Wystawiał mnie Bóg na ciężką próbę. Obowiązkiem moim było znieść ją cierpliwie... Nie mogłem! Nie chciałem! Rozkosz nienawiści miłszą mi była od przebaczenia. Piekelną miałem noc.

Rano nie modliłem się. Świat wydawał mi się dziełem potęgi wrogiej temu co dobre. Zdarzyło mi się już poprzednio, że byłem potwarą Boga; ale nie byłbym wierzył, że się nim znowu stanę i to w tak krótkim czasie. Juliusz w swych największych złościach nie mógł być bezbożniejszym odemnie. Gdy się przeżuwa myśli nienawiści, mianowicie, gdy się jest dotkniętym wielkiem nieszczęściem, które powinno więcej jeszcze zbliżyć do Boga, człowiek, choćby poprzednio był sprawiedliwym, staje się niegodziwym. Tak, choć by poprzednio był sprawiedliwym, bo nie można nienawidzić bez pychy. A któż ty jesteś, nędzny śmiertelniku, byś sobie wyobrażał, że ci nikt szkodzić nie może w dobrej wierze, sądząc, że działa sprawiedliwie? byś się skarżył, że Bóg dopuszcza, byś cierpiał w ten sposób, raczej niż w inny.

Czułem się nieszczęśliwym, że się modlić nie mogłem, ale gdzie panuje pycha, tam się już innego boga nie znajduje, jak samego siebie.

Byłbym chciał stroskanych rodziców moich polecić Najwyższemu Pocieszycielowi, a już w Niego nie wierzyłem.

LIII

O dziewiątej przed południem Maroncelli i ja zostaliśmy przewiezieni łodzią do miasta. Dopłynęliśmy do Pałacu Dożów i poszliśmy na górę do więzień. Osadzono nas w izbie, w której kilka dni przedtem był pan Caporali; nie wiem dokąd jego przeniesiono. Dziewięciu czy dziesięciu zbirów siedziało na warcie, a my przechadzając się, czekaliśmy chwili wyprowadzenia nas na rynek. Czekanie trwało długo. Pokazał się tylko w południe inkwizytor, by donieść, że trzeba iść. Zjawił się lekarz, namawiając, byśmy wypili kieliszek wódki miętowej;

przyjeliśmy z wdzięcznością nie tyle za to, jak za głębokie współczucie, które nam pocziwy starzec okazywał. Był to doktor Dosmo. Przybliżył się do nas naczelnny zbir i nałożył nam kajdanki na ręce. Poszliśmy za nim w towarzystwie tamtych zbirów.

Schodzimy po wspaniałych schodach « Olbrzymów » i przypominamy sobie Dożę Marina Faliero tu ściętego, wchodzimy pod wielką bramę, która z podwórza pałacowego prowadzi na małą plac, ztąd zwracamy na lewo ku kanałowi. Na środku tego placu stało rusztowanie, na które mieliśmy wstąpić. Od schodów « Olbrzymów » aż do tego rusztowania stały dwa rzędy niemieckich żołnierzy; przeszliśmy między nimi.

Wstąpiwszy na rusztowanie, oglądamy się w koło i widzimy wśród tłumu przerażenie. Zdała ze wszech stron stały w szeregach oddziały zbrojne; mówiono nam, że tam były armaty z zapalonemi lontami.

Na tym placu we wrześniu 1820, miesiąc przed mojem uwięzieniem, żebrak mi powiedział: « Oto miejsce przeklęte ».

Przypominałem sobie tego żebraka i pomyślałem: Kto wie, czy w tych tysiącach widzów niema i jego, a może mnie poznaje.

Kapitan, niemiec, krzyknął, żebyśmy się zwrócili ku pałacowi i patrzeli w górę. Usłuchaliśmy i ujrzelśmy pod arkadami urzędnika sądowego z papierem w ręku: był to wyrok. Przeczytał go donośnym głosem.

Głębokie panowało milczenie aż [do wyrazu: *condannati a morte*. « Skazani na śmierć »]. Wtedy wzniósł się ogólny szmer współczucia. Nastąpiło znowu milczenie, ale wysłuchano reszty. Nowy szmer powstał na słowa: *skazani na ciężkie więzienie*, Maroncelli na dwadzieścia lat, a Silvio Pellico na piętnaście.

Kapitan daje znak, by zejść z rusztowania. Jeszcze raz rzucamy wejrzenia dokoła i schodzimy. Powracamy na podwórze, wychodzimy na schody i wracamy do celi, z której nas wzięto; zdjęto nam kajdanki i odprowadzono do San Michele.

LIV

Ci, których skazano przed nami, już odjechali do Lublany i do Spielbergu w towarzystwie komisarza policyi. Teraz spodziewano się powrotu tego komisarza, by nas odstawił na miejsce przeznaczenia. Trwało to miesiąc.

Czas mi wtedy schodził na rozmowie i na słuchaniu rozmów. Po za tem Maroncelli czytywał mi swoje prace literackie, a ja mu czytywałem moje. Jednego wieczora z okna czytałem towarzyszom naszym, Canova, Rezia i Armari, Esterę d'En-gadi a następnego wieczora Iginie d'Asti.

Ale w nocy drżałem i płakałem; a mało lub wcale nie spałem.

Pragnąłem i obawiałem się równocześnie wiedzieć jak moi rodzice przyjęli wiadomość o mojem nieszczęściu.

Ostatecznie nadszedł list od mojego ojca. Jakaż była boleść moja na wieść że mój list ostatni do niego pisany nie był mu odrazu przesłany, tak jak o to gorąco prosiłem inkwizytora. Nieszczęsny ojciec, który zawsze się łudził nadzieją, że uwolniony będę, wziął kiedyś do ręki Gazetę Mediolańską i znalazł w niej mój wyrok. On sam opowiadał mi to straszne zdarzenie i dawał mi do zrozumienia, jak mu to duszę zraniło.

O jakże, wraz z ogromną boleścią z powodu niego, matki i całej rodziny, doznawałem oburzenia, że list mój nie został odrazu wysłany. Nie było pewnie złego zamiaru w tem opóźnieniu, ale ja piekелny podejrzewałem; zdawało mi się, że to było wyszukane okrucieństwo, że to była chęć, by ten cios najdotkliwiej trafił i w niewinnych rodziców moich. Byłbym chciał wylać morze krwi, by ukarać tę urojoną nieludzką.

Teraz, sądząc spokojnie, nie przypuszczam, by to było prawdopodobne. To opóźnienie nastąpiło niewątpliwie z niedbałości.

Będąc tak rozwścieklonym, zadrżałem słysząc że moi towarzysze zamierzają przed wyjazdem spełnić obowiązki wielkano-cne i zdało mi się, że ja nie powinien, nie chcąc się zdobyć na przebaczenie. Obym był dał to zgorszenie!

LV

Komisarz nareszcie przyjechał z Niemiec i przyszedł powiedzieć, że za dwa dni wyjedziemy: « Rad jestem, dodał, że mogę dać panom pocieszającą wiadomość. Wracając ze Szpielbergu, widziałem w Wiedniu Najjaśniejszego Pana, który mi powiedział, że chce by dnie więzienia panów były obliczone nie po 24 godzin, ale po 12. Tym sposobem dawał do zrozumienia, że kara będzie skrócona o połowę.

To zmniejszenie kary o połowę nigdy potem nie było urzędowo potwierdzone; a wszakże nie było prawdopodobieństwa, by komisarz nieprawdę mówił, tembardziej, że już tej nowiny nie utrzymywano w tajemnicy, ale komisja o niej wiedziała.

Ja jednak nie umiałem się radować. Dla mnie półosma roku w okowach nie wiele mniej straszne były od lat piętnastu. Zdawało mi się niepodobieństwem żyć tak długo.

Zdrowie moje było znowu dość marne. Miałem poważne bóle w piersiach, i kaszel; myślałem, że płuca zajęte. Jadłem mało z i tego strawić nie mogłem.

Wyjazd nasz nastąpił w nocy z 25 na 26 marca. Pozwolono nam uściskać doktora Cesara Armari, naszego przyjaciela. Jeden ze zbirów skuł nam prawą rękę z lewą nogą dla uniemożliwienia ucieczki. Wsiadliśmy do łodzi i popłynęli ku Fuszynie. Tuśmy zastali dwa powozy. Rezia i Canova wsiadli do jednego; Maroncelli i ja do drugiego. W jednym powozie

z dwoma więźniami był komisarz, w drugim podkomisarz z tamtymi dwoma. Nasz orszak dopełniało sześciu czy siedmiu policyjantów uzbrojonych w karabin i szablę, umieszczonych to w powozie, to na koźle koło woźnicy.

Być zmuszonym przez nieszczęście do opuszczenia Ojczyzny jest zawsze bolesnem; ale porzucać ją w kajdanach, być zapezdzonym w klimat okropny, skazanym na lata nędznego życia wśród złoczyńców, jest to tak straszne, że niema słów, by dać o tem pojęcie.

Zanim przejechaliśmy Alpy, z godziny na godzinę droższym się nam stawał mój naród wobec litości, którą nam okazywali ci wszyscy, którzycheśmy napotykali. W każdym mieście, i w każdej odosobnionej ruderze, wobec rozgłoszonej od kilku tygodni wieści o wyroku zapadłym na nas, oczekiwano nas. W niektórych miejscowościach komisarze, policjanci starali się rozpędzać tłumy, które się około nas gromadziły. Podziwienią godną była okazywana nam życzliwość.

W Udine spotkała nas wzruszająca niespodzianka; gdyśmy dojechali do domu zajezdnego, komisarz kazał zamknąć wrota od podwórza, i tłum odpędzić. Wyzaczył on nam pokój, a służbie kazał przynieść obiad i posłanie. A oto w chwilę potem weszło trzech ludzi z materacami na plecach. Jakież było nasze zdumienie, że jeden z nich tylko do służby gospody należał, a że tamci dwaj byli to nasi znajomi. Udaliśmy, że pomagamy do złożenia materaców i uścisnęliśmy sobie ręce ukradkiem. Łzy serca zalewały i im i nam. O jakże ciężko było nie móc ich wylać, ściskając się wzajemnie.

Komisarze nie spostrzegli tego wzruszającego zdarzenia, ale zdaje mi się, że jeden ze strażników tajemnicę odkrył, widząc jak mi pocziwy Dario rękę ścisnął. Strażnik ten był z Wenecyi. Popatrzał nam w oczy, zbladł, zdawał się wahać czy ma głos podnieść, ale zamilkł i oczy zwrócił w inną stronę, udając, że

nie widzi. Jeżeli się nie domyślił, że to byli nasi przyjaciele, musiał przynajmniej pomyśleć, że to byli znajomi nam słudzy.

LVI

Rano opuściliśmy Udinę o świcie. Pocziwy Dario był na ulicy, cały płaszczem okryty, jeszcze nam się kłaniał i długo szedł za nami. Widzieliśmy także powóz, który za nami jechał dwie czy trzy mile; z niego ktoś chustką powiewał. Wreszcie nawrócił. Kto to był? Domyślaliśmy się.

O niech Bóg błogosławi wszystkie szlachetne dusze, które się nie wstydzą kochać nieszczęśliwych. Tem je więcej cenię, że wśród lat mojej niedoli, znałem tchórzliwych, którzy mnie się wyparli i sądzili, że sobie korzyści przysporzą, rozgłaszając na mnie potwarze. Ale tych ostatnich mało było, a tamtych nie brakło.

Myliłem się, przypuszczając, że litość, której doznawaliśmy we Włoszech, ustanie, gdy będziemy na obcej ziemi. O, człowiek dobry jest zawsze rodakiem nieszczęśliwych. Gdyśmy byli w Illiryi i w krajach niemieckich, zdarzało się to samo, co w naszych. Ten wyraz współczucia był powszechny: « Biedni panowie ».

Czasami, wjeżdżając do jakiej miejscowości, powozy nasze musiały się zatrzymać, nim postanowiono, gdzie mamy zająć. Tedy ludność otaczała nas i słyszeliśmy słowa współczucia, które z serca pochodziły. Dobroć tej ludności wzruszała mnie więcej jeszcze jak ta, którą objawiali moi rodacy. O jakże byłem wszystkim wdzięczny! O jakże miła jest dobroć bliźnich! o jakże miło ich kochać!

Pociecha, jakiej stąd doznawałem, zmniejszała oburzenie moje przeciw tym, których nazywałem moimi nieprzyjaciółmi.

Kto wie, myślałem, gdybym zbliża widział ich oblicze, a oni widzieli mnie, gdybym mógł czytać w ich duszach a oni w mojej, kto wie, czybym nie był zmuszony przyznać, że nie było w nich złości żadnej, a oni, że we mnie złości żadnej nie było. Kto wie czybyśmy nie byli zmuszeni czuć dla siebie wzajemnie współczucie, i kochać się.

Niestety, zbyt często ludzie się nienawidzą, bo się nie znają; a gdyby wymienili parę słów, podał by jeden drugiemu rękę z zaufaniem.

Zatrzymaliśmy się dzień jeden w Lublanie, gdzie Canova i Rezia od nas odłączeni zostali i do zamku poprowadzeni; łatwo sobie wystawić jak bolesnem było to rozłączenie dla wszystkich czterech.

Wieczorem, w dzień przyjazdu naszego do Lublany i dnia następnego, przyszedł i uprzejmie dotrzymał nam towarzystwa jakiś pan, o którym nam powiedziano, jeżeli dobrze zrozumiał, że jest sekretarzem miejskim. Był on bardzo łaskawy i mówił o religji z namaszczeniem i godnością. Przypuszczałem, że był księdzem; księży w Niemczech zwykli ubierać się jak świeccy. Był on z tych, których szczerzy wyraz twarzy wzbudza uszanowanie; żałowałem, że nie mogłem z nim zawrzeć bliższej znajomości i żałuję, że zapomniał jego nazwisko.

Jakże by mi też miło było znać twoje nazwisko, o dziewczeczko, któraś we wiosce styryjskiej szła za nami wśród ciżby tłumu; a gdy się nasz powóz musiał chwilę zatrzymać, obie ręce wznosiłaś, by nas witać, poczem odeszłaś, chustką oczy nakrywając, oparta na ramieniu młodzieńca smutnego, który dla jasnych włosów zdawał się być Niemcem, ale który może był w Włoszech i tam pokochał nieszczęśliwy naród nasz.

Jakże by mi było miło znać nazwisko każdego z was, czcigodni ojcowie i matki, którzy w rozmaitych miejscowościach zbliżaliście się do nas, by nas pytać, czy mamy rodziców i

dowiadując się, że tak, błedliście, wołając : « O niech was Bóg wnet wróci biednym starcom ! »

LVII

Dojechaliśmy na miejsca naszego przeznaczenia dnia 19 kwietnia.

Brunn jest stolicą Moraw — tu jest siedziba gubernatora dwóch prowincji Moraw i Szląska. Miasto zbudowane w wesołej dolinie ma pewien pozór zamożności. Dużo fabryk sukna, które wówczas miały powodzenie, później podupadły; miasto liczy około trzydzieści tysięcy mieszkańców.

Przyległe do jej murów na zachód wznosi się wzgórze, a na niem nieszczęsny zamek, Spielberg, za dawnych czasów siedziba władców Morawskich, dzisiaj najsurowsze więzienie monarchji Austryackiej. Była to warownia dosyć silna; Francuzi ją zbombardowali i w czasie sławnej bitwy pod Austerlitz (wieś Austerlitz leży opodal) nie odnowiono jej tak, by mogła służyć za twierdzę, ale odbudowano część muru opasującego, a zburzonego. Około trzystu skazańców, głównie złodziei i morderców, jest tam więzionych, część skazana na ciężkie więzienie (carcere duro), część na więzienie najcięższe (carcere durissimo).

Carcere duro — ciężkie roboty, kajdany u nóg, spanie na gołych ławach i pożywienie najnędzniejsze, jakie sobie wystawić można. Carcere durissimo oznacza okucie jeszcze straszniejsze : obręcz żelazna około pasa na łańcuchu wbitym w ścianę w taki sposób, że zaledwie można było przejść, ocierając się o ławę, służącą za łóżko. Pożywienie to samo, chociaż prawo mówi : chleb i wodę.

My, więźniowie stanu, byliśmy skazani na carcere duro. Pnąc

się ścieżką na szczyt tego wzgórza, zwracaliśmy wzrok poza siebie, by się ze światem pożegnać, niepewni, czy grób, który miał nas żywcem pochłoniąć, kiedyś się dla nas otworzy. Zewnętrznie byłem spokojny, ale wewnątrz ryczałem. Daremnie uciekałem się do filozofii po uspokojenie; filozofia nie posiadała rozumowań, które by mogły mi wystarczyć.

Opuściłem Wenecję w złym zdrowiu, podróż nadzwyczajnie mnie zmęczyła; głowa i całe ciało mnie bolały, gorączka mnie trawiła. Cierpienie fizyczne przyczyniało się do mego rozdrażnienia, a prawdopodobnie gniew wzmacniał cierpienie fizyczne.

Oddano nas nadzorcy. Nazwiska nasze zostały przez niego wpisane wśród nazwisk złodziei. Komisarz cesarski przy pożegnaniu uściskał nas z rozrzewnieniem: « Polecam panom szczególnie uległość, powiedział nam; najmniejsze przekroczenie karność może być srogo karane. » Po ukończonych formalnościach Maroncelli i ja prowadzeni zostaliśmy podziemnym korytarzem, z którego widać było dwie izdebki nieoświetlone i nieprzyległe. Każdy osobno zamknięty został w swoim lochu.

LVIII

Strasznie to gorzko, gdy po tylu rozłakach dwóm pozostałym już tylko przyjaciółom, równie nieszczęśliwym, rozstać się przychodzi. O jakże gorzko! Maroncelli, rozstając się ze mną, widział, że jestem chory i opłakiwał we mnie towarzysza, którego prawdopodobnie więcej nie zobaczy; ja w nim opłakiwałem wspañały kwiat zdrowia, pozbawiony może na zawsze światła słonecznego. A ten kwiat, niestety, jakże zwiędnął; wrócił kiedyś do światła, ale w jakim stanie.

Gdym został sam w tej okropnej jaskini i usłyszał, jak się zamykały kłódki, a przy słabym świetle z wysokiego okienka

rozeznałem gołą ławę, która mi łóżkiem być miała i ogromny łańcuch przytwierdzony do muru, usiadłem drżący na tem łóżku, podniosłem łańcuch i zmierzyłem jego długość, sądząc, że przeznaczony dla mnie.

W pół godziny potem słyszę skrzypienie kluczy; otwierają się drzwi; naczelny stróż przyniósł mi dzban wody; « To do picia, powiedział, ponurym głosem; a jutro przyniosę chleb. — Dziękuję, dobry człowieku. — Nie jestem dobry, odpowiedział. — Tem gorzej dla ciebie, zawołałem oburzony. A ten łańcuch dla mnie może? — Tak, panie, jeżelibyś wpadł w szaleństwo, gdybyś się wyrażał obelżywie, ale jeżeli będziesz roztropny, założymy tylko kajdany u nóg. Kowal je przygotowuje.

Chodził wolno tam i nazad ten drab, potrząsając ogromnym pękiem kluczy, a ja gniewliwym wzrokiem podziwiałem tego chudego olbrzyma i chociaż nie miał pospolitych rysów twarzy, wszystko mi się w nim wydawało wstrętne wyrazem dzikiej srogości.

O jakże ludzie są niesprawiedliwi, gdy z pozorów sądzą i według swych dumnych uprzedzeń. Tego, o którym wystawiałem sobie, że wesoło potrząsa kluczami, by mi dać uczuć smutną swą władzę, tego którego miałem za zuchwalca, wskutek długiego nawyknięcia do okrucieństwa, tego trapiła litość i jeżeli tak ponurym głosem mówił, to dla ukrycia tego uczucia. Byłby on chciał to uczucie ukryć, by nie wydać się słabym i z obawy, bym go nie był wart, ale jednocześnie przypuszczając, że może więcej nieszczęśliwy, niż winny, byłby pragnął mi to okazać.

Znudzony jego obecnością, a jeszcze bardziej jego opiekuńczą miną, uznałem za stosowne jego upokorzyć i rozkazującym głosem powiedziałem mu: « Daj mi wody. »

On na mnie spojrzał, jakby miał powiedzieć: « Zuchwalcze, tu trzeba się odzwyczaić od rozkazywania. »

Ale milczał, pochylił swój długi grzbiet, podniósł dzban i

podał mi go. Biorąc go, spostrzegłem, że drzał, a drzenie to przypisałem jego starości, a jakaś mieszanina litości i uszanowania złagodziła moją pychę: « Wiele macie lat? zapytałem, uprzejmym głosem. — Siedmdziesiąt cztery, panie; już dużo widziałem nieszczęść i moich i cudzych. »

Tej wzmiance o nieszczęściach własnych i cudzych towarzyszyło nowe drzenie, w chwili gdy odbierał dzban; a ja miałem uczucie, że powodem tego może nie wiek, lecz pewne szlachetne wzruszenie. A to uczucie wymiotło z duszy mojej nienawiść, którą odczułem na pierwsze wejrzenie « Jak się nazywasz, zapytałem go. — Los, panie, ze mnie zadrwił, dając mi nazwisko wielkiego człowieka. Nazywam się Schiller.

Potem w krótkich słowach powiedział o swym kraju, pochodzeniu, przebytych wojnach, poniesionych ranach.

Był on szwajcarem, z rodziny wiejskiej; walczył z Turkami, pod jenerałem Landon, za czasów Marji Teresy i Józefa II, brał potem udział we wszystkich wojnach Austrii przeciw Francji, aż do upadku Napoleona.

LIX

Kiedy o człowieku, który nam się na pierwsze wrażenie wydał złym, nabieramy lepszego pojęcia, wtedy, badając jego twarz, jego głos, jego zwyczaje, odkrywamy w nim widoczne znaki zacności. Czy tak jest w rzeczywistości? Ja podejrzewam, że to złudzenia. Ta sama twarz, ten sam głos, to samo zachowanie wydają się wkrótce wyraźnymi oznakami łostrowstwa. Jeżeli sąd nasz zmienimy co do wartości moralnej, wnet się zmieniają wyzniki naszej znajomości z dziedziny fizyognomii. Ileż to postaci wielbimy, bo wiemy, że należały do zacnych ludzi; a one nie wydawały by się godne czci, uwielbienia, gdyby należały do

innych śmiertelników! To samo i odwrotnie. Śmiałem się z jakiejś pani, która, widząc obraz Catiliny i biorąc go za Collatina, wyobrażała sobie, że dopatruje się w nim wzniosłej boleści Collatina po śmierci Lukrecyi.¹ A przecież częste są tego rodzaju złudzenia.

Zdarza się, że są twarze ludzi dobrych, mające wyraźną cechę dobroci i są twarze łostrowskie, najwyraźniej napiętnowane łostrowstwem, ale twierdzą, że mnóstwo ludzi ma wyraz twarzy wątpliwy.

Ostatecznie stary Schiller zdobył sobie łaskę u mnie; przypatrywałem mu się z większą uwagą, niż z początku, i nie miałem już wstrętu do niego. A, prawdę mówiąc, w jego pogadankach przy pewnej gburowatości, były także ślady pięknej duszy.

« Kapralem jestem, mówił, i dano mi na wypoczynek smutny urząd stróża więziennego, a Bogu wiadomo, czy mnie to więcej nie kosztuje, niż narażanie życia w bitwach. »

Żałowałem, że go przed chwilą prosił o wodę tak szorstko: « Mój kochany, rzekłem, podając mu rękę, daremnie zaprzeczasz, ja wiem, że jesteś dobry, i skorom wpadł w to nieszczęście, dziękuję Niebu, że ciebie mi dał na stróża. »

Słuchał moich słów i głową potrząsał, potem odpowiedział, przecierając czoło, jak człowiek, któremu myśl jakaś dokucza:

« Jam zły, panie; kazano mi złożyć przysięgę, której nie uchybię nigdy. Jestem obowiązany obchodzić się ze wszystkimi więźniami, bez względu na ich stanowiska, bez pobłażliwości, nie zezwalając na nadużycia, zwłaszcza więźniów stanu. Cesarz wie, co robi; moim obowiązkiem być mu posłusznym. — Jesteś poczciwym człowiekiem i będę szanował to, co uważasz za obowiązek sumienia. Kto działa z czystym sumieniem, może zbłądzić, ale jest niewinnym wobec Boga. — Biedny panie! Bądź cierpliwym i współczuj ze mną. Będę żelaznym w spełnianiu mych obowiązków, ale serce... serce jest pełne żalu,

że nie mogę ulżyć cierpieniom, to chciałem panu powiedzieć. »

Obaj byliśmy wzruszeni. On błagał mnie, żebym był spokojny, żebym się gniewem nie unosił, jak to często zdarza się skazańcom, żebym go nie zmuszał do twardego obchodzenia się zemną.

Przybrał potem ostry ton, jakby dla ukrycia w części swej litości i powiedział : « Muszę już iść, potem, spojrzawszy na mnie, zapytał od jak dawna mam ten szkaradny kaszel i rzucił potężne przekleństwo na lekarza za to, że mnie nie odwiedził tegoż samego wieczora : « Ależ, dodał, pan masz okropną gorączkę ; ja się na tem znam. Potrzeba by panu przynajmniej siennika. Ale dopokąd lekarz nie przepisze, nie możemy go dać. »

Wyszedł, drzwi zamknął, a ja się położyłem na gołych deskach, gorączkując z silnym bólem w piersiach, ale bez gniewu, mniej nienawidząc ludzi i bliższy Boga.

LX

Pod wieczór przyszedł nadzorca w towarzystwie Schillera, drugiego kaprała i dwóch żołnierzy dla rewizyi.

Trzy rewizje codzienne obowiązkowe, jedna z rana, jedna pod wieczór i jedna o północy. Przeszukiwano wszystkie kąty więzienia z niezmierną ścisłością ; poczem podwładni odchodzili, a nadzorca który rano i wieczór zawsze był obecny, zatrzymywał się, żeby ze mną pomówić.

Gdy pierwszy raz ujrzałem tę kompanię dziwna mi myśl przyszła. Nieobeznany jeszcze z temi dokuczliwymi zwyczajami i mającąc od gorączki, wystawiłem sobie, że przychodzą mnie zamordować i chwyciłem za długi łańcuch, leżący przy mnie, by rozbić głowę pierwszemu, który się do mnie przybliży.

Co pan robi ? pytał nadzorca. Nie przychodzimy, by panu krzywdę wyrządzić. Ta rewizja jest tylko formalnością, odbywaną we wszystkich więzieniach, dla upewnienia się, że wszystko w porządku.

Wahałem się, ale gdy spostrzegłem Schillera zbliżającego się ku mnie i po przyjacielsku podającego mi rękę, jego ojcowski wygląd wzbudził we mnie zaufanie, puściłem łańcuch i rękę jego ścisnąłem oburącz :

« Jakież one rozpalone ! » zauważył Schiller, zwracając się do nadzorcy, gdybyż mu można było dać przynajmniej siennik !

Wymówił te słowa z wyrazem tak szczerej serdecznej boleści, że mnie rozrzewnił.

Nadzorca wziął za puls, pożałował mnie ; był to człowiek o uprzejmem obejściu, ale nie śmiał brać na siebie najmniejszej odpowiedzialności.

« Tu, rzekł, wszystko jest surowe także i dla mnie. Jeżeli się nie stosuję dosłownie do przepisów, narażam się na wyrzucenie z urzędu.

Schiller skrzywił usta i przypuszczam, że pomyślał : gdybym był nadzorcą, nie posuwałbym obawy tak daleko ; ani bym unikał dania rozkazu tak usprawiedliwionego potrzebą i tak nieszkodliwego dla Monarchii ; nie można by tego poczytać za wielkie przewinienie.

Gdy zostałem sam, serce moje od jakiegoś czasu nie zdolne do głębszego uczucia wiary, rozrzewniło się i modliłem się. Była to modlitwa za Schillera i mówiłem do Boga : « Spraw, żebym umiał rozeznawać u drugich zalety, któreby wzbudzały moją miłość dla nich ; godzę się na wszystkie męki więzienne, ale daj mi miłość, wybaw mnie od nienawiści.

O północy usłyszałem kroki w korytarzu. Zgrzytnęły klucze, drzwi się otwarły. Wszedł kaprał z dwoma żołnierzami : « Gdzie mój stary Schiller » powiedziałem z żalem. — « Jestem, jestem », odpowiedział.

Zbliżył się do mojej ławy i wziął mnie za puls, nachylając się niespokojny, jak ojciec nad łóżkiem chorego dziecka. « A ja sobie teraz przypominam, że to jutro czwartek, zamruczał on,

tak, czwartek. — Cóż to znaczy? Że lekarz zwykły przychodzić tylko rano w poniedziałek, środę i piątek, i że jutro nie przyjdzie. — Nie troszcz się o to. — Nie mam się troszczyć! W całym mieście o niczym innym nie mówią, jak o przybyciu panów, lekarz nie może o tem nie wiedzieć. Dla czego do diabła nie zdobył się na nadzwyczajny wysiłek, by raz więcej zejść? — Kto wie, czy jutro nie przyjdzie, choć to czwartek? »

Stary słowa nie dodał, ale mi rękę ścisnął tak silnie, jakby mi ją miał zgruchotać. Chociaż mnie zabolalo, przyjemnie mi było, tak jak zakochanemu, gdy mu się zdarzy, że przy tańcu kochanka mu na nogę nastąpi; krzyknąłby z bólu, ale się uśmiecha i czuje się szczęśliwym.

LXI

W czwartek rano, po szkaradnej nocy, osłabiony, z obolałymi od desek kośćmi, miałem silne poty. Nastąpiła rewizya. Nadzorcy nie było; gdy mu godzina była niedogodna, przychodził trochę później.

Powiedziałem Schillerowi « Patrzajcie, jak jestem zlany potem; już żębnę; trzebaby mi zaraz koszulę zmienić ». To niemożliwe, zawołał gwałtownie. « Ale mi oczami i ręką dawał znaki. Po wyjściu kaprała i żołnierzy, znowu znak zrobił, drzwi zamykając.

Po chwili zjawił się z jedną z własnych koszul, która była dwa razy dłuższa odemnie: « Dla pana, powiada mi, jest trochę długa, ale tu na razie niema innej. — Dziękuję ci, przyjacielu, ale przywiozłem do Spielberga tłumok z zapasem bielizny, mam nadzieję, że mi nie wzbronią użytku moich koszul; bądźcie łaskawi pójść do nadzorcy i jedną mi przynieść. » Nie wolno nic panu zostawić z jego bielizny. W każdą sobotę da

się panu tutejszą domową koszulę, jak innym skazańcom. — Zaczny starcze, widzicie, w jakim stanie jestem, mało prawdopodobnem jest, bym żywy stąd wyszedł; nie będę się wam nigdy mógł wynagrodzić. — Wstyd, panie, zwołał, mówić o nagrodzie takiemu, który usłużyć nie może, takiemu który ledwie może skrycie pożyczyć choremu czem otrzeć ciało potem złane.

I rzucił mi niegrzecznie na plecy tę swoją długą koszulę; odszedł zrzędząc i drzwiami trzasnął jak wściekły.

Po jakich dwóch godzinach przyniósł mi kromkę chleba czarnego, mówiąc: « To jest na dwa dni. »

Poczem drząc chodźć zaczął: « Co wam, zapytałem. Czy się na mnie gniewacie? Przecież przyjąłem koszulę, którąście mi dali; — Zły jestem na lekarza, który choć czwartek, mógłby przecież przyjść. — Cierpliwości ».

Mówiłem « cierpliwości », ale ciężko było leżeć tak na tym stole, nawet bez poduszki: wszystkie mnie kości bolały.

O jedenastej przyniósł mi obiad jakiś skazaniec, któremu towarzyszył Schiller. Obiad mieścił się w dwóch małych blaszanych garnkach. W jednym była paskudna zupa, a w drugim jarzyny zaprawione sosem takim, że sam zapach obrzydzenie sprawiał.

Probowałem przełknąć kilka łyżek zupy: nie mogłem.

Schiller mi powtarzał: « Zdobądź się na odwagę; staraj się przyzwyczaić do tego jadła; inaczej stanie się z tobą, co się stało z innymi, którzy nic nie jedli prócz trochę chleba i zmarli z wycieńczenia.

W piątek rano przyszedł wreszcie doktor Bayer. Stwierdził gorączkę, kazał mi dać siennik i nalegał, by mnie wydobyto z tego podziemia i przeniesiono na wyższe piętro. To było nie możliwem, bo miejsca nie było. Jednak wskutek sprawozdania złożonego hr. Mittrowskiemu, gubernatorowi dwóch prowincji Moraw i Śląska, mieszkającemu w Bernie, nadeszło rozporzą-

dzenie, że wobec groźnego stanu zdrowia, należy się zastosować do polecenia lekarza.

Do izby, którą mi dano, dochodziło trochę światła; czepiając się krat małego okienka, widziałem niżej leżącą dolinę, kawał miasta Berna, przedmieście z licznymi ogródkami, cmentarz, jeziorko Kartuzów i lesiste pagórki, za którymi leżały sławne pola pod Austerlitz.

Widok ten mnie zachwycił. O, jakże byłbym szczęśliwy, gdyby nań mógł Maroncelli wraz ze mną patrzeć.

LXII

Tymczasem przygotowywano nam odzież więzienną; po pięciu dniach przyniesiono mi moją.

Składała się ona z pary spodni z chropowatego sukna, z prawej strony koloru szarego, z lewej brązowego; kaftan o dwóch takichże kolorach, kabat o takich samych kolorach, ale odwrotnie danych, to znaczy, że brązowe sukno było u niego na prawej stronie, a szare na lewej. Pończochy były z grubej wełny; koszula ze zgrzebnego płótna, pełnego ostrych żdziebeł, prawdziwa włosienica; na szyję chustka z płótna takiego, jak koszula. Buty były z niefarbowanej skóry, sznurowane. Kapelusz był biały.

Dopełniały tego stroju kajdany u nóg, to znaczy łańcuch od jednej nogi do drugiej, którego ogniwa przymocowane były gwoździami zanitowanymi na kowadle, kowal który mi je zakładał, powiedział do dozorczy, sądząc, że nie rozumiem po niemiecku: « Tak choremu można było oszczędzić tej zabawy, nie miną dwa miesiące, a anioł śmierci przyjdzie go uwolnić. »

« Möchte es seyn » (Oby tak było) « odparłem, klepiąc go po ramieniu ».

Biedny człowiek przeraził się i zmięszał; potem powiedział:

« Mam nadzieję, że nie będę prorokiem i życzę, by pana uwolnił zupełnie inny anioł. — Raczej niż tak żyć, czyż waszem zdaniem, nie lepiej by było umrzeć? »

Potakuje skinieniem głowy i odchodzi, litując się nademną.

Byłbym rzeczywiście chętnie rozstał się z życiem, ale samobójstwo nie kusiło mnie. Ufałem, że słabość płuc wnet koniec przyspieszy. Tak się nie spodobało Bogu. Zmęczenie podróży bardzo mi zaszkodziło; wypoczynek ulgę mi przyniósł.

Chwilę po wyjściu kowala usłyszałem stuk młota na kowadle w podziemiach. Schiller jeszcze był w mojej izbie. Słyszając te uderzenia, rzekłem: « Pewnie zakładają kajdany biednemu Maroncelli. »

Gdy to mówił, tak mi się serce ścisnęło, że mi się zachwiał, i gdyby mnie pocziwy starzec nie był podparł, byłbym padł. Pozostałem przeszło półgodziny w stanie, który zdawał się być omdleniem, jednak niem nie był. Nie mogłem mówić, zimny pot zlewał mnie od głowy do stóp, ale mimo to słyszałem wszystkie słowa Schillera — miałem żywą pamięć przeszłości i świadomość chwili obecnej.

Rozkaz nadzorcy i czujność straży utrzymywały do tej pory milczenie w sąsiednich więzieniach. Trzy czy cztery razy słyszałem jak zanucono jakąś piosenkę włoską; ale ją wnet przerwały krzyki warty. Rozstawione były warty pod naszymi oknami, a jeden żołnierz stał w środku naszego korytarza; ten bezustannie podsłuchiwał i zaglądał przez okienka, pilnując, by się głosy żadne nie odzywały.

Raz pod wieczór (ilekroć o tem myślę, powtarzają mi się bicia serca, które mi się wówczas odezwały) żołnierze szczęśliwym trafem mniej byli czujni, dosłyszałem w sąsiednim więzieniu pieśń wznoszącą się, nuconą głosem nieco cichym, ale wyraźnym.

O jakaż radość, jakie mnie ogarnęło wzruszenie!

Zerwałem się z siennika, natężyłem słuch i gdy głos zamilkł, wybuchnąłem nieutulonym płaczem: « Ktoś ty, nieszczęśliwco, krzyknąłem, ktoś ty? » Powiedz mi twoje nazwisko. Ja jestem Silvio Pellico. — O Silvio, zawołał sąsiad, ja ciebie osobiście nie znam, ale oddawna cię kocham. Zbliź się do okna a pogadamy pomimo zbirów.

Uczepiłem się okna; on mi powiedział swoje nazwisko i wymieniliśmy kilka słów serdecznych.

Był to hr. Antoni Oroboni, rodem z Fratta, koło Rovigo, dwudziestodziewięcioletni młodzieniec.

Niestety, wnet nam przerwały groźne wrzaski warty. Ten, który pilnował korytarza, walił kolbą karabina to do drzwi sąsiada, to do moich. Nie chcieliśmy, nie mogliśmy słuchać; jednak przekleństwa tego żołnierza tak były gwałtowne, żeśmy uleść musieli, obiecując sobie, że pomówimy znowu, jak się warta zmieni.

LXIII

Mieliśmy nadzieję — i tak się w istocie stało — że mówiąc ciszej, zdołamy słyszeć się wzajemnie i że czasami żołnierze będą litościwsi, udając, że nie słyszą naszych gawęd. Dzięki doświadczeniu, nauczyliśmy się mówić głosem tak przyciszonym, że wystarczał tylko naszym uszom, tak że można było udawać, że się go nie słyszy. Zdarzało się od czasu do czasu, żeśmy mieli słuchaczy o bardziej delikatnym słuchu, albo też żeśmy zapominali głos przytłumiać. Wtedy rozpoczynały się na nowo krzyki i pukanie do drzwi, a co gorsza, gniew biednego Schillera i nadzorczy.

Po trochu wydoskonaliśmy wszystkie ostrożności; rozmawialiśmy o pewnych porach a nie o innych; raczej kiedy na warcie byli tacy żołnierze, niż kiedy byli inni i stale bardzo

przytłumionym głosem. Czy to dzięki udoskonaleniu naszej sztuki, czy dlatego, że się u innych powoli wyrobił zwyczaj większych względów, dość że doszło do tego, żeśmy mogli codziennie dość długo rozmawiać bez wywoływania zarządzeń przełożonych.

Zawiązała się między nami serdeczna przyjaźń. On opowiedział mi swoje życie, ja mu opowiedziałem moje; udręczenia i pociechy jednego stawały się udręczeniami i pociechą drugiego. O jakąż byliśmy sobie wzajemnie otuchą. Ileż to razy po bezsennej nocy każdy z nas idąc z rana do okna, witając przyjaciela i słysząc jego drogie słowa, czuł w sercu osłodę, zdwojoną odwagę. Każdy czuł, że jest drugiemu potrzebny, a to przekonanie podniecało miłe współzawodnictwo uprzejmości, w myślach i to zadowolenie, jakiego człowiek doznaje nawet w nieszczęściu, kiedy może ucieszyć bliźniego.

Każda rozmowa zostawiała po sobie pragnienie dalszego jej ciągu i wyjaśnień; każda stawała się bodźcem żywotnym, nieustannym dla umysłu, dla pamięci, dla wyobraźni, dla serca.

Z początku, przypominając sobie Juliusza, nie ufałem stałości tego nowego przyjaciela. Myślałem sobie: dotychczas nie zaszło między nami żadne nieporozumienie, ale z dnia na dzień, mogę go czemś zrazić a wtenczas pośle mnie do licha.

To podejrzenie jednak wnet ustało. Nasze poglądy były zgodne we wszystkich zasadniczych punktach. Wyjątek stanowiło to, że z duszą zacną, pałającą szlachetnymi uczuciami, nieugiętą w nieszczęściu łączył najszczerzą i zupełną wiarę chrześcijańską, podczas gdy we mnie od niejakiego czasu wiara była chwiejna a czasem zdawało mi się, że zupełnie wygasa.

On zwalczał moje wątpliwości bardzo słusznymi uwagami i z wielką miłością; czułem, że ma rację i uznawałem to, ale wątpliwości mi wracały. To się zdarza tym wszystkim, którzy

nie mają Ewangelii w sercu, tym wszystkim, którzy nienawidzą innych, a z siebie się pyszną. Umysł widzi prawdę przez chwilę, ale że ta prawda mu się nie podoba, po chwili zapiera się jej i stara się patrzeć gdzieś indziej.

Oroboni dzielnie zwracał moją uwagę na powody dla których człowiek powinien być pobłażliwym dla nieprzyjaciół. Nigdy nie mówiłem mu o jakiej nienawistnej mi osobie, żeby się zgrabnie nie zabrał do bronienia jej i nie tylko słowami, ale także przykładem.

Byli tacy którzy mu zaszkodzili. On nad tem ubolewał, ale wszystkim przebaczał i gdy mógł coś mi opowiedzieć na ich pochwałę, chętnie to czynił.

Rozdrażnienie, które mnie opanowało, bezbożnym czyniło od chwili mego wyroku, trwało jeszcze kilka tygodni, a potem ustało zupełnie. Cnota Oroboniego podbiła mnie. Ćwicząc się w dośnięciu jej, zacząłem przynajmniej wchodzić w jego ślady. Odtąd mogłem się znowu szczerze modlić za wszystkich i bez nienawiści dla nikogo.

LXIV

Prawdę powiedziawszy, jeżeli kara nasza była niezmiernie surową i zdolną rozjrzeć, mieliśmy jednocześnie rzadkie szczęście, że wszyscy ci z którymiśmy się widywali, byli ludzie dobrzy. Nie mogli oni złagodzić naszego losu, jak tylko przez zachowanie życzliwe i uszanowanie; ale tak zachowywali się wszyscy. Prawda, że stary Schiller był trochę rubaszny, ale jakże to wynagradzał szlachetnością serca! Nawet nieszczęśliwy Kunda, ten skazaniec, który nam przynosił obiad i trzy razy dziennie wodę, chciał, żebyśmy wiedzieli, że on z nami współczuje. On zamiatał izbę dwa razy tygodniowo. Jednego poranka

podczas zamiatania upatrzył chwilę, w której Schiller oddalił się o parę kroków od moich drzwi, by mi ofiarować kawałek białego chleba. Nie przyjąłem, ale ścisnąłem mu dłoń serdecznie. To uściśnienie ręki go wzruszyło i powiedział mi łamaną niemczyzną (był to Polak): « Panu tak mało teraz jeść dają, pan z pewnością głód cierpi. »

Zaręczyłem, że nie, ale zaręczałem rzecz niepodobną do wiary.

Lekarz widząc, że żaden z nas nie może spożyć tej ilości strawy, którą nam dawano w pierwszych dniach, przepisał wszystkim to, co nazywają ćwierć porcji, t. j. wikt szpitalny. Były to trzy zupy bardzo lekkie dziennie, odrobinka pieczonego jagnięcia i coś jakby trzy uncje białego chleba. Ze zdrowie moje się polepszało, apetyt mój się wzmacniał i było to istotnie za mało.

Próbowałem powrócić do strawy zdrowych, ale nic na tem nie skorzystałem, bo tak mnie to pożywienie brzydziło, że jeść nie mogłem. Musiałem pozostać przy tej ćwierć porcy. Przez przeszło rok zaznałem, czem jest głodowa męka. I tę mękę, a nawet ostrzejszą przebyli niektórzy moi towarzysze, teżsi odemnie i przyzwyczajeni do obfitszego pożywienia. Dowiedziałem się od niektórych, że przyjmowali chleb od Schillera i od dwóch innych stróżów, przeznaczonych do naszej usługi, a nareszcie od tego pocziwego Kundy.

« W mieście mówią, że panom za mało jeść dają, powiedział mi raz jednego golibroda, młody chłopiec, pomocnik naszego cyrulika. « I prawdę mówią — odpowiedziałem szczerze ». W następną sobotę (przychodził co sobotę) chciał mi dać ukradkiem dużą bułkę. Schiller udawał, że nie widzi. Ja gdybym słuchał żołądka, byłbym przyjął, ale silnie stałem przy mojej odmowie, aby ten biedny chłopak nie skusił się na powtórzenie swego datku; co z czasem stało by się dla niego uciążliwem.

Dla tej samej przyczyny nie przyjmowałem podarunków Schillera. Nieraz przyniósł mi kawał sztuki mięsa, prosząc żebym ją zjadł i zaręczając, że go nic nie kosztuje, że to resztką, że nie wie co z niej zrobić, że ją da komu innemu, jeżeli ja jej nie wezmę. Byłbym się rzucił na nią, ale gdybym był przyjął, czy nie byłby chciał codzień coś mi dać?

Dwa razy tylko, gdy mi przyniósł talerz wiśni i raz kilka gruszek, widok tych owoców mnie znęcił. Żałowałem, żem je wziął, właśnie dla tego, że odtąd nie przestawał mnie owocami obdarzać.

LXV

W pierwszych dniach postanowiono, że każdy z nas miał dwa razy tygodniowo godzinę wychodzić na przechadzkę. Następnie tę ulgę rozszerzono: przechadzka co drugi dzień, później codzień z wyjątkiem świąt.

Każdego z nas prowadzono na przechadzkę osobno, między dwoma żołnierzami, z karabinem na ramieniu. Ja zajmowałem ostatnią celę na tym korytarzu; wychodząc, przechodziłem przed celami wszystkich włoskich więźniów stanu z wyjątkiem Maroncellego, który jeden marniał w podziemnym więzieniu.

« Dobrej przechadzki » szeptał mi wszyscy przez okienka u drzwi, ale nie wolno mi było zatrzymywać się dla powitania kogokolwiek.

Schodziło się schodami o jedno piętro, przechodziło przez obszerne podwórze i wychodziło na szaniec południowy, z kądem był widok na miasto Berno i duży obszar kraju dokoła.

Na podwórzu, o którym powyżej mówiłem, było zawsze mnóstwo zwykłych kryminalistów, idących do roboty i powracających, albo przechadzających się gromadami i rozmawiających. Między nimi było kilku złodziei Włochów, którzy mi

się kłaniali z wielkiem uszanowaniem i mówili między sobą: « On nie jest takim łajdakiem, jak my, a jednak jego więzienie ostrzejsze od naszego ».

W rzeczy samej oni o wiele więcej mieli wolności odemnie.

Słyszałem także inne wyrażenia i odpowiadałem na ich ukłon serdecznie. Jeden z nich powiedział mi: « Pana ukłon jest dla mnie dobrodziejstwem. Pan pewnie widzisz po mojej twarzy, że nie jestem zbrodniarzem. Nieszczęśliwa miłość pchnęła mnie do popełnienia przestępstwa, ale nie, panie, nie jestem zbrodniarzem.

I rozplakał się. Podałem mu rękę, ale on nie mógł mi jej ścisnąć. Moi strażnicy nie ze złości, ale z powodu przepisów, go odepchnęli. Nie wolno się było zbliżać do kogokolwiek bądź. Słowa, które ci skazańcy zwracali do mnie, udawali, że mówią między sobą, a gdy moi dwaj żołnierze postrzegali, że się to do mnie odnosi, nakazywali milczenie.

Przechodzili także przez to podwórze ludzie rozmaitych stanowisk, nie należący do tej twierdzy, którzy przychodzili do nadzorcy, do kapelana, do podoficera lub do których z kaprali. « Oto jeden z Włochów », mówili półgłosem i zatrzymywali się dla przypatrzenia mi się i nieraz słyszałem, jak mówili po niemiecku, myśląc, że nie rozumiem: Ten biedny pan nie zestarzeje się; śmierć na jego twarzy.

Ja rzeczywiście po pewnem polepszeniu zdrowia, marniałem znowu dla braku pożywienia; często mnie znowu febra napadała. Z trudnością wlokłem moje kajdany do miejsca przechadzki i rzucałem się na trawnik i tam leżałem zwyczajnie do końca mojej godziny.

Moi wartownicy stali lub siadali blisko mnie i rozmawialiśmy. Jeden z nich, nazwiskiem Kral, był Czechem i chociaż pochodził z rodziny wieśniaczej i ubogiej, otrzymał jednak pewne wykształcenie, które udoskonalił, ile tylko mógł, roz-

myślając z wielką rozważą o sprawach świata i czytając wszystkie książki, które mu w ręce wpadały. Znani mu byli Klopstock, Wieland, Goethe, Schiller i inni znakomici pisarze niemieccy. Umiął na pamięć niezliczoną liczbę ustępów i powtarzał je z uwagą i uczuciem. Drugi żołnierz był Polak; nazywał się Kubicki, był nieuk, ale uprzejmy i serdeczny. Ich towarzystwo było mi miłe.

LXVI

Na jednym końcu tego szanca były pokoje nadzorcy, na drugim końcu mieszkał jakiś kapral z żoną i synkiem. Gdy widziałem, że ktoś z tego mieszkania wychodzi, wstawałem i przybliżałem się do tej osoby, czy osób, które się ukazywały i zasypywano mnie oznakami uprzejmości i współczucia.

Żona nadzorcy była chorą od długiego czasu i stopniowo z sił opadała. Czasami kazała się wynieść z kanapą na świeże powietrze. Trudno dać pojęcie o jej wzruszeniu, kiedy mi wyrażała współczucie, jakiego doznała dla nas wszystkich. Jej wejście było niezmiernie miłe i nieśmiałe. A choć nieśmiało, wpatrywała się od czasu do czasu z żywym, badawczym zaufaniem we wzrok tego, kto z nią mówił.

Powiedziałem jej raz, śmiejąc się: « Wiesz pani, że jesteś podobna do osoby, która mi była drogą? Zacerwieniła się i odpowiedziała z poważną i uprzejmą prostotą: « A zatem nie zapominaj o mnie po mojej śmierci, módl się za moją biedną duszę i za synów moich których zostawiam na ziemi. »

Od tego dnia nie mogła już z łóżka wstawać. Już jej więcej nie widziałem. Parę miesięcy jeszcze dogorywała i umarła.

Ona miała trzech ślicznych synów i jednego jeszcze przy piersi.

Biedaczka całowała ich często w mojej obecności i mawiała: « Któż wie co za kobieta ich matką będzie po mnie! Ktokolwiek nią będzie, niech ją Bóg natchnie uczuciami macierzyńskimi i dla synów nie przez nią zrodzonych! I płakała.

Tysiąc razy przypominały mi się i ta jej prośba i te łzy.

Gdy jej już nie stało, często ściszałem te dzieci, rozczulałem się i powtarzałem tę matczyną prośbę. I myślałem o matce mojej i o gorących życzeniach, jakie się niewątpliwie dla mnie w jej kochającym sercu wznowiły i łkając wołałem: « O szczęśliwsza ta matka, która, umierając, opuszcza niedorośle dzieci od tej której po starannem wychowaniu dzieci wydarte zostają. »

Dwie pocziwe staruszki bywały zwykle z temi dziećmi; jedna była matką nadzorcy, druga ciotką. Zapragnęły poznać całą przeszłość moją, a ja ją im wkrótce opowiedziałem: « Jakże nieszczęśliwe jesteśmy, mówiły mi z wyrazem najprawdziwszego bólu, że nie możemy w niczem panu dopomóc. Ale bądź pan pewien, że się będziemy za niego modliły i że jeżeli nadejdzie dzień ulaskawienia, będzie to święto dla całej naszej rodziny. »

Pierwsza z nich, którą widywałem najczęściej, posiadała miłą niesłychanie dar niesienia pociechy. Słów jej słuchałem z synowską wdzięcznością i w sercu zachowywałem.

Mówiła mi rzeczy, które już znałem, a które mnie uderzały jakby były nowe: że nieszczęście nie poniża człowieka, jeżeli nie jest nikczemnym, lecz go jeszcze podwyższa — że gdybyśmy mogli przeniknąć sądy boże, widzielibyśmy często, że więcej pożałowania godni zwycięscy niż zwyciężeni, weseli niż smutni, bogaci niż wyzuci ze wszystkiego — że szczególna przyjaźń okazywana nieszczęśliwym przez Boga-Człowieka jest wielką rzeczą — żeśmy się powinni szczyć krzyżem odkąd go dźwigały boskie barki.

Otóż, te dwie pocziwe staruszki, które tak chętnie widywa-

łem, miały wkrótce z powodów rodzinnych opuścić Spielberg. Dzieciaki przestały chodzić na szaniec. Jakże mnie te straty zmartwiły.

LXVII

Niedogodność kajdan u nóg, nie dając mi spać, przyczyniała się do niszczenia mi zdrowia. Schiller chciał, żebym się domagał ulgi i dowodził, że lekarz powinien przepisać, by mi je zdjęto.

Na razie nie usłuchałem, potem uległem radzie i powiedziałem lekarzowi, że dla odzyskania snu proszę, żeby mi kazał odkuć kajdany, choćby tylko na kilka dni.

Lekarz odpowiedział, że moja febra nie doszła jeszcze do tego stopnia, żeby mógł zadość mi uczynić i że trzeba, bym się przyzwyczaił do łańcuchów.

Ta odpowiedź mnie oburzyła i zły byłem, że m daremnie prosił: « Oto co zyskałem na usłuchaniu twojej rady » rzekłem do Schillera. « Trzeba wyznać, że powiedziałem te słowa dość niegrzecznie. Ten pocziwiec się niemi obraził: Panu się nie podoba, krzyknął, że się wystawił na odmowę, a mnie się nie podoba, że pan taki względem mnie hardy ». Potem wypowiedział mi całe długie kazanie: Pyszalcy wielkość swoją zasadzają na nie narażaniu się na odmowy, na odrzucaniu tego, czem się ich częstuje, na wstydzaniu się tysiąca bzdurstw. Wszystko to osielstwa! Próżna wyniosłość! Nieświadomość tego, co stanowi prawdziwą godność! A prawdziwa godność polega w znacznej części na wstydzaniu się złych uczynków! Powiedział i gwałtownie kluczami brzęcząc wyszedł.

Zostałem jakby oszołomiony, a jednak ta szorstka szczerłość mi się podobała; płynie z serca tak jak jego dary, jego rady, jego współczucie. A czyż nie powiedział mi prawdy? Ileż to słabostek nazywałem godnością, a nie sąż one tylko pychą?

O godzinie obiadowej, Schiller kazał więźniowi Kundzie, by wszedł do mnie z dwoma garnkami i wodą, a sam zatrzymał się przy drzwiach. Zawołałem go: « Nie mam czasu, odburknął. Wstałem z mojej ławy, podeszedłem do niego i powiedziałem: « Jeżeli chcesz, żeby mi jedzenie posłużyło, nie krzyw się tak na mnie. — A jak mam wyglądać, zapytał, wypogadzając się — Jak człowiek wesoły, i jak przyjaciel, odpowiedziałem. — Niech żyje wesołość! krzyknął, i na to żeby ci jedzenie posłużyło, chcesz pan, żebym tańcował, jestem na usługi. » Zaczął tańczyć, a jego długie, chude nogi, jak dzidy, tak śmiesznie wyglądały, że się szczerze śmiałem, ale serce miałem na wskroś wzruszone.

LXVIII

Jednego wieczora Oroboni i ja staliśmy przy oknie i skarżyliśmy się na głód. Trochęśmy głos podnieśli, a warty zaczęły krzyczeć. Nadzorca, który na nieszczęście tamtędy przechodził, poczuł się do obowiązku zawołania Schillera i srogiego złajania go, że nie pilnuje, by przestrzegano milczenia.

Schiller w wielkim gniewie skarżył mi się na to i nakazywał nigdy już przez okno nie rozmawiać. Chciał, bym mu to przyrzekł. « Nie, odpowiedziałem mu, nie chcę wam tego przyrzec. — O, u licha, krzyknął, tyle mi ma do powiedzenia, nie chcę; mnie, który z jego powodu oberwałem taką przekłątą awanturę. — Przykro mi, kochany Schiller, żeś oberwał awanturę, bardzo mi przykro; ale nie chcę obiecywać, czego czuję, że bym nie dotrzymał. — A dlaczego byś pan nie dotrzymał? Bo bym nie mógł; bo ciągła samotność jest tak dla mnie okrutna, żebym się nie oparł potrzebie wypuszczenia głosu z płuc i namówienia sąsiada, by mi odpowiedział. A gdyby się mój sąsiad nie odezwał, przemówiłbym do krat mojego okna,

do pagórków naprzeciwno, do ptaków przelatujących. — U licha, nie chcesz pan obiecać? — Nie, nie, zawołałem.

A on trzasnął o ziemię pięciem kluczków, wołając : « U licha, u licha ! rzucił się na mnie i wyściskał : « No cóż, czy ja mam przestać być człowiekiem dla tych przeklętych kluczków ? Z pana człowiek, jak się należy, a mnie się to podoba, że pan nie chcesz obiecać tego, czego byś nie dotrzymał. Ja bym tak samo uczynił. »

Podniosłem klucze i jemu je oddałem : « Te klucze, mówiłem mu, nie takie przekłete, kiedy nie mogły z uczciwego kaprała, jakim jesteś, zrobić niegodziwego oprawcy. — A gdybym myślał, że to zrobić mogą, odrzekł, odniósłbym je moim zwierchnikom i powiedziałbym : jeżeli mi nie chcecie dać innego chleba, pójdę żebrać ».

Wydobył z kieszeni chustkę, otarł oczy, poczem, trzymając je wzniesione, ręce złożył do modlitwy. Ja moje złożyłem i modliłem się wraz z nim milcząco. On zrozumiał, że ja się za niego modliłem, jak i ja zroumiałem, że on się za mnie modlił.

Odchodząc powiedział mi po cichu : « Jak pan mówi z hr. Orobonim, mów pan jak możesz najciszej. Podwójna będzie korzyść : mnie oszczędzisz wrzasku pana nadzorcy, a z drugiej strony nie narazisz się na to, by kto pochwycił jakie słowa... czy mam powiedzieć? jakie słowa, które powtórzone jeszczeby bardziej rozdrażniły tego, który może karać ».

Zaręczyłem mu, że z ust naszych nie wychodzi słowo, które, komukolwiek powtórzone, mogłoby obrazić.

Nie potrzeba nam też rzeczywiście było przestrogi, byśmy byli przezorni. Dwaj więźniowie, którzy zdołają ze sobą obcować, doskonale sobie zawsze umieją stworzyć słownik, dzięki któremu wszystko sobie powiedzieć mogą, pewni, że ich nikt, choćby usłyszał, nie zrozumie.

LXIX

Wracalem z przechadzki ; było to 7 sierpnia. Drzwi od celi Oroboniego stały otworem a wewnątrz znajdował się Schiller, który nie usłyszał, że idę. Moi stróże chcieli przyspieszyć kroku, by zamknąć te drzwi, ja ich uprzedziłem, przecisnąłem się i oto jestem w objęciach Oroboniego.

Schiller osłupiał : mówił : « Do licha, do licha ! i palcem mi groził. Ale oczy jego były pełne łez i szlochając krzyczał : « Mój Boże, zmiłuj się nad tymi biednymi młodzieńcami, nademną i nad wszystkimi nieszczęśliwymi, Ty, co tak nieszczęśliwym byłeś na ziemi ! »

Dwaj żołnierze płakali, wartownik na korytarzu także płakał. Oroboni mi mówił : « Silvio, jest to jeden z najszcześniejszych dni mego życia ! » — Ja nie wiem, com mu mówił, nie posiadałem się z radości i rozrzewnienia.

Kiedy Schiller błagał, żebyśmy się rozstali i trzeba było go usłuchać, Oroboni zalał się rzewnymi łzami i rzekł : « Czy już nigdy się nie obaczymy na ziemi ? »

I już go w istocie nie widziałem nigdy ! Kilka miesięcy potem jego izba była pusta. A Oroboni spoczywał na cmentarzu, który się rozciągał pod mojem okienkiem !

Odkądeśmy się widzieli przez chwilę, zdawało się, żeśmy się jeszcze serdeczniej pokochali, silniej, niż poprzednio i żeśmy się stali wzajemnie bardziej sobie potrzebnymi.

On był bardzo przystojnym młodzieńcem, szlachetnej postawy, ale bladej i nędznego zdrowia. Tylko oczy były pełne życia. Moja miłość dla niego wzmogła się litością, jaką mi wzbudził widok jego wycieńczenia i bladości. To samo odczuwał on względem mnie. Obaj czuliśmy, że prawdopodobnie wkrótce jednemu z nas przypadnie drugiego przeżyć.

Po kilku dniach on zachorował. Ja nieustawałem tęsknić za nim i modlić się za niego. Po kilku napadach febry trochę sił odzyskał i mógł powrócić do rozmów przyjacielskich. O jakże usłyszenie znowu jego głosu mnie pocieszyło: « Nie ludź się, mawiał mi on, nie jest to na długo, będzie to na krótki czas. Miej cnotę potrzebną, by się przygotować na utracenie mnie. Dodaj mi odwagi twoją odwagą.

W tych dniach chciano bielić nasze mury i tymczasem przeniesiono nas do podziemnych lochów. Na nasze nie-szczęście przez ten czas nie umieszczono nas w przyległych lochach. Schiller mi mawiał, że Oroboni dobrze się ma, ale domyślałem się, że nie chce mi prawdy powiedzieć i bałem się, że jego stan zdrowia, już tak nędzny, jeszcze się pogorszy w tych lochach podziemnych.

Gdybym przynajmniej był miał szczęście być blisko mego drogiego Maroncelli! Usłyszałem przynajmniej głos jego. Śpiewem powitaliśmy się mimo krzyków wart.

Przybył w tych czasach protomedyk z Berna dla odwiedzenia nas. Przysłany może wskutek sprawozdań, które nadzorca posyłał do Wiednia, o niezmiernem osłabieniu, do którego niedostatek żywności doprowadził wszystkich, bo w istocie panował w więzieniach skorbut bardzo zaraźliwy.

Nie znając powodu tych odwiedzin, wystawiłem sobie, że Oroboni na nowo zachorował. Obawa utracenia go sprawiała mi niepokój niewymowny. Napadła mnie wówczas silna melancholja i pragnienie śmierci. Myśl samobójstwa znowu mnie ścigała. Walczyłem z nią; byłem, jak podróżny przemęczony, któryby sam do siebie mówił: « Mam obowiązek dojść do mety, a czuję potrzebę przemagającą rzucenia się na ziemię i wypoczęcia ».

Powiedziano mi, że ongi w jednym z tych ciemnych lochów, pewien stary Czech zabił się, rozbijając sobie głowę o ściany.

Nie mogłem odpędzić sobie z wyobraźni pokusy naśladowania go. Nie wiem czy moje majaczenia nie byłyby do tego doprowadziły, gdy naraz krew mi się z piersi rzuciła i dała do myślenia, że śmierć moja bliska. Dziękowałem Bogu, że w ten sposób sam mnie chce zabrać, ustrzegając mnie od czynu rozpaczliwego potępianego przez mój rozum.

Ale Bóg owszem chciał mnie uratować; ten wybuch krwi użył moim cierpieniom. Tymczasem przeniesiono mnie do więzienia górnego. Odzyskanie światła i sąsiedztwo Oroboniego przywiązały mnie na nowo do życia.

LXX

Zwierzyłem mu się z okropnej tęsknoty, jakiej doznałem po rozstaniu się z nim, a on mi powiedział, że również zwalczać musiał pokusę samobójstwa: « Korzystajmy, mówił, z krótkiego czasu jaki nam znowu dany, aby się wzajemnie pokrzepić wiarą. Mówmy o Bogu; wzbudzajmy w sobie miłość ku niemu. Przypominajmy sobie, że on jest sprawiedliwością, mądrością, dobrocią, pięknem, że on jest wszystkim tem najlepszem, o czem zawsze marzymy. Powiadam ci na prawdę, że mi do śmierci niedaleko. Będę ci nieskończenie wdzięczny, jeżeli się przyczynisz do tego, bym się stał w te ostatnie dni tak religijnym jakim bym był powinien być całe życie ».

I nasze rozmowy poruszały już tylko filozofię chrześcijańską i porównania między nią a nędzą zmysłowości. Obaj radowaliśmy się, stwierdzając tyle zgody między nauką chrześcijańską a rozumem: obaj, porównywując różne wyznania ewangeliczne, widzieliśmy, że jedna tylko katolicka wiara mogła rzeczywiście oprzeć się krytyce, że nauka religii katolickiej polega na zasadach najczystszych i najczystszej moralności, a nie na nędznych płodach ludzkiej ciemnoty: « A

gdybyśmy jakimś cudem mieli powrócić między ludzi, mówił Oroboni, czy będziemy tak tchórzliwi, by nie wyznawać Ewangelii? by dać się zachwiać, gdyby kto przypuścił, że więzienie osłabiło nam ducha i że przez słabość utwierdziliśmy się w wierze? Mój Oroboni, odrzekłem, to twoje pytanie jest i odpowiedzią twoją, a zarazem i moją. Szczytem podłości być niewolnikiem cudzych sądów, gdy się jest przekonany, że są fałszywe. Nie wierzę, byśmy kiedy takiej podłości ni ty, ni ja uledz mieli.

Wśród tych wynurzeń popełniłem winę. Przysiągłem Juliuszowi, że nigdy nie powtórzę nikomu, wyjawiając jego prawdziwe nazwisko, jakie były stosunki między nami. Opowiedziałem je Oroboniemu, mówiąc: « W świecie nigdy by się nie wykradło z ust moich coś podobnego, ale tu jesteśmy w grobie, a jeżeli stąd wyjdiesz, wiem, że mogę zaufać tobie ». A on najzacniejszy milczał: « Czemu mi nie odpowiadasz? zapytałem. Wreszcie począł mnie poważnie ganić za zgwałcenie tajemnicy. Jego nagana była słuszna. Żadna przyjaźń, choćby najbliższa, choćby cnotą wzmocniona, nie może upoważnić do takiego zgwałcenia.

Ale skoro tę winę popełnił, Oroboni dla mnie z niej korzyść wydobył? Znał on Juliusza i wiedział o kilku zaszczytnych rysach jego życia. Opowiedział mi je i rzekł: « Ten człowiek tak często zachowywał się po chrześcijańsku, że nie może swej nienawiści do kościoła ponieść aż do grobu. Ufajmy, ufajmy. A ty, Silvio, pamiętaj, przebacz mu z serca jego przykre usposobienie i módl się za niego.

Te jego słowa były dla mnie święte.

LXXI

Rozmowy, o których wspominam, czyto z Orobonim, czyto z Schillerem lub innymi, zajmowały wszakże małą tylko

część długich dwudziestu czterech godzin dni moich, a zdarzało się nieraz, że się zupełnie nie dało rozmawiać z Orobonim.

Cóż robiłem w takim osamotnieniu?

Oto na czem schodziło całe moje życie w tych czasach. Stale wstawałem ze dnem i stanawszy na węzłowie mojej ławy i chwyciwszy kratę żelazną u okna, pacierz odmawiałem. Oroboni już stał przy swoim oknie, albo wnet się doń zbliżał; witaliśmy się wzajemnie; i tak jeden jak drugi, dalej, w milczeniu zwracał swe myśli ku Bogu. O ile okropne były nasze nory, o tyle wspaniały był dla nas widok na świat zewnętrzny. Jakie niebo, jaka przyroda, jakie życie i ruch ludzi opodal w dolinie, i te głosy wieśniaczek, te śmiechy, te śpiewy rozweselały nas i dawały nam wyraźniej odczuwać obecność tego, który jest tak szczerobliwy w swej dobroci, a którego pomoc tak bardzo nam potrzebna.

Następowały ranne rewizye strażników. Ci przeglądali izbę, by się przekonać, czy wszystko w porządku; opatrywali mój łańcuch, ogniwo po ogniwie, dla przekonania się czy przypadkiem lub umyślnie nie został przerwany; a raczej wskutek tego, że zerwanie łańcucha było niemożliwem, odbywano te inspekcje dla wiernego wykonania przepisów. W dnie, w które lekarz przychodził, Schiller zapytywał, kto z nim mówić pragnie i zapisywał.

Ukończywszy oględziny naszych więzień, Schiller się wracał i towarzyszył Kundzie, którego zadaniem było sprzątanie izb. Wnet przynoszono nam śniadanie. To się składało z pół garnuszka jakiejś wodnistej czerwonej zupy z trzema cieniutkimi kromkami chleba. Zjadałem chleb, a nie piłem tego płynu.

Potem zabierałem się do nauki. Maroncelli przywiózł z Włoch znaczną liczbę książek i wszyscy nasi towarzysze naprzywozili ich jeden mniej, drugi więcej. Wszystko razem stanowiło dobrą biblioteczkę. Mieliśmy poza tem nadzieję powiek-

szenia jej własnym kosztem. Nie przyszła jeszcze odpowiedź cesarska na prośbę, przez nas podaną, o pozwolenie czytania naszych książek i kupowanie innych; ale gubernator Berna udzielił nam tymczasowego pozwolenia trzymania dwóch książek i wymieniania ich do woli. Około dziewiątej przychodził nadzorca, a jeżeli lekarza wezwano; on mu towarzyszył.

Jeszcze mi trochę czasu zostawało na naukę aż do jedenastej, godziny obiadowej.

Do zachodu słońca nie było innych odwiedzin, powracałem do nauki. Wtedy Schiller i Kunda przychodzili zmienić wodę, a w chwilę potem przychodził nadzorca z kilku strażnikami na przegląd wieczorny całego pokoju i moich kajdan.

O którejkolwiek godzinie dnia, czy to przed, czy po obiedzie, do woli straży odbywała się przechadzka.

Po ukończeniu wieczornych oględzin, o których mówiłem, Oroboni i ja zabieraliśmy się do rozmowy; były to zwykle nasze najdłuższe pogadanki. Wyjątkowo zdarzało nam się rozmawiać i z rana, albo zaraz po obiedzie, ale to wówczas trwało zwykle bardzo krótko.

Czasami strażnicy byli tak litościwi, że nam mówili: « Trochę ciszej, panowie, inaczej, kara na nas ».

W innych razach udawali, że nie słyszą rozmowy, potem gdy nagle zoczyli nadchodzącego sierżanta, prosili byśmy zamilkli, dopokąd nie odejdzie; a zaledwo on odszedł mawiali: — « Panowie, teraz możecie, ale jak tylko najciszej potraficie ».

LXXII

Pewnego wieczora mieliśmy pocziwych żołnierzy na warcie, to też Oroboni i ja nie trudziliśmy się przytłumieniem naszych głosów. Maroncelli w swoim podziemnym lochu

wygramoliwszy się do okienka i uczepiwszy się go, usłyszał nas i głos mój poznał. Nie mógł się powstrzymać i powitał mnie, śpiewając; pytał o moje zdrowie w najczulszych słowach; wyraził przykrość jakiej doznaje, że dotąd nie otrzymał odpowiedzi na prośbę, by nas umieszczono we wspólnej izbie. O tę łaskę i ja prosiłem; ale nie nadzorcy Spielbergu, tylko gubernatora Berna, ale ani jeden, ani drugi nie miał władzy udzielenia jej. Nasze życzenie wspólne przedstawiono Cesarzowi, dotąd odpowiedź nie nadeszła. Od czasu kiedyśmy się powitali śpiewem w podziemiach, kilka razy z mego piętra słyszałem jego piosnki, ale nie mogłem słów uchwycić; a i to krótko trwało, bo nam gwałtownie przerywano.

Teraz wiele głośniejsze śpiewał i nie tak prędko mu przerywano; zrozumiałem wszystko, co mówił. Nie mam słów na wyrażenie wzruszenia, jakiego doznałem. Odpowiedziałem mu; rozmawialiśmy przez jakiś kwadrans. W końcu zmieniono warty na szanču a nowe nie były łaskawe. Chcieliśmy dalej śpiewać, ale powstały wściekłe krzyki wart i przekleństwa; musieliśmy ustąpić.

Wyobrażałem sobie, że Maroncelli gnije od tak długiego czasu w więzieniu o wiele gorszym od mojego. Wyobrażałem sobie smutek, jaki go tam często gnębić musiał i szkodę jego zdrowiu wyrządzoną i głęboki mnie trawił niepokój.

Wreszcie mogłem zapłakać, ale płacz mi ulgi nie przyniósł. Dostałem ciężkiego bólu głowy z silną gorączką. Nie mogłem się utrzymać na nogach; rzuciłem się na siennik; drżałem cały; piersi mnie bolały; miałem kurcze nerwowe. Myślałem, że tej nocy umrę.

Dnia następnego gorączka ustała, a w piersiach było lepiej, ale zdawało mi się, że miałem ogień w mózgu i zaledwie głową poruszyć mogłem bez wywołania strasznych boleści.

Powiedziałem Oroboniemu o moim stanie. On też czuł się

gorzej niż zwykle. « Przyjacielu, powiedział mi, nie daleki dzień, w którym jeden z nas dwóch nie będzie mógł przyjść do okna. Każde nasze powitanie może być ostatniem. Bądźmy więc obaj gotowi czy na śmierć, czy na przeżycie przyjaciela. » Jego głos był wzruszony, ja mu nie mogłem odpowiedzieć. Milczeliśmy chwilę, potem on ciągnął dalej : « Tyś szczęśliwy, mówisz po niemiecku. Będiesz przynajmniej mógł się spowiadać. Ja prosiłem o księdza, umiającego po włosku : powiedzieli, że takiego niema. Ale Bóg widzi moje życzenie, a odkąd się spowiadałem w Wenecyi, zdaje mi się naprawdę, że nie mam niczego poważnego na sumieniu. — Ja, przeciwnie, odrzekłem, gdy się w Wenecyi spowiadał, miałem duszę pełną zawziętości i uczyniłem gorzej, niż gdybym był odmówił sakramentów. Ale jeżeli mi teraz pozwolą na księdza ; zaręczam ci, że wypowiadam się serdecznie, przebacząc wszystkim. — Niech cię niebo błogosławi, zawołał, wielka to, dla mnie pociecha. Zróbmy, tak, zróbmy obaj co tylko możliwe, byśmy wiecznie byli połączeni w szczęściu, jakeśmy połączeni byli w tych dniach nieszczęścia. »

Dnia następnego oczekiwałem go przy oknie, ale nie przyszedł. Dowiedziałem się od Schillera, że był ciężko chory.

Ośm czy dziesięć dni potem miał się lepiej i przyszedł się ze mną witać. Ja cierpałem, ale trzymałem się jakoś. Upłynęło kilka miesięcy tak dla niego, jak i dla mnie na tych ciągłych przemianach to na lepsze, to na gorsze.

LXXIII

Wytrzymałem do 11 stycznia 1823. Rano wstałem z bólem głowy nie bardzo silnym, ale ze skłonnością do mdłości. Nogi mi się trzęsły i z trudnością oddychałem.

Oroboni także od dwóch czy trzech dni miał się źle i nie wstawał.

Przynieśli mi zupe, skosztowałem ledwie troszkę i padłem bez przytomności. Jakiś czas potem żołnierz na warcie w korytarzu przypadkiem zajrzał przez okienko i widząc mnie leżącego na ziemi z garnuszkiem przewróconym przy mnie, sądził, że umarł i zawołał Schillera.

Przyszedł też i nadzorca, wezwano odrazu lekarza, mnie położono do łóżka ? Z trudem odzyskałem przytomność.

Lekarz uznał, że stan niebezpieczny i kazał mi kajdany zdjąć. Przepisał mi nie wiem jaki napój posilający, ale żołądek niczego znieść nie mógł. Ból głowy wzrastał się straszliwie.

Natychmiast sprawę zdano gubernatorowi, który gońca wysłał do Wiednia, by się dowiedzieć, jak się mają ze mną obchodzić. Przyszła odpowiedź, by mnie nie przenosić do lazaretu, ale by mnie w więzieniu służyło z tą samą troskliwością, jakbym był w lazarecie. Co więcej, upoważniono nadzorcę do dostarczenia mi rosołu i zupy ze swej kuchni, póki trwać będzie stan ciężki.

To ostatnie rozporządzenie było na początku zbyt dobre. Żadnego pokarmu, żadnego napoju przyjąć nie mogłem. Pogorszało mi się przez cały tydzień, mającym dzień i noc.

Dano mi Krala i Kubickiego jako pielęgniaczy ; obaj obsługiwali mnie z serdeczną troskliwością.

Ile razy byłem trochę przytomny, Kral mi powtarzał : « Ufaj Bogu ; Bóg jeden jest dobry. — Módlcie się za mnie, mówiłem mu, nie bym wyzdrowiał, lecz bym przyjął nieszczęścia i śmierć na pokutę za grzechy moje. »

Podał mi on myśl zażądania sakramentów : « Jeżeli ich nie zażądał, odparłem, przypiszcie to słabości mojej głowy ; ale byłoby to wielkiem pokrzepieniem, gdybym je otrzymał.

Kral powtórzył moje słowa nadzorcy i sprowadzono kapelana więziennego.

Spowiadałem się, przystąpiłem do komuni św. i otrzymałem oleje święte. Zadowolony byłem z tego kapłana. Nazywał się Sturm. Uwagi, jakie mi uczynił o sprawiedliwości bożej, o niesprawiedliwości ludzkiej, o obowiązku przebaczenia, o marności wszystkich spraw tego świata nie były pospolite; świadczyły one o umyśle wzniosłym i światłym i o gorącym uczuciu prawdziwej miłości Boga i bliźniego.

LXXIV

Wysiłek myśli, na jaki się zdobyłem, by przystąpić do sakramentów, zdało się, że wyczerpał resztę mych sił żywotnych, a tymczasem sprowadził on kilkogodzinny letarg, który mnie pokrzepił.

Podźwignąłem się nieco, a widząc Schillera i Krala czuwających nademną, uchwyciłem ich ręce i podziękowałem im za starania.

Schiller mi powiedział: « Moje oko wprawione do patrzenia na chorych; przysiągłbym, że pan nie umrze. — Czy wam się nie zdaje, że to zła przepowiednia? pytałem — Nie, odrzekł, nędze życia są wielkie, to prawda, ale kto je znosi w podniosłym duchu i z pokorą, dla tego i takie życie zawsze korzyść przedstawia — potem dodał: Jeżeli pan pożyje, ufam, że będzie miał za kilka dni wielką pociechę. Wszak pan prosił o widzenie się z panem Maroncelli? — Tyle razy o to prosiłem na próżno; nie śmiem już tego się spodziewać. — Ufaj pan, ufaj! i powtórz prośbę. » Powtórzyłem ją rzeczywiście tegoż dnia.

Nadzorcą mówił także, że powinienem ufać i dodał, że prawdopodobnie Maroncelli nie tylko będzie mógł mnie widywać, ale

że mi go dadzą na pielęgniacza, a następnie na nieodłącznego towarzysza.

Tak jak wszyscy więźniowie stanu, mieliśmy i my mniej więcej zniszczone zdrowie. Gubernator pisał do Wiednia, prosząc o pozwolenie umieszczenia nas po dwóch razem, abyśmy mogli wzajemnie sobie usługiwać.

Prosiłem też o pozwolenie napisania ostatniego pożegnania do rodziny. Pod koniec drugiego tygodnia zaszło w mojej chorobie przesilenie i niebezpieczeństwo ustąpiło. Zaczynałem wstawać, gdy raz rano drzwi się otwierają i widzę wchodzących z radosnym wyrazem twarzy nadzorcę, Schillera i Lekarza. Pierwszy przybiega ku mnie i mówi: « Mamy pozwolenie na danie panu Maroncellego na towarzysza i dla pana na pisanie do rodziców. »

Radość zaparła mi oddech i biedny nadzorca, który idąc za popędem serca, nierozważnie postąpił, myślał, że stracony. Gdy powrócił do zmysłów i przypomniał sobie usłyszaną wiadomość, prosiłem, żeby mi nie opóźniano tak wielkiego dobrodziejstwa; lekarz zezwolił i Maroncellego oddano w moje objęcia.

Cóż to była za chwila! « Ty żyjesz! » zawołaliśmy równocześnie. « O przyjacielu! O bracie! Jakiegoż to szczęśliwego dnia danem nam dożyć. Chwała za to Bogu! »

Ale z niezmierną naszą radością łączyła się niezmierna żalność. Maroncelli musiał być uderzony mniej, widząc mnie tak wyniszczonym, bo wiedział, jak ciężką chorobę przebyłem. Ale ja, choć wiedziałem, że dużo przecierpiał, nie wystawiałem sobie, żeby mógł być tak zmieniony. Był on nie do poznania. To oblicze dawniej tak piękne, tak czerstwe, było wyniszczone bólem, głodem, powietrzem ciemnicy.

A wszakże widzieć go, słyszeć, że się jest połączonym z nim było wielką pociechą. Ileż to rzeczy do powiedzenia, do przy-

pomnienia i powtórzenia. Jaka słodycz we wzajemnem współczuciu? Jaka zgodność w myślach. Jakie zadowolenie w przekonaniu się o zgodzie zupełnej co do wiary, o nienawiści jednakiej dla nieuctwa i barbarzyństwa, o braku nienawiści do jakiegokolwiek człowieka i wspólnem naszym miłosierdziu dla nieuków i barbarzyńców i o modlitwie za nich.

LXXV

Pzyniesiono mi ćwiartkę papieru i kałamarz, bym napisał do rodziców.

Właściwie skoro pozwolenie to dane było umierającemu, chcącemu posłać rodzinie ostatnie pożegnanie, obawiałem się, że mój terażniejszy list w innym tonie pisany, nie będzie wysłany. Ograniczyłem się do proszenia najserdeczniej rodziców, braci i siostry, by się pogodzili z moim losem, zaręczając, że ja się już z nim pogodziłem. Wszakże ten list wyprawiono, jak się dowiedziałem, kiedy po tylu latach ujrzałem na nowo dach rodzicielski. Był to właśnie jedyny list, który w czasie mojej niewoli, kochani rodzice odemnie otrzymali. Ja od nich nie otrzymałem ani jednego; te które do mnie pisywali, były zawsze odsyłane do Wiednia; tak samo pozbawieni byli wszelkich stosunków z rodzinami wszyscy nasi towarzysze niedoli.

Powtarzaliśmy nieustannie prośbę o łaskę posiadania przynajmniej papieru i kałamarza do pracy i o pozwolenie kupowania książek za własne pieniądze. Nigdy nas nie wysłuchano.

Gubernator zezwalał nam dalej na czytanie własnych książek.

Otrzymaliśmy także z jego łaski pewne polepszenie żywności, ale, niestety, nie długotrwałe. On się zgodził na to, by zamiast z kuchni więziennych żywiono nas z kuchni nadzorcy. Pewien fundusz dodatkowy wyasygnował na ten użytek. Potwierdzenie

tego rozporządzenia nie nadeszło, ale póki to dobrodziejstwo trwało, wielkiej ulgi doznałem. Maroncelli też trochę sił odzyskał. Dla biednego Oroboni było już za późno.

Ten ostatni naprzód był w towarzystwie adwokata Solera, następnie z księdzem D. Fortini.

Skorośmy zostali po dwóch poumieszczani we wszystkich więzieniach, odnowiono nam zakaz rozmawiania przez okna, i to pod groźbą, że kto zakaz przekroczy, będzie skazany na samotność. Prawdę powiedziawszy, kilka razy przekroczyliśmy ten zakaz, żeby się powitać, ale w długie rozmowy już się nie wdawano.

Uspokojenie Maroncellego doskonale się zgadzało z mojem. Wspierało się wzajemnie męstwo nasze. Jeżeli jednego ogarniał smutek, albo oburzenie przeciw srogości rozporządzeń, drugi rozweselał go żartem, albo odpowiedniemi rozmowami. Łagodny uśmiech prawie zawsze uśmierzał nasze rozdrażnienia.

Jak długo mieliśmy książki, chociaż przeczytawszy je tyle razy, umieliśmy je na pamięć, były one słodkim pokarmem dla umysłu, bo dawały sposobność do zawsze nowych badań, porównań, sądów, sprostowań i t. p. Czytaliśmy lub rozmyślaliśmy przez większą część dnia w milczeniu, a gawędzie poświęcaliśmy czas obiadowy, przechadzkę i cały wieczór.

Maroncelli w swoim podziemiu ułożył dużo bardzo pięknych rzeczy. Powtarzał mi je i układał nowe. Ja też wiersze układałem i wypowiadałem je. I pamięć nam się ćwiczyła w przechowywaniu tego wszystkiego. Zdziwiałą była biegłość do jakiej doszliśmy, tworząc na pamięć długie poematy; poprawiając je i ulepszając bez końca, aby je doprowadzić do takiego udoskonalenia, jakiebyśmy osiągnąć mogli, pisząc je. Maroncelli w ten sposób utworzył potrochu i zachował w pamięci kilka tysięcy wierszy lirycznych i epicznych.

Ja utworzyłem tragedye : Leoniero da Dertona i różne inne rzeczy.

LXXVI

Oroboni, dużo przecierpiawszy w zimie i na wiosnę, w gorszym jeszcze był stanie podczas lata, krwią pluł i zapadł na wodną puchlinę.

Można się domyślać, ileśmy mieli zmartwienia, kiedy on potrochu dogorywał tak blisko nas, bez możliwości przebicia tych okropnych ścian, które nam nie pozwalały jego widzieć i oddawać mu przyjacielskich przysług.

Schiller przynosił nam wiadomości o nim. Biedny młodzieniec cierpiał okropnie, ale na duchu nigdy nie upadał. Duchową pomoc otrzymał od kapelana, który, szczęśliwym trafem, mówił po francusku.

Umarł w dzień swoich urodzin 13 Czerwca 1823. W kilka godzin przed śmiercią mówił o swoim ośmdziesięcioletnim Ojcu; rozrzewnił się i zapłakał. Potem, zapanowawszy nad sobą, rzekł : « Ale czemu ja płaczę nad najszcześniejszym z moich ukochanych, skoro on jest w przededniu połączenia się ze mną w pokoju wiecznym ? »

Jego ostatnie słowa były : « Przebaczam całemu sercem moim nieprzyjaciołom »

Oczy mu zamknął ks. Fortini, przyjaciel jego od dziecińczych lat, człowiek pełen wiary i miłości.

Biedny Oroboni! Mróz ściał nam żyły, kiedy nam powiedziano, że już go nie ma! A słyszeliśmy głosy i kroki tych co przyszli zabrać jego zwłoki! I widzieliśmy z okna wóz, którym go odwieziono na cmentarz! Wóz ten ciągnęli dwaj zwykli kryminaliści. Za nim szło czterech strażników; towarzyszyliśmy oczami temu smutnemu orszakowi aż do cmentarza. Weszli

w ogrodzenie, zatrzymali się przy narożniku : tam był dół grobowy.

Chwilę potem wóz, strażnicy i kryminaliści powrócili. Jeden z nich, Kubicki, powiedział mi zadziwiająco pocziwie, jak na takiego prostaka : « Naznaczyłem dokładnie ten grób, gdyby który z jego krewnych lub przyjaciół otrzymał pozwolenie przewiezienia jego zwłok do ojczyzny, będzie wiedział, gdzie są złożone. »

Ileż to razy Oroboni powiedział mi, patrząc przez okno na ten cmentarz : « Trzeba, żebym się przyzwyczaił do myśli, że pójde pruchnieć tam; a jednak wyznaję, że na tę myśl dreszcz mnie przechodzi. Zdaje mi się, że nie może być tak dobrze leżeć pochowanym w tych krajach, jak na naszym kochanym półwyspie. »

Potem śmiał się i mówił : « Dzieciństwo ! Kiedy odzienie zużyte i trzeba się z niem rozstać, cóż szkodzi gdzie je rzucić ?

Inny raz mówił : « Ciągłe się przygotowuję na śmierć, ale byłbym się jej chętniej poddał pod jednym warunkiem : powrócić na chwilę pod dach rodzicielski, uściskać kolana mego Ojca, otrzymać błogosławieństwo Matki, i umrzeć ! »

Westchnął i dodał : « Jeżeli tego kielicha nie można oddalić, niech się stanie, Boże, wola Twoja ! »

I ostatniego poranka powiedział jeszcze całując krzyż podawany mu przez Krala : « Ty, któryś Bogiem, miałeś jednak odrazę do śmierci, powiedziałeś : » « Jeżeli chcesz oddać odemnie ten kielich ! » Przebacz, że i ja to mówię; ale chcę i dalsze słowa Twoje powtórzyć : *A wszakże nie moja wola, ale Twoja niech się stanie !*

LXXVII

Po śmierci Oroboniego znowu zachorowałem. Myślałem, że wnet podążę za zgastym przyjacielem i tego pragnąłem. Ale czy byłbym zdołał rozstać się z Maroncellim bez żalu?

Nie raz, póki on, siedząc na sienniku, czytał lub składał wiersze, a może udawał, jak i ja, że rozrywkę znajduję w takim ćwiczeniu, a tymczasem rozmyślał o naszej niedoli, spoglądałem na niego z niepokojem i myślałem: Jakże smutniejsze stanie się twoje życie, kiedy duch śmierci mnie dotknie, gdy będziesz patrzył, jak mnie wynoszą z tej izby, kiedy patrząc się na cmentarz, powiesz: « I Silvio tam jest! » — I rozczulałem się nad tym biedakiem, który mnie przeżyje i życzyłem, aby mu innego dano towarzysza, który by go cenił, jak ja go ceniłem, albo by Bóg cierpienia moje przedłużył i pozostawił mi miłe zadanie łagodzenia jego cierpień, dzieląc je z nim.

Nie wspominam o tem, ile razy mnie moje cierpienia opuszczały i na nowo wracały. Doglądał mnie wówczas Maroncelli, jak najczulszy brat. Odczuwał, gdy mi trzeba było spokoju i wówczas milczał; odczuwał, gdy mi słowa jego ulgę przynieść mogły, i wówczas znajdował zawsze słowa odpowiednie do usposobienia duszy mojej, to stosując się do niego, to bacząc by je stopniowo przemienić. Umysłów szlachetniejszych nigdy nie znałem, równych mało. Wielka miłość sprawiedliwości, wielce pobłażliwa cierpliwość, wielkie zaufanie w cnotę ludzką i w pomoc opatrności, najżywsze uczucie piękna we wszystkich sztukach, wyobraźnia pełna poezii, wszystkie najmiłsze dary rozumu i serca łączyły się, by mi go drogim czynić.

Nie zapomniałem o Orobonim i codziennie śmierć jego opłakiwałem, ale radowało mi się często serce na myśl, że ten drogi przyjaciel, uwolniony od wszelkiego zła i na łonie bożem,

musi wśród powodów zadowolenia, liczyć i ten, że przy mnie widzi przyjaciela nie mniej serdecznego od niego.

Wydawało mi się, że głos jakiś w duszy zapewnia mnie, że Oroboni już nie jest w miejscu pokuty, jednak zawsze się za niego modliłem. Często we śnie widziałem go modlącego się za mnie; i miło mi było wmawiać w siebie, że te sny nie były przypadkowe, ale że to były objawienia prawdziwe przez Boga dopuszczone, by mnie pocieszyć. Śmiesznem by było opowiadać jak żywe były te sny i jak mi po nich błogo było przez dnie całe.

Ale uczucia religijne i przyjaźń moja dla Maroncellego ulgę przynosiły smutkom moim. Przerazała mnie jedynie myśl, że ten nieszczęsny, o zdrowiu zniszczonem, chociaż nie tak groźnie, jak moje, miał by mnie do grobu wyprzedzić. Ile razy chorował, ja drżałem; ile razy jemu się polepszało, wielka była dla mnie radość.

Te obawy stracenia go potęgowały moje do niego przywiązanie, a jego obawy stracenia mnie ten sam sprawiały skutek.

O jakąż słodycz w tych kolejnych obawach i nadziejach o ostatnią istotę, która ci pozostaje.

Położenie nasze było niewątpliwie jednym z najsmutniejszych na świecie; a przecież to, żeśmy się cenili i kochali, stanowiło wśród naszych cierpień rodzaj szczęścia i tośmy prawdziwie odczuwali.

LXXVIII

Byłbym pragnął, żeby kapelana, który tyle mi pociechy przyniósł podczas pierwszej mojej choroby, naznaczono na spowiednika i żebyśmy mogli go widywać od czasu do czasu, i to nawet nie czekając ciężkiej choroby. Zamiast jemu poruczyć ten urząd, gubernator przeznaczył do tego tymczasowo Augustianina

ojca Battista, dopokąd nie nadeszłoby z Wiedna albo potwierdzenie tego, albo zamianowanie innego.

Obawiałem się, że stracimy na zmianie, myliłem się; ojciec Battista był aniołem miłosierdzia. Bardzo dobrze, a nawet wykwintnie wychowany, miał głębokie poglądy o obowiązkach człowieka.

Prosił mi go, by nas często odwiedzał. Przychodził co miesiąc i częściej, kiedy mógł. Przynosił nam także, za pozwoleniem gubernatora, trochę książek i mówił, w imieniu swego przełożonego, że cała biblioteka zakonna jest na nasze usługi. Byłoby to wielką dla nas korzyścią, gdyby było potrwało. Jednak korzystaliśmy z tego przez kilka miesięcy.

Po spowiedzi zatrzymywał się, by długo z nami rozmawiać, i z wszystkiego, co mówił, okazywała się dusza prawa, zacna, rozmiłowana w wielkości i świętości człowieka. Mieliśmy szczęście przez rok blisko korzystać z jego wykształcenia i przyjaźni; nie zawiodły one nigdy. Ani razu choćby tylko słowem nie sprawił nam wrażenia, że służy polityce, a nie swemu powołaniu. Nigdy najłżejszego uchybienia w uprzejmych względach.

Z początku, prawdę mówiąc, nie dowierzałem mu; oczekiwałem, że użyje swojej przenikliwości na niewłaściwe badania. U więźnia stanu taka nieufność jest aż nadto zrozumiała; ale cóż to za ulga, kiedy ustąpi, kiedy się w słudze bożym odkrywa gorliwość zwróconą jedynie do sprawy Boga i ludzkości.

Umiął on pocieszać w sposób sobie właściwy i bardzo skuteczny. I tak np. oskarżałem się o napady złości z powodu srogiej karności więziennej. On mnie pouczał o cnocie cierpienia z pogodą ducha i przebaczenia; potem malował w najżywszych barwach cierpienia przywiązane do innych warunków życia. Dużo żył w mieście i na wsi; znał mocnych i ma-

luczkich i rozmyślał nad niesprawiedliwością ludzką; umiał opisywać namiętności i obyczaje różnych warstw społecznych. Wszędzie okazywał mi mocnych i słabych, ciemniejszych i ciemniejszych; wszędzie konieczność albo nienawidzenia bliźnich, albo miłowania ich wielkodusznie z pobłażliwą litością. Przykłady, jakie mi przytaczał dla przypomnienia, jak powszechną rzeczą jest nieszczęście i jak dobre wyniki z niego wyprowadzić można, nie miały w sobie nic szczególnego; były to owszem przykłady jaknajprostsze, ale opowiedziane tak trafnymi słowami, że sprawiały na mnie silne wrażenie, utwierdzające jego wnioski.

W istocie! ile razy słyszałem te miłosierne nagany i szlachetne rady, rozpalałem się miłością cnoty, rozpraszały się moje nienawści; gotów byłem życie oddać za ostatniego z bliźnich, błogosławiłem Bogu, że mnie stworzył.

O jakże nieszczęśliwy, kto nie zna wspaniałej doniosłości spowiedzi. Nieszczęśliwy ten, kto nie chcąc się wydać pospolitym, sądzi, że musi z niej żartować. Nieprawdą jest, by każdy, wiedząc że trzeba być dobrym, nie potrzebował przypomnienia mu tego; by wystarczyło własne zastanowienie i czytanie odpowiednich dzieł. Nie! żywe słowo człowieka ma w sobie siłę, której ani czytanie, ani własne rozmyślanie nie zastąpią! Duszą one silniej wstrząsają, wrażenie sprawiają głębsze. Z ust przemawiającego brata bije życie, padają słowa w porę podane, których darmo byś szukał w książkach i we własnych myślach.

LXXXIX

W początkach 1824 nadzorca, którego kancelarya znajdowała się przy wejściu do naszego korytarza, przeniósł się do innego mieszkania, a izby kancelaryjne i inne do nich przyległe użyto

na dodatkowe więzienie. Zrozumieliśmy, że nowi więźniowie stanu mają przybyć z Włoch.

Przybyli w istocie niedługo skazani po trzecim procesie, wszyscy przyjaciele i znajomi! O jakież było moje zmartwienie, gdy się dowiedziałem o ich nazwiskach. Borsieri był jednym z najdawniejszych moich przyjaciół! Z Confalonierim, chociaż nie od tak dawna, byłem zaprzyjaźniony, nie mniej całym sercem go kochałem! Gdybym był mógł przejść do « Carcere durissimo », najcięższego więzienia, lub znosić najstraszniejsze męki za nich, Bóg wie, jak chętnie byłbym to zrobił! Nie mówię, tylko, że byłbym dał życie za nich. Cóż to jest życie dać? Cierpienie więcej znaczy.

Byłbym wtedy miał tak wielką potrzebę pociechy ojca Battisty; już mu nie dozwolono nas odwiedzać.

Nowe doszły rozkazy o utrzymaniu najsurowszej karności. Szaniec, który nam służył do przechadzki, obwiedziono parkanem, tak że nikt nie mógł nas widzieć nawet zdaleka teleskopem. A tem samem straciliśmy wspaniały widok na wzgórza otaczające i na miasto u ich stóp rozlegające się. Nie dość na tem. Ażeby się dostać do tego szanca, trzeba było, jak mówiłem, przejść przez podwórze na którym mnóstwo ludzi mogło nas widzieć. By nas ustrzedz od wzroku ludzkiego, pozbawiono nas przechadzki na szanцу iznaczono nam małe podwórze wzdłuż naszego korytarza po stronie zachodniej tak jak nasze cele.

Nie mogę wyrazić do jakiego stopnia to rozporządzenie co do przechadzek nas zmartwiło. Nie opisałem wszystkich stron dla nas dodatnich miejsca przechadzki, którego nas pozbawiono. Widok dzieci nadzorcy, ich serdeczne uściski, miejsce gdzieśmy widywali w ostatnich dniach życia chorą ich matkę, gawędy z robotnikiem, który tam mieszkał, wesołe piosenki i gra kaprała na gitarze, wreszcie niewinna miłość, nie moja, ani mego

towarzysza, ale pocziwej kapralowej, węgierki, przekupki sprzedającej owoce, która się zakochała w Maroncellim.

Już nim go ze mną umieszczono, on i ta kobieta, widząc się codziennie, zaprzyjaźnili się; on był duszą tak ząną, godną, prostą w swych poglądach, że się zupełnie nie domyślał o rozmiłowaniu się w nim tej biednej istoty. Zwróciłem mu sam na to uwagę. Nie chciał mi wierzyć, i tylko przypuszczając, że mogłem się nie mylić, zmusił siebie do większej oględności względem niej. Jego większa oględność, zamiast miłość tę przytłumić, zdawała się ją wzmacniać.

Okno jego celi sięgało zaledwie na trzy stopy nad poziom szanca; ona przeskakiwała na naszą stronę pod udanym pozorem rozesłania na słońcu jakiej bielizny, lub wykonania innej pracy, i patrzyła ku nam, a jak się dało, wszczyniała rozmowę.

Nasi biedni strażnicy, zawsze zmęczeni, bo po nocach mało lub wcale nie spali, chętnie, gdy mogli, zachodzili do tego zakątka, gdzie nie widziani przez przełożonych, mogli siadać na trawie i przedzierać się. Ta nieszczęśliwa tak zdradzała swe przywiązanie, że Maroncellego wprawiała w wielki kłopot. Mój kłopot był jeszcze większy. Nie mniej podobne sceny, które by były śmieszne, gdyby ta kobieta małe w nas wzbudzała uszanowanie, były dla nas poważne i mogę powiedzieć, rozczulające. Nieszczęsna węgierka miała wygląd, który wzbudzał wiarę w jej cnotę i poważanie. Nie była piękną, ale tak szlachetny miała wyraz twarzy, że rysy jej jakkolwiek nieregularne, nabierały uroku za każdym uśmiechem, za każdym poruszeniem muskułów.

Gdybym chciał pisać o miłości, nie mało bym miał do powiedzenia o tej biednej, a cnotliwej kobiecie, dzisiaj zmarłej. Wystarczy, że wspomnieliśmy o jednej z nielicznych naszych przysług więziennych.

LXXX

Wciąż wzmagane srogości czyniły życie nasze coraz bardziej jednostajnem. Na czem dla nas zeszły cały rok 1824, 25, 26, 27? Cofnięto nam pozwolenie używania książek naszych, które tymczasowo udzielone zostało przez gubernatora; więzienie stało nam się prawdziwym grobem, w którym nie pozostawiono nam nawet spokoju grobowego. Co miesiąc zjawiał się w nieoznaczonym z góry dniu, dla odbycia szczególnej rewizyi, dyrektor policyi, w towarzystwie porucznika i strażników. Rozbierano nas do naga, oglądano wszystkie szwy odzieży, z obawy, by się tam nie krył jaki papier lub co innego, rozpruwano sienniki, by w nich szperać. Choć niczego skrytego tam znaleźć nie mogli, te nieprzyjemne i niespodziewane odwiedziny, powtarzane bez końca, miały coś, nie wiem sam co, co mnie rozjářzało i co mi za każdym razem sprawiało gorączkę.

Lata poprzednie wydawały mi się tak nieszczęśliwe, a teraz wspominałem je z żalem, jak czas drogich słodczy? Gdzież się podziały te godziny, w których zatapiałem się w Biblii lub w Homerze? Ciągłe czytanie Homera w oryginale wzmogło słabą znajomość greckiego, jaką posiadałem, i rozpałiło we mnie zamięłowanie do tego języka. Jakże mi przykro było nie módz się dalej w tym kierunku kształcić. Dante, Petrarka, Szekspir, Byron, Walter Scott, Schiller, Goethe i t. d., iluż to przyjaciół mnie pozbawiono. Wśród nich liczyłem kilka dzieł nauki chrześcijańskiej, jak Bourdaloue, Pascal. Naśladowanie Chrystusa, Filotea i t. d.; dzieła te, jeżeli się je czyta, krytykując je w sposób ciasny i zacofany, radując się z każdego błędu nie dosyć uzasadnionego, rzuca się je, by do nich nie wrócić; ale dzieła te, jeżeli się je czyta bez uprzedzenia i

nie gorsząc się słabemi ich stronami, odślaniają filozofię wzniosłą, jedrny dostarczając pokarm dla serca i umysłu.

Później przysłano nam w darze od Cesarza kilka dzieł treści religijnej, ale z zupełnem pominięciem dzieł innego rodzaju, służących do nauk literackich.

Ten dar dzieł ascetycznych wyrobił w 1825 spowiednik dalmatczyk, przysłany z Wiednia, O. Stefan Pawłowicz, dwa lata później mianowany biskupem w Cattaro. Jemu zawdzięczamy, żeśmy ostatecznie otrzymali mszę, której nam zawsze odmawiano, tłumacząc nam, że nie mogą, nas prowadzić do kościoła i trzymać nas osobno po dwóch, wedle przepisu.

Wobec niemożliwości zastosowania się do tego przepisu, szliśmy na mszę w trzech grupach; jednych umieszczano na chórze przy organach, drugich pod chórem; trzecią zaś grupę w kapliczce krata oddzielonej od kościoła.

Maroncelli i ja mieliśmy wtedy towarzysza, ale z zakazem, by jedna para z drugą mówiła, sześciu skazańców o wyrokach dawniejszych od naszego. Dwaj z nich byli moimi sąsiadami pod łożami w Wenecyi. Przyprowadzali nas strażnicy na oznaczone miejsce i odprowadzali po mszy każdą parę do swego więzienia. Mszę odprawiał kapucyn. Ten poczciwy człowiek kończył zawsze nabożeństwo modlitwą o uwolnienie nasze i głos mu wtedy drżał. Jak wracał od ołtarza, litościwym okiem rzucał na każdą z trzech grup i głowę ze smutkiem pochylał, modląc się.

LXXXI

W 1825 uznano, że Schiller jest nadto osłabiony dolegliwościami starości i dano mu straż nad innymi skazańcami, nad którymi zdawało się niepotrzeba tak pilnej czujności. O jakież

przykrości doznaliśmy z jego oddalenia się od nas, a on z opuszczenia nas!

Jego zastępcą był naprzód Kral, człowiek nie mniej dobry. Ale i temu wnet wyznaczono inne obowiązki, a w jego miejsce przyszedł człowiek nie zły, ale gbur i nie zdolny okazać jaką bądź życzliwość.

Te zmiany martwiły mnie bardzo. Schiller, Kral i Kubicki, ale szczególnie dwaj pierwsi obsługiwali nas w czasie choroby, jak uczynić to mogli brat i ojciec. Niezdolni uchybiać obowiązkowi, umieli go wykonywać bez srogości. Jeżeli było trochę srogości pozornej, było to prawie zawsze mimowolnem, i s owicie to wynagradzało ich serdeczne obejście się z nami. Zgniewałem się czasem na nich, ale jakże oni serdecznie mi przebacza! Jak im pilno było przekonać nas, że nie są bez przywiązania do nas i jak się cieszyli widząc, że jesteśmy przekonani o tem i że ich uważamy za ludzi zacnych!

Odkąd Schiller był oddalony od nas, kilka razy zasłabł i znowu do zdrowia powrócił. Wypytywaliśmy się o wiadomości o nim z synowskiem niepokojem. Kiedy powracał do zdrowia, przechodził czasami pod naszymi oknami. Myśmy pokaszliwali na powitanie go; on zaś zwykł był spoglądać w górę ze smutnym uśmiechem i mówił warcie tak, abyśmy go słyszeć mogli: « tam są moi synowie! »

Biedny starcze! Jakże mi przykro było widzieć cię, jak się wleciesz z chorym boki i nie móżd cię podeprzeć mojem ramieniem!

Czasami siadał na trawniku i czytał książki, które mnie poprzednio pożyczał, a na to, bym je poznał, mówił tytuły warcie, albo przytaczał jakiś ustęp. Zwykle te książki zawierały powieści z kalendarza i inne małej wartości literackiej, ale moralne.

Po kilku napadach apopleksyi, kazał się odnieść do szpitala

wojskowego. Już z nim² było bardzo źle i tam wnet zmarł. Posiadał kilkaset florenów, owoc długoletnich oszczędności. Te rozdał lub rozpozyczył towarzyszom. Gdy dostrzegł, że się koniec zbliża, przywołał do siebie tych przyjaciół i rzekł do nich: « Nie mam już krewnych; niechaj każdy z was zachowa, co ma w ręku. Proszę was tylko, żebyście się za mnie modlili. »

Jeden z tych przyjaciół miał córkę ośmnastoletnią chrześniaczkę Schillera. Kilka godzin przed śmiercią poczciwy starzec kazał ją zawołać? Nie mógł już mówić wyraźnie, ściągnął z palca srebrną obrączkę, ostatnie swoje bogactwo i włożył jej na palec. Potem ją pocałował i całując zapłakał. Dziewczę łkało, a łzy jej na niego padały. On je chustką ocierał, ręce jej położył sobie na oczach i te zamknęły się na wieki.

LXXXII

Ludzkie pociechy znikają jedna po drugiej, zmartwienia ciągle się wzmagają. Poddawałem się woli Bożej, ale się poddawałem jęcząc; i dusza moja, zamiast się wobec złego hartować, zdawała się je odczuwać coraz boleśniej. Raz przyniesiono mi skrycie arkusz gazety Augsburskiej, w której podano dziwaczną wiadomość o mnie, ogłaszając obłóczyny jednej z mych sióstr.

Stało: « La Signora Maria Angiola Pellico, córka i t. d. Odbyły się dzisiaj obłóczyny w klasztorze Wizytek w Turynie. Brat jej, Silvio Pellico, autor tragedyi « Francisca da Rimini » opuścił ostatniemi czasy twierdząc Spielberg, ułaskawiony przez Cesarza; miłosierny to czyn, godzien tak wielkodusznego Monarchy, który rozradował całe Włochy, i t. d. » Następował mój pochwalny życiorys.

Nie mogłem sobie wystawić skąd i w jakim celu powstała baśń o mojem ułaskawieniu. Nie zdawało się prawdopodobnem, żeby to była tylko czcza igraszka dziennikarza. Była to może

jakaś sztuczka policyi niemieckiej? Któż to wie? Ale imiona Maria Angiola były właśnie imionami mojej młodszej siostry. Przeszły niewątpliwie z Gazety Turyńskiej do innych gazet. A zatem ta najzacniejsza dziewczeczka w istocie została zakonnicą? A może ona weszła do klasztoru, bo straciła rodziców? Biedne dziecko! nie chciała bym ja jeden cierpieć znoje więzienne; chciała i siebie uwięzić! Oby Pan Bóg jej dał więcej niż mnie cnoty, cierpliwości i zaparcia się siebie. — Ileż razy w swojej celi ten anioł pomyśli o mnie, ileż razy zadawać sobie będzie ciężkie pokuty, by otrzymać od Boga ulgę w cierpieniach dla brata!

Te myśli mnie rozrzewniały i szarpały mi serce. A może moja niedola wpłynęła na skrócenie życia ojcu lub matce, a nawet obojgu. Im więcej o tem myślałam, tem bardziej wydało mi się niepodobieństwem, żeby bez takiej przyczyny moja Marietta opuściła dom rodzicielski. Ta myśl mnie gnębiła, jak gdyby była pewnością i wpadłem z tego powodu w dręczący niepokój.

Maroncelli był nie mniej ode mnie wzruszony. W kilka dni potem zabrał się do ułożenia żalosnych wierszy o siostrze więźnia. Powstał z tego przepiękny poemat tchnący smutkiem i żalem. Gdy go skończył, wypowiedział mi go. Jakże mu wdzięczny byłem za jego serdeczność! Między tylu milionami wierszy które po ów dzień napisano na cześć zakonnic, prawdopodobnie te są jedyne utworzone w więzieniu dla brata zakonnicy przez towarzysza niedoli. Co za zbieg myśli poetycznych i religijnych!

I tak przyjaźń osładzała moje boleści. O! od tego czasu nie minął dzień, żebym się nie błagał długo myślą po dziewiczym klasztorze; bym wśród tych dziewic nie zastanawiał się z najczulszą miłością nad jedną z nich; żebym nie błagał gorąco Nieba o osłodzenie jej samotności i niedopuszczenie, by jej wyobraźnia przedstawiała nadto strasznie mego więzienia.

LXXXIII

Z otrzymania ukradkiem tego dziennika nie trzeba sobie wyobrażać, że umiałem sobie zdobywać wiadomości ze świata. Nie. wszyscy wkoło mnie byli dobrzy, ale skrepowani strachem. Jeżeli mnie jaka mało znacząca wiadomość doszła ukradkiem, to wtedy chyba kiedy się zdawało, że niema żadnego niebezpieczeństwa. A trudno było uważać, że go niema przy tylu śledztwach zwyczajnych i nadzwyczajnych.

Nie zdarzyło mi się nigdy otrzymać potajemnie wiadomości od drogich, a tak odemnie oddalonych z wyjątkiem wyżej podanej wiadomości o mojej siostrze.

Obawa, jaką miałem, że moi rodzice już nie żyją, krótko potem raczej się wzmogła, niż uśmierzyła, a to z powodu sposobu w jaki Dyrektor policyi przyszedł mi raz donieść, że w domu moim wszyscy zdrowi: « Cesarz rozkazał, rzekł mi, bym udzielił panu dobrych wiadomości o rodzinie jego w Turynie ». — Wzruszyłem się z radości i z niespodzianki, jaka mi się nigdy nie była dotąd nadarzyła; prosiłem o więcej szczegółów: « Zostawiłem w Turynie rodziców, braci, siostry. Czy wszyscy są przy życiu? Jeżeli pan masz list od którego z nich, błagam o pokazanie mi go. » — « Nie mogę nic pokazać. Musi pan na tem poprzestać. Jestto dowód dobroćliwości Cesarskiej, że mu kazał powiedzieć te pocieszające słowa. Tego nie uczyniono jeszcze dla nikogo. » — « Uznaję, że to jest dowód dobroćliwości Cesarza; ale on zrozumie, że mi niepodobna doznać pociechy z tak ogólnikowych słów. Którzy to są ci krewni przy dobrem zdrowiu? Czy żadnego nie straciłem? » — « Przykro mi, że nie mogę nic więcej powiedzieć, jak to, co mi nakazano. »

I tak sobie poszedł.

Zamiarem było z pewnością przyniesienie mi ulgi tą wiadomością. Ale to mnie przekonywało, że Cesarz jednocześnie chciał zadość uczynić prośbom któregoś z moich krewnych i zgodzić się na udzielenie mi tej wiadomości, a nie chciał, żeby mi pokazano listu, z którego bym wyczytał, że kogoś z moich drogich stracił.

W kilka miesięcy potem przyniesiono mi znowu podobną wiadomość; żadnego listu, żadnego objaśnienia nie było.

Widząc, że to mnie nie zaspakaja, lecz jeszcze bardziej przygnębia, już mi nic więcej nie powiedziano o rodzinie.

Myśl, że rodzice może umarli, że może bracia pomarli i Giuseppe, ukochana siostra moja; że może jedna tylko Marietta ich przeżyła i wnet także zgaśnie w utrapieniach samotności i srogości pokuty, odrywały mnie coraz bardziej od życia.

Czasami silnie napadały zwykłe dolegliwości, albo i nowe, jak np. kurcze straszne, podobne do cholery; miałem nadzieję, że umrę.

Tak, istotnie wyrażenie to dokładne, miałem nadzieję, że umrę. A niemniej, o sprzeczności serca ludzkiego! rzuciwszy okiem na tak zbiedzonego towarzysza mego, ścisnęło mi się serce na myśl opuszczenia go i znowu zapragnąłem żyć.

LXXXIV

Trzy razy przybyły z Wiednia wysokie osobistości celem zwiedzenia naszych więzień i przekonania się, czy karność się nie rozluźniła. Pierwszym był baron von Munch. Ten, litując się, że tak mało mamy światła, powiedział, że będzie prosił o pozwolenie przedłużenia nam dnia przez postawienie przez kilka godzin wieczornych latarni po stronie zewnętrznej okienka we drzwiach. Jego odwiedziny odbyły się w 1825. W rok potem wprowadzono w czyn jego miłosierne życzenie. I

tak przy tem pogrzebowem świetle mogliśmy odtąd ściany widzieć i nie rozbijać sobie głowy, chodząc po celi.

Drugie odwiedziny złożył nam baron von Vogel. Ten mnie zastał w najgorszym stanie zdrowia, a usłyszawszy, że chociaż lekarz uznał, żeby mi się kawa przydała, nie śmiał jej przepisać, jako zbytek, wyrzekł względne słowo zezwolenia i przepisano mi kawę.

Trzeci gość był już nie wiem jaki pan z dworu, człowiek mogący mieć między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat, który nam zachowaniem się i słowami okazał najszlachetniejsze współczucie. Nie mógł nic dla nas zrobić, ale serdeczny wyraz jego dobroci był dla nas dobrodziejstwem, za które byliśmy mu wdzięczni.

O, jakże więzień pragnie widzieć istoty ludzkie! Religia chrześcijańska tak pełna litości, nie zapomniała policzyć do uczynków miłosiernych odwiedzanie więźniów. Widok ludzi, których martwi twoje nieszczęście, nawet gdy niczego skutecznego uczynić nie mogą, by ci ulżyć, pewnem jest ukojeniem.

Zupełna samotność może się stać korzystną dla poprawy niektórych, ale sądzę, że wogóle korzystniejszą jest pewna styczność ze światem. Ja przynajmniej taki jestem. Jeżeli ludzi nie widuję, skupiam miłość moją na zbyt małej ich liczbie i przestaję resztę kochać; gdy widzieć mogę, nie koniecznie wielu, ale pewną przyzwoitą ilość, odczuwam serdeczną miłość dla całego rodzaju ludzkiego.

Tysiąc razy uczułem w sercu tak wyłączną miłość dla kilku nielicznych, a taką pełnię nienawiści dla tamtych, że mnie to przeraziło. Szedłem wówczas do okna, w nadziei, że zobaczę nową twarz i czułem się szczęśliwy, jeżeli żołnierz na warcie nie przechodził zbyt blisko muru, jeżeli się oddalał tak bym go mógł widzieć, jeżeli głowę podnosił, słysząc, że kaszlę, jeżeli pocziwy miał wyraz twarzy. Gdy mi się wydawało, że u niego

rozeznaję uczucie litości, ogarniało mnie miłe wzruszenie, jakby ten nieznany mi żołnierz był mi serdecznym przyjacielem. Jak się oddalał, oczekiwałem jego powrotu z serdecznym niepokojem, a jeżeli powracał patrząc ku mnie, ja się z tego cieszyłem jak z wielkiego miłosierdzia. Jeżeli już nie przechodził tak, bym go widzieć mógł, byłem zmartwiony, jak człowiek który kocha i przekonywuje się, że o niego nie dbają.

LXXXV

W przyległym więzieniu zajętem poprzednio przez Oroboniego, znajdowali się teraz D. Marco Fortini i pan Antonio Villa. Ten ostatni, dawniej tegi, jak Herkules, dużo przecierpiał od głodu w pierwszym roku, a gdy mu powiększono ilość pożywienia, nie miał już siły do strawienia jej. Zwolna dogorywał, a potem, doprowadzony prawie do ostateczności, otrzymał, że go przeniesiono do więzienia z lepszym powietrzem. Wyziewy ciasnego grobu były niewątpliwie bardzo szkodliwe dla niego, jak i dla wszystkich. Ale środek zaradczy o jaki się upominał, nie był dostatecznym. W tej wielkiej izbie, do której go przeniesiono, włókł życie jeszcze przez kilka miesięcy i dopiero po kilku krwotokach umarł. Pielęgowali go towarzysze więzienia Fortini i X. Pawłowicz, wyprawiony pośpiesznie z Wiednia, skoro się tam dowiedziano, że Villa jest umierający.

Choć nie byłem zaprzyjaźniony z nim tak ściśle, jak z Orobonim, śmierć jego bardzo mnie zmartwiła. Wiedziałem, że był serdecznie kochany przez rodziców i przez żonę. On sam był raczej godzien zazdrości niż pożalowania, ale dla tych, co go przeżyli!...

On był także moim sąsiadem « Pod ołowiami » w Wenecyi. Tremereello przyniósł mi kilka razy wiersze jego i nosił mu moje. Czasami przebijało w wierszach jego głębokie uczucie.

Po śmierci jego zdawało mi się, że jestem jeszcze bardziej do niego przywiązany, niż za życia, słysząc od dozorców, jak cierpiał. Biedny nie mógł poddać się śmierci, mimo, że był bardzo pobożny. Dowiódł w najwyższym stopniu jak straszny to krok, błogosławił jednak ciągle Panu i wołał do niego ze łzami: « Nie mogę pogodzić woli mojej z Twoją, a jednak chcę pogodzić. Spraw ten cud we mnie! »

On nie posiadał męstwa Oroboniego, ale go naśladował, zaręczając, że przebacza swym wrogom.

Ale z końcem tego roku (był to 1826) pewnego wieczora słyszeliśmy szmer jakiś na korytarzu; był to odgłos źle przytłumionych kroków. Nasz słuch bardzo był wyćwiczony w rozeznawaniu tysiącznych rodzajów szmerów.

Drzwi jedne otworzono; poznaliśmy, że to drzwi od więzienia adwokata Solero; otwierają się drugie drzwi Fortiniego. Pomiędzy różnemi głosami poznajemy wyraźnie głos naczelnika policyi. Co to znaczy? Rewizya, o tak późnej godzinie i dla czego?

Ale po krótkiej chwili powracają na korytarz. A tu słyszę drogi głos pocziwego Fortini: « O biedny ja! przebaczcie mi, zapomniałem w izbie jeden tom mego brewiarza. » Poszedł po ten tom i wrócił się do swej eskorty. Drzwi na schody się otworzyły; słyszymy ich kroki po schodach aż na sam dół; zrozumieliśmy, że dwaj szczęśliwi otrzymali ulaskawienie. A chociaż markotno nam było, że nie możemy im towarzyszyć, nie mniej byliśmy uradowani.

LXXXVI

Czyż uwolnienie tych dwóch towarzyszy pozostanie bez wpływu na nasze położenie? Jakim sposobem oni uwolnieni, skoro zarówno z nami zostali skazani, jeden na 20 lat, a jeden

na 15; czyż i dla nas, jak i dla wielu innych nie zabłyśnie ta łaska?

Czyż na nas i na wielu innych nieułaskawionych ciąży gorsze oskarżenia? Czyż by to znaczyło, że są skłonni wszystkich nas ułaskawić, ale w pewnych odstępach czasu? po dwóch? może co miesiąc? może co dwa lub trzy miesiące?

Takie mieliśmy przez pewien czas wątpliwości. I więcej niż trzy miesiące minęło, a nikogo więcej nie uwolniono. Pod koniec 1827 myśleliśmy, że grudzień i jego rocznica przyniosą nam ułaskawienie. Ale minął grudzień, a nic nowego nie zaszło.

Przetrwaliśmy w oczekiwaniach aż do lata 1828; kończyły się wówczas moje siedm i pół lat kary, równającej się według słów cesarza, piętnastu latom, o ileby chcieli liczyć karę od chwili aresztowania nas. Jeżeli nie chcą zaliczyć czasu procesu, i to, przypuszczam, najprawdopodobniejsze, ale liczyć będą od chwili wyroku, te siedm i pół lat nie skończyłyby się aż w roku 1829.

Wszystkie możebne terminy minęły, a ułaskawienie nie przyszło.

Jeszcze nim uwolnieni zostali Solera i Fortini, Maroncellemu nabrzękło lewe kolano. Z początku ból był dość lekki, jednak utykał. Później kajdany tak mu dokuczały, że rzadko wychodził na przechadzkę. Jednego poranka jesiennego chciało mu się wyjść, by trochę świeżem powietrzem odetchnąć; śnieg już ziemię pokrywał i w nieszczęsnej chwili, gdy go nie podpie-
rał, potknął się i upadł. To wstrząśnienie sprawiło natychmiast gwałtowny ból w kolanie. Zanieśliśmy go na łóżko; nie był już w stanie chodzić o własnych siłach. Gdy go lekarz zobaczył, ostatecznie postanowił mu zdjąć kajdany. Obrzękłość kolana pogarszała się z dniem każdym, ogromnie się powiększyła i co dzień stawała się boleśniejszą. Męki biedaka tak były srogie, że nie miał chwili spoczynku, ani w łóżku, ani po za nim.

Kiedy chciał się poruszyć lub podnieść się, musiałem z największą ostrożnością brać jego chorą nogę, by ją przesunąć, gdzie wypadało. Czasami najmniejsza zmiana wymagała kwadransu czasu, powodując omdlenie.

Pijawki, wizykatorye, wypalanie piekielnym kamieniem, okłady suche, wilgotne, wszystkiego lekarz próbował, ale to wszystko tylko powiększało ból. Po przyłożeniu kamienia piekielnego rozpoczęło się ropienie, całe obrzęknięcie stało się jedną raną, ale wydzielanie się ropy nie sprawiało ulgi w cierpieniu.

Maroncelli był tysiąc razy nieszczęśliwszym odemnie; niemniej, jakże ja z nim cierpieiałem!

Miło mi było pielęgnować tak czcigodnego przyjaciela. Ale patrzeć jak niknął wśród długich strasznych cierpień i nie móc mu zdrowia powrócić! przeczuwać że to kolano nigdy się nie wyleczy! Widzieć że chory spodziewa się raczej śmierci niż powrotu do zdrowia! Stale podziwiać jego męstwo i swobodę ducha! O jakże mnie to niewypowiedziane dręczyło.

LXXXVII

W tym opłakanym stanie on jeszcze wiersze pisał, śpiewał i rozmawiał; a to wszystko robił, żeby mnie łudzić, żeby przedemną ukrywać w części swoje cierpienie. Nie mógł już ani trawić, ani spać; chudł strasznie, częste miewał omdlenia, a jednak chwilami odzyskiwał swoją żywotność i mnie otuchy dodawał.

To co przecierpiał przez dziewięć długich miesięcy, nie da się opisać. Ostatecznie pozwolono na konsylium. Przybył protomedyk, pochwalił wszystko to, czego zwykły lekarz próbował i, nie wypowiadając własnego zdania o chorobie, ani o tem co jeszcze uczynić należy, odszedł.

W chwilę potem przyszedł dozorca i powiedział Maroncellemu : « Protomedyk nie śmiał tłumaczyć się w pana obecności; bał się, że pan nie masz siły wysłuchania srogiej konieczności. Ja mu zaręczyłem, że panu nie brak odwagi. — Mam nadzieję, rzekł Maroncelli, że tego dowiodłem, znosząc te męki bez narzekania. » Czy by mi chciano doradzić?... — Tak jest, panie, odcięcie nogi, gdyby nie to, że protomedyk, widząc pana tak wycieńczonego, waha się. Przy takim osłabieniu czy pan zniesie operację? Czy pan zechcesz się narazić na niebezpieczeństwo?... — Niebezpieczeństwo śmierci? Alboż ja i bez tego nie umrę w niedalekim czasie, jeżeli się nie położę końca tej chorobie? — A więc zrobimy sprawozdanie do Wiednia; skoro przyjdzie pozwolenie, odbędzie się amputacja. — Co? czy to wymaga pozwolenia? — Wymaga, panie »

W tydzień przyszło pozwolenie. Chorego przeniesiono do większej izby; poprosił bym się z nim przenieść : « Mógłbym skonać przy operacji, rzekł, niech będę przynajmniej w objęciach przyjaciela. » Zgodzono się na to. X. Wrba, nasz spowiednik, następca X. Pawłowicza przyszedł udzielić Sakramentów nieszczęśliwemu. Poczem czekaliśmy na chirurgów. a oni się nie zjawiali. Maroncelli zaśpiewał znowu jakiś hymn. Nareszcie przybyli chirurdzy; było ich dwóch. Jeden nasz zwykły domowy, t. j. nasz golibroda, a on, kiedy zdarzała się potrzeba jakiejś operacji miał prawo czynić je własnoręcznie i nie chciał tego zaszczytu ustąpić, komu innemu. Drugi był młody chirurg, uczeń Akademii Wiedeńskiej, cieszący się sławą wielkiej zręczności. Tego gubernator sprowadził; był on przytomny operacji i kierował nią, byłby chciał sam ją wykonać, ale musiał poprzestać na kierowaniu.

Chorego posadzono na brzegu łóżka z nogami spuszczo-nemi. Ja go objąłem ramionami. Po nad kolanem tam gdzie

ciało było zdrowe obwiązano do koła sznurek na oznaczenie koła którem trzeba było nóż prowadzić. Stary chirurg ciął do koła, na głębokość palca, potem odwrócił to ciało do góry i zaczął ciąć muszkuły, które były odkryte. Krew buchała potokiem z tętnic, ale prędko ją powiązano jedwabną nitką. Nareszcie przepiłował kość.

Maroncelli ani razu nie krzyknął. Gdy spostrzegł, że wynoszą odciętą nogę, rzucił na nią okiem litośnem, potem zwróciwszy się do chirurga, który go operował i powiedział mu : « Pan mnie uwolniłeś od nieprzyjaciela, a nie mam sposobności wywdzięczenia się. »

Na oknie była róża w szklance : « Proszę cię, powiedział, przynieś mi tę różę. » Przyniosłem ją; a on ją ofiarował staremu chirurgowi, mówiąc mu : « Niczem innem nie mogę mu dowieść mojej wdzięczności. »

Ten wziął różę i zapłakał.

LXXXVIII

Chirurdzy myśleli, że lazaret w Spielbergu jest zaopatrzony we wszystko z wyjątkiem instrumentów, które mieli przywieść. Ale po ucięciu nogi spostrzegli, że rozmaite potrzebne przybory brakują : cerata, lód, bandaże i t. d.

Biedny ranny musiał czekać dwie godziny, żeby to wszystko przyniesiono z miasta. Nareszcie mógł wyciągnąć się w łóżku; położono mu lód na ranę.

Następnego dnia oczyszczono ranę ze skrzepłej krwi, obmyto ją, ściągnięto skórę i obandażowano.

Przez kilka dni dawano choremu tylko po pół filiżanki rosolu zgęszczonego żółtkiem. A gdy minęło niebezpieczeństwo gorączki, zaczęto stopniowo lepiej go odżywiać. Cesarz rozkazał, by dopóki nie powróci do sił, żywiono go z kuchni nadzorcy.

Rana zagoiła się w czterdzieści dni, po których odprowadzono nas do dawnego więzienia; powiększono je wybić otworu w ścianie, łączącej naszą dawną norę, z celą, którą zamieszkiwał Oroboni, a potem Villa.

Przeniosłem mój tapczan na miejsce, na którym stało łóżko Oroboniego i na którym on umarł. Tożsamość miejsca była mi drogą; zdawało mi się, że do niego zbliżony. Często mi się o nim śniło i zdawało mi się, że duch jego w istocie mnie nawiedza i że mnie umacnia niebiańską pociechą.

Widok straszny okropnych cierpień Maroncellego przed odcięciem nogi, podczas tej operacji i po niej, umocnił mi ducha. Pan Bóg, który mi udzielił dostatecznego zdrowia w czasie jego choroby, dlatego że moje usługi były mu potrzebne, odebrał mi je, skoro on mógł posługiwać się krokwiemi.

Utworzyło mi się kilka wrzodów niezmiernie bolesnych. Wyleczyłem się z nich; napadły mnie bóle w piersiach, które mi już dawniej dokuczały, ale obecnie z większymi dusznościami niż kiedykolwiek, zawroty głowy, dysenterya z kurczami.

Przyszła na mnie kolej, mówiłem sobie; czyż będę mniej cierpliwym, niż mój towarzysz? Starałem się odtąd, o ile umiałem, naśladować jego cnoty.

Niema wątpliwości, że do każdego ludzkiego stanowiska przywiązane są odpowiednie obowiązki. Obowiązkiem chorego cierpliwość, męstwo i wytrzymałość wszystkich sił, by się nie stać przykrym dla otaczających.

Maroncelli na swoich nędznych krokwiach już nie miał tej zrzeczności co poprzednio, martwił się tem, w obawie, że mi nie tak dobrze usłuży. A do tego bał się, bym, chcąc mu oszczędzić niepotrzebnych ruchów, obchodził się bez jego usług.

To się w istocie zdarzało czasami; ale robiłem, co mogłem, żeby tego nie spostrzegł. Chociaż on zdobył znowu trochę sił, nie brakowało mu jednak dolegliwości. Odczuwał, jak wszyscy

po stracie członka, bóle nerwowe, tak jak gdyby posiadał jeszcze części odcięte. Bolały go noga, goleń, kolano, których już nie miał. A dodać trzeba do tego, że kość była źle przepiłowana, kaleczyła odtwarzające się nowe ciało i sprawiała rany. Dopiero po roku mniej więcej noga stwardniała i przestała się ranić.

LXXXIX

Ale nowe dolegliwości napadły nieszczęśliwego prawie bez przerwy. Napróżd artretyzm stawowy rozpoczął się od stawów u rąk, a potem męczył go we wszystkich stawach przez kilka miesięcy. Nastąpił szkorbut; w krótkim czasie pokrył całe ciało sinemi plamami, wzbudzając przerażenie.

Starałem się pocieszyć myślą, że skoro mamy tu umrzeć, lepiej że jeden z nas dwóch dostał szkorbutu; jest to choroba zaraźliwa, doprowadzi nas do grobu, jeżeli nie razem, to przynajmniej w niedługim odstępie czasu.

Przygotowywaliśmy się razem na śmierć i byliśmy spokojni. Dziewięć lat więzienia i poważnych cierpień oswoiło nas z myślą ostatecznego rozkładu dwóch ciał tak wyniszczonych i potrzebujących wypoczynku. A dusze ufały miłosierdziu Bożemu i wierzyły, że się obie połączą tam, gdzie wszystkie ludzkie nienawiści ustają, gdzie prosimy, by się do nas przyłączyli, także kiedyś już przebaczywszy, ci co nas nie miłowali.

Szkorbut w zeszłych latach wielkie sprawił spustoszenia w tych więzieniach. Rząd, gdy się dowiedział, że Maroncelli jest dotknięty tą straszną chorobą, przeląkł się nowej epidemii szkorbutu i zgodził się na zdanie lekarza, który utrzymywał, że niema skutecznego lekarstwa dla Maroncellego, jak tylko świeże powietrze i radził, żeby go jaknajmniej trzymać w celi. Ja, jako jego towarzysz i także słaby, też z tego korzystałem.

W czasie, kiedy nasz deptak nie był zajęty przez innych, to jest od pół godziny przed świtem i przez parę godzin następnych, potem podczas obiadu i, jeżeliśmy chcieli, przez trzy godziny pod wieczór, aż do zachodu słońca, zostawaliśmy na dworze. Tak było w dniu powszednie. W dniu świąteczne nie było zwykłej przechadzki dla tamtych, siedzieliśmy na dworze od rana do wieczora, z wyjątkiem chwil obiadu.

Innego nieboraka ze zniszczonem zdrowiem, mającego około siedmdziesięciu lat, przyłączono do nas, przypuszczając, że i jemu trochę tlenu się przyda. Był to pan Konstanty Munari, uprzejmy starzec, miłośnik nauki, literatury i filozofii, a którego towarzystwo było nam bardzo przyjemne.

Licząc czas kary nie od chwili więzienia, ale od chwili wyroku, półósma roku kończyło się w 1829 z początkiem lipca, jeżeli się liczy od podpisania wyroku przez Cesarza, albo 22 Sierpnia, jeżeli od dnia ogłoszenia.

Ale i ten termin minął i zamarła nadzieja.

Aż do tej chwili, Maroncelli, Munari i ja przypuszczaliśmy czasami, że jeszcze obaczymy świat, nasze Włochy i nasze rodziny i to było przedmiotem rozmów pełnych pragnień, bólu i miłości.

Gdy minął sierpień, potem wrzesień i cały ten rok, przywykliśmy już nie spodziewać się niczego na ziemi, prócz niezmiernej wierności naszej wzajemnej przyjaźni i pomocy Boskiej do dokończenia, jak należy, reszty naszej długoletniej ofiary. O jakże nieoszacowanemi dobrodziejstwami są przyjaźń i wiara. Upiększają one i więzienne godziny tym nawet, którym nie świta już prawdopodobieństwo ułaskawienia! Bóg istotnie jest bliski nieszczęśliwych, którzy go miłują.

XC

Po śmierci Villi, w miejsce X. Pawłowicza, który został biskupem, naznaczono nam na spowiednika X. Wrbę, morawianina, profesora nowego Testamentu w Bernie, znakomitego ucznia Instytutu Wiedeńskiego.

Ta Instytucja jest Zgromadzeniem założonem przez sławnego X. Frint, wówczas proboszcza dworów. Wszyscy członkowie zgromadzenia są kapłanami, niektórzy już skończonymi teologami, którzy dalej kształcą się przy ścisłej karność dla zdobycia najwyższej możliwie nauki. Zamiar założyciela był doskonały: stałe rozpowszechnianie prawdziwej i poważnej nauki wśród duchowieństwa w Niemczech. Zamiar ten w znacznej mierze osiągnięto.

X. Wrba, mieszkając w Bernie, mógł nam poświęcić wiele więcej czasu niż X. Pawłowicz i stał się dla nas tem, czem był Ojciec Battista, z tym wyjątkiem, że nie dozwolano mu pożyczać nam żadnej książki. Odbywaliśmy z nim często długie rozprawy i moja pobożność wielką z nich odnosiła korzyść, a przynajmniej zdawało mi się, że ją odnoszę i ztąd ogromna pociecha.

W 1829 X. Wrba zachorował; potem zmuszony do objęcia innych obowiązków, nie mógł już u nas bywać, co wielką przykrość nam sprawiało; ale szczęśliwym losem zastąpił go inny uczony i doskonały człowiek, X. Ziak, zastępca proboszcza.

Wśród xięży niemieckich, których nam przeznaczono, nie widziałem ani jednego złego, ani jednego, w którym byśmy odkryli, że chce służyć za narzędzie polityki, a to tak łatwo wykryć, ani jednego też, któryby nie łączył zalet poważnej nauki ze szczerą wiarą katolicką i głęboką filozofią. O jakże szanowni są tacy słudzy kościoła!

Ci, których poznałem, dali mi korzystne pojęcie o duchowieństwie katolickiem w Niemczech.

Ziak także miewał długie rozmowy z nami. On mi był wzorem w znoszeniu pogodnem cierpień. Nieustające bóle zębów, gardła, uszu męczyły go, a niemniej zawsze był uśmiechnięty.

Tymczasem świeże powietrze sprawiło, że po trochu plamy szkorbutu Maroncellego znikły, a Munari i ja mieliśmy się lepiej.

XCI

Nadszedł 1 sierpień 1830; kończyło się dziesięć lat od chwili utraty wolności, a ośm i pół roku ciężkiego więzienia.

Była to niedziela. Szliśmy, jak zwykle w święto, na podwórze. Patrzaaliśmy się z muru opasującego twierdzę, na dolinę rozciągającą się u jej stóp i na cmentarz, na którym spoczywali Oroboni i Villa; mówiliśmy znowu o wypoczynku, jakie nasze kości tu znajdują. Siedzieliśmy znowu na zwykłej ławie, by czekać aż biedni skazańcy przyjdą na mszę, która się odprawiała przed naszą. Tych prowadzono do tej samej kapliczki, do której my idziemy na następną mszę. Kapliczka była tuż przy przejściu.

W całych Niemczech lud śpiewa w języku miejscowym. A że w Cesarstwie Austrijackiem miesza się Niemcy i Słowianie, i w więzieniach w Spielbergu są kryminaliści obu narodowości, w jedno święto śpiewają po niemiecku, a w drugie po słowiańsku. Toż samo kazania bywają w tych dwóch językach na przemian; z rozkoszą słuchaliśmy tych śpiewów i organ, które im towarzyszyły.

Były tam kobiety, których głos trafiał do serca. Biedaczki! niektóre były młodziutkie. Jakaś miłość, jakaś zazdrość, jakiś przykład popchnęły je do złego. Dzwoni mi jeszcze w uszach ich prześliczny śpiew na Sanctus. Jeszcze jedną łzę uroniłem, słuchając go.

O dziesiątej godzinie kobiety odeszły, a myśmy poszli na mszę. Widzę jeszcze kilku z moich towarzyszy niedoli, którzy mszy słuchali na chórze przy organach, jedną tylko kratą od nas oddzielonych. Wszyscy bladzi, wycieńczeni z trudnością wlekli swoje kajdany.

Po mszy wróciliśmy do naszych nor. W kwadrans potem przyniesiono nam obiad. Nakryliśmy sobie do stołu, co polegało na postawieniu małej desczułki na ławie i naszych łyżek drewnianych, kiedy pan Wegrath, zastępca nadzorcy, wszedł do więzienia.

« Przykro mi przeszkadzać panom przy obiedzie, ale bądźcie łaskawi iść za mną; jest tam pan naczelnik policyi. »

A że ten przychodził zawsze w przykrych sprawach, jak rewizya lub śledztwo, poszliśmy w dość złem humorze za pocziwym dozorcą do sali rozpraw.

Tam zastaliśmy naczelnika policyi i nadzorcę; pierwszy skłonił głowę z większą uprzejmością niż zazwyczaj.

Wziął papier do ręki i powiedział przerywanym głosem, może z obawy sprawienia zbyt silnego wrażenia, gdyby się jasno wyraził:

« Panowie! Mam przyjemność, mam zaszczyt oznajmienia im... że Cesarz wyświadczył im jeszcze... jedną łaskę... » A wahał się z powiedzeniem jaką. Myśleliśmy, że to miało być jakieś złagodzenie kary, jak zwolnienie od trudu przymusowych robót, pozwolenie na jaką książkę dodatkową, żywność mniej wstrętą: « Ależ rzekł, nie rozumieją panowie? — Nie, panie, prosimy powiedzieć nam, jaka to łaska? — Wolność dla panów obu i dla trzeciego, którego nie długo uściskają panowie ».

Zdawało by się, że taka wiadomość powinna wywołać wybuch radości. Tymczasem myśl nasza natychmiast pobiegła do naszych rodziców, od których już tak dawno nie mieliśmy

wiadomości i przypuszczenie, że ich już może więcej nie zastaniemy na ziemi, tak nas przejęło, że unicestwiło radość, jaka wzniecić mogła doniesienie o naszym uwolnieniu. « Oniemiełście panowie? » rzekł naczelnik policyi. A ja spodziewałem się, że obaczę waszą radość. — Proszę pana uwiadomić Cesarza o naszej wdzięczności; ale nie wiedząc o naszych rodzinach, nie podobna nam nie obawiać się, że nam ubyły najdroższe osoby. Ta niepewność nas gnębi w chwili, która powinna być pełną radości. » Na to wręczył Maroncellemu list od brata, który go uspokoił. Mnie powiedział, że nie wie o mojej rodzinie. A to jeszcze większą mnie obawą nappełniło, że jakieś tam zaszło nieszczęście: « Wróćcie, panowie, do waszej stancyi, a za chwilę poszlę wam tego trzeciego, którego ułaskawiono ».

Poszliśmy z niepokojem, oczekując tego trzeciego. Bylibyśmy chcieli, żeby to byli wszyscy, ale miał być tylko jeden. Oby to był biedny stary Munari! Oby ten! oby tamten! Nie było ani jednego, któremu byśmy tego nie życzyli!

Nareszcie otwierają się drzwi i widzimy, że tym towarzyszem był pan Andrea Tonelli z Brescii.

Uściskaliśmy się. Obiadu jużesmy jeść nie mogli.

Rozmawialiśmy do wieczora, ubolewając nad przyjaciółmi, którzy zostają.

O zachodzie słońca wrócił naczelnik policyi, by nas wydobyć z tego nieszczęśliwego miejsca. Serca nam ścisnęły się, gdyśmy przechodzili przed drzwiami wszystkich tych drogich, nie mogąc ich ze sobą zabrać! Któż wie, jak długo jeszcze tu zamierać będą? Któż wie, iluż z nich stanie się tutaj pastwą powolnej śmierci?

Zarzucono każdemu z nas płaszcz żołnierski na ramiona i czapkę na głowę, i tak w ubraniach kryminalistów, ale bez kajdan, zeszlismy z tej nieszczęsnej góry; zaprowadzono nas do miasta, do więzień policyjnych.

Światło księżyca było wspaniałe. Ulice, domy, ludzie, wszystko mi się wydawało takie miłe, takie dziwne, po tyloletnim pozbawieniu takiego widoku.

XCII

Czekaliśmy w więzieniach policyjnych na komisarza cesarskiego, który miał przybyć z Wiednia, by nam towarzyszyć do granicy. Tymczasem, ponieważ nasze rzeczy zostały sprzedane, kupiliśmy sobie bieliznę i odzienie i zdjęliśmy więzienną liberyę.

Po pięciu dniach przybył komisarz; naczelnik policyi oddał nas jemu i wręczył mu zarazem pieniądze, któreśmy przywieźli ze sobą na Spielberg i to co wpłynęło ze sprzedaży naszych kuferków i książek. Te pieniądze zwrócono nam na granicy.

Nasza podróż odbyła się kosztem Cesarza bez zbytej oszczędności. Komisarzem był pan Von Noe, urzędnik policyi. Nie mogli nam przeznaczyć człowieka lepiej wychowanego, zawsze się z nami obchodził z największymi względami.

Gdy wyjeżdżałem z Berna z trudnością oddychałem, a ruch powozu tak ten stan pogorszył, że wieczorem dusiłem się strasznie i myślałem, że lada chwila się uduszę. Miałem przy tem gwałtowną gorączkę przez całą noc i komisarz nie był pewny następnego rana, czy mogę odbyć dalszą drogę do Wiednia. Powiedziałem, że mogę jechać i pojechaliśmy; gwałtowność bólu była niezmierna. Nie mogłem ani jeść, ani pić, ani mówić.

Dojechałem do Wiednia na półżywy. Dano nam dobre umieszczenie w gmachu Dyrekcyi policyi. Do łóżka mnie położono, posłano po lekarza; ten mi przepisał puszczenie krwi i to mi ulżyło. Ścisła dyeta, dużo dygitaliny stanowiły moją kuracyę; wyzdrowiałem. Lekarzem był pan Singer; miał prawdziwie przyjacielskie o mnie staranie.

Niezmierne mi było pilno wyjechać, tem bardziej, że doszły nas wiadomości o trzydniówce paryskiej (1).

W sam dzień wybuchu rewolucyi Cesarz podpisał wyrok naszego wyzwolenia! Z pewnością nie byłby go teraz odwołał. Ale możliwą była w czasach tak krytycznych dla całej Europy obawa rozruchów ludowych i we Włoszech, a wskutek tego Austria mogła w tej chwili nie chcieć nas puścić z powrotem do Ojczyzny. Byliśmy pewni, że nas nie odeszła do Spielbergu; ale baliśmy się bardzo, by kto niedoradził Cesarzowi wywiezienia nas do jakiego miasta dalekiego od naszego półwyspu.

Starłem się okazywać zdrowszym, niż byłem w istocie, i prosiłem o przyspieszenie wyjazdu. Tymczasem gorąco pragnąłem przedstawić się u J. E. Hr. di Pralormo, posłowi dworu Turyńskiego na dworze Austriackim, bo wiedziałem, ile mu miałem do zawdzięczenia. On się przyłożył ze szlachetną wytrwałą troskliwością do otrzymania mego wyzwolenia. Ale zakaz dany, bym z nikim nie rozmawiał, nie dopuszczał wyjątku.

Skoro zacząłem powracać do zdrowia, uprzejmie nam pożyczono powozu do przejeżdżania się po Wiedniu. Komisarz był obowiązany z nami jeździć i nie dopuszczać do rozmowy z kimkolwiek. Widzieliśmy piękny kościół ś. Szczepana, śliczne przechadzki miejskie, willę Lichtenstein, a nareszcie willę cesarską Schœnbrunn.

W chwili kiedyśmy przejeżdżali przez wspaniałe aleje tego parku, nadjeżdżał Cesarz; komisarz nakazał nam zwrócić w inną stronę, gdyż widok naszych wynędzniałych osób mógłby go zasmucić.

(1) Rewolucja lipcowa (27–28-29) 1830.

XCIII

Wyjechaliśmy ostatecznie z Wiednia i utrzymałem się jako tako aż do Bruch. Tam moja astma przybrała groźny pozór. Zawołano lekarza, był to pewien pan Judmann, człowiek wielkiej wartości; kazał mi krew puścić, położyć się do łóżka i digitalinę zażywać. Po dwóch dniach zacząłem nalegać na dalszą jazdę.

Przejechaliśmy Austryę i Styryę i wjechali do Karyntyi bez nowych przygód, ale gdyśmy dojechali do wsi Feldkirchen, bliskiej Celowca, doszło nas odwołanie rozkazu. Polecono tam się zatrzymać do dalszego rozporządzenia.

Można sobie wystawić, jak to przykro było dla nas. Ja się jeszcze martwiłem, że byłem powodem szkody dla moich dwóch towarzyszy; jeżeli nie mogli powrócić do ojczyzny, moja nieszczęsna choroba, była tego przyczyną.

Przepędziliśmy pięć dni w Feldkirchen. Komisarz czynił tam co tylko mógł dla naszej rozrywki. Był tam teatrzyk, zaprowadził nas do niego. Cały dzień jeden poświęcił na polowanie. Nasz gospodarz i kilku z młodzieży miejscowej z właścicielem pięknego lasu byli myśliwymi, a nas jako widzów umieszczono odpowiednio.

Nareszcie nadjechała sztafeta z Wiednia z rozkazem do komisarza, żeby nas odwiózł na miejsce przeznaczenia. Cieszyłem się wraz z towarzyszami z tej szczęśliwej wiadomości, ale jednocześnie truchlałem, że się przybliża dla mnie dzień okropnego odkrycia; że może już straciłem Ojca, Matkę i kto wie kogo jeszcze z moich ukochanych!

I smutek mój się wzmaczał w miarę jak się zbliżałem do Włoch.

Od tej strony, wejście do Włoch nie jest rozkoszne dla

oka, a przedtem zjeżdżaliśmy z wspaniałych gór niemieckiego kraju do płaszczyzn włoskich długą, nudną, nieprzyjemną drogą. Podróżni, którzy jeszcze nie znają naszego półwyspu, a tamtędy wjeżdżają, śmieją się z wyobrażenia wspaniałego, jaki sobie o nim tworzyli i posądzają, że byli oszukani przez tych, którzy go wychwalali.

Brzydota tej ziemi jeszcze się przyczyniała do powiększenia mego smutku. Widok naszego nieba, twarze o rysach nie północnych, dźwięk naszej mowy rozrzewniały mnie; ale to wzruszenie skłaniało mnie bardziej do płaczu, niż do radości. Ilekroć w powozie przykrywałem sobie twarz rękami, udając, że śpię a płakałem! Jakże często przez noc całą nie zamknąłem oka, a paliła mnie gorączka, albo zasyłałem najgorętsze z duszy całej błogosławieństwa mojej słodkiej Italii, dziękując Bogu, że mnie jej przywrócił; już to trapiłem się, że nie miałem wiadomości z domu, snując sobie urojone biedy, już to rozmyślałem nad tem, że wnet trzeba się będzie rozłączyć z przyjacielem, który tyle mi dał dowodów braterskiej miłości.

O, tyle długich lat w grobie nie zgasiło siły uczuć moich. Ale tej siły jakże mało było dla radości, a jakże wiele dla cierpienia.

Jakżebych chciał wrócić do Udine i raz jeszcze zobaczyć tę gospodę, gdzie owi dwaj pocziwcy udali się ze służącymi i skrycie rękę nam uścisnęli.

Pozostawiliśmy to miasto na lewo i jechaliśmy dalej.

XCIV

Pordenone, Conegliano, Ospedaletto, Vicenza, Verona, Mantua, ileż to wspomnień! W pierwszej miejscowości rodził się zdolny młodzieniec, były mój przyjaciel, zabity w rzeziach moskiewskich. Do Conegliano, twierdzili stróże z « Piombi »,

odstawioną została Zanze. W Ospedaletto żona wyszła, ale już nie żyła istota anielska, a nieszczęśliwa, dla której dawno już cześć miałem, a którą dotąd czciłem. Słowem, we wszystkich tych miejscowościach napływały wspomnienia więcej lub mniej drogie, a w Mantui więcej niż w jakimkolwiek innem mieście. Zdawało mi się, że to było wczoraj, gdy tam był Ludwikiem w 1815. Zdawało mi się, że to wczoraj, gdy tam był Porro w 1820. Ulice te same, place te same, pałace te same, a-jakież zmiany w społeczeństwie! Iluż to znajomych moich śmierć zabrała! Iluż wygnano! Zastęp młodzieży, którą dziećmi znałem! I nie móżdż pobiedz do tego lub owego domu! I nie móżdż o tem lub o owem pomówić z nikim!

A na domiar udręczenia w Mantui mieliśmy się z Maroncellim rozstać! Przebyliśmy obaj dwie smutne noce. Byłem wzburzony, jak człowiek, który ma nazajutrz wysłuchać na siebie wyroku.

Rano obmyłem sobie twarz i popatrzałem w zwierciadło, czy jeszcze poznać można, żem płakał. Starałem się przybrać wyraz twarzy spokojny i uśmiechać się; krótką odmówiłem modlitwę, ale przyznać muszę, że byłem roztargniony; słysząc, że Maroncelli już porusza swe kule i mówi ze służącym, poszedłem go uściskać. Zdawaliśmy się obaj pełni odwagi wobec tego rozłączenia. Mówiliśmy do siebie troszkę wzruszeni; ale silnym głosem. Oficer żandarmeryi, który go miał odprowadzić do granic Romanii, już czeka; trzeba jechać; nie wiedzieliśmy co sobie powiedzieć: uścisk, pocałunek, jeszcze jeden uścisk. Wsiadł do powozu i znikł. A ja pozostałem zgębiony.

Wróciłem do mojego pokoju, padłem na kolana i modliłem się za tego nieszczęśliwego kalekę, rozłączonego z przyjacielem i zalałem się łzami.

Wielu znałem ludzi dobrych, ale nigdy żadnego bardziej serdecznie towarzyskiego, jak Maroncelli, żadnego lepiej

wychowanego, bardziej uprzejmego, niedostępnego napadom złości, stale pamiętającego, że cnota składa się z ciągłych ćwiczeń cierpliwości, miłosierdzia i roztropności. O towarzyszu mój tylu lat niedoli, niechaj cię niebo błogosławi gdziekolwiek oddychać będziesz, niechaj ci da przyjaciół, którzy by mi dorównali w miłości ku tobie, a przewyższyli mnie w dobroci.

XCV

Tego samego poranka wyjechałem z Mantui do Brescii. Tu uwolniony został mój drugi towarzysz niewoli, Andrea Torelli. Ten biedak tam się dowiedział o stracie matki, jego boleść i łzy serce mi rozdzierały.

Mimo udręczenia, do którego miałem tyle powodów, następujący wypadek pobudził mnie do śmiechu.

Na stole w oberży leżało zawiadomienie teatralne. Biorę i czytam: Francesca da Rimini, opera z muzyką i t. d.: « Kto tę operę napisał? pytam posługacza. — Kto ułożył wiersze, kto napisał muzykę, tego, odpowiedział, nie wiem, ale ostatecznie to zawsze ta sama Francesca da Rimini, którą wszyscy znają. — Wszyscy? Mylisz się, przyjeżdżam z Niemiec, cóż mogę wiedzieć o waszych Franciszkach? »

Posługacz, młody chłopiec, o pogardliwej twarzy, prawdziwie bresciańskiej, spojrział na mnie z lekceważącą litością: « Zkąd pan masz wiedzieć? Wszak tu nie chodzi o Franciszki, jest mowa o jednej i jedynej Francesca da Rimini, tragedyi pana Silvio Pellico, z której zrobiono operę, trochę ją psując, ale to jednak zawsze ta sama. — O! Silvio Pellico! zdaje mi się, słyszałem to nazwisko. Nie jest to ten niecny łotr, którego skazano na śmierć, a potem na ciężkie więzienie ośm czy dziewięć lat temu? »

Bodajbym nie był zażartował! Chłopiec obejrzał się dokoła, a potem spojrział na mnie, zgrzytając swemi trzydziestu dwoma zębami, i gdyby nie był usłyszał jakiegoś hałasu, zdaje mi się, że byłby mnie zatłukł.

Poszedł sobie coś mruczając: « Niecny łotr! » Ale zanim wyjechałem, odkrył kim jestem. Nie mógł już o nic pytać, na nic odpowiadać, ani usłużyć, ani chodzić. Nic już innego czynić nie umiał, tylko oczy we mnie wlepić, ręce zacierać i mówić wszystkim bez powodu: « A to ci, a to ci... » jakgdyby miał kichać.

Dwa dni później, dnia 9 Września dojechaliśmy z Komisarem do Mediolanu; zbliżając się do tej stolicy i widząc kopułę katedry, przejeżdżając Aleą Loretańską, miejscem, niegdyś ulubionych przechadzek moich i wjeżdżając na powrót przez porta Orientale i znajdując się na Corso, oglądając na nowo te domy, te świątynie, te ulice, doznawałem najśrodszych a zarazem najdotkliwszych uczuć: namiętne pragnienie zatrzymania się przez pewien czas w Medyolanie i uściskania przyjaciół, których bym mógł jeszcze zastać: niezmierny żal na myśl o tych, co zostali jeszcze w Spielbergu, o tych, co są na wygnaniu, o zmarłych; żywa wdzięczność za miłość świadczoną mi powszechnie w Medyolanie, trochę gniewu na kilku tych, którzy mnie szkalowali, mimo że zawsze miałem dla nich poważanie i życzliwość.

Zamieszkaliśmy w oberży Bella Venezia. Tyle razy uczestniczyłem tam w przyjacielskich biesiadach; tam odwiedzałem tylu znakomitych cudzoziemców, tam pewna poważna pani prosiła mnie, acz na próżno, żebym z nią pojechał do Toscanii, przewidując nieszczęścia, które na mnie spadną, jeżeli zostanę w Medyolanie. Jakież to wzruszające wspomnienie! Przeszły tak przeplatane radością i smutkiem, a tak szybko minęły! Służba oberży wnet odkryła kim jestem, wiadomość o tem się

rozeszła, dużo ludzi zatrzymywało się na rynku, wpatrując się w okna. Ktoś, nie wiem, kto to był, zdawało się, że mnie poznaje, uklonił mi się, wznosząc obie ręce.

Ale gdzież są synowie mojego Porro, moi to synowie? Czemu ich nie widzę?

XCVI

Komisarz zaprowadził mnie na policję, by mnie przedstawić dyrektorowi. Co za wzruszenie na widok tego domu, mego pierwszego więzienia! Ileż frasunków przywiódł mi na pamięć! Wspominam z czułością o tobie, Melchiorze Gioja, i o twoich pośpiesznych krokach tam i napowrót w tych ciasnych murach i o godzinach, które spędzałem nieruchomo przy stoliczku, spisując twoje szlachetne myśli i o znakach, któreś mi chustką czynił, i o smutku z jakim się we mnie wpatrywałeś, kiedy ci zakazano dawać mi znaki; wystawiałem sobie, że twój grób może nie znany wielu tym, co cię kochali, tak jak i mnie był nieznany! Modliłem się o spoczynek dla twojej duszy.

Przypomniały mi się także mały niemowa i przenikający głos Magdaleny, moje bicie serca ze współczucia dla niej, złodzieje, moi sąsiedzi, mniemany Ludwik XVII, biedny więzień, przy którym chwycono kartkę, a który potem, jak mi się zdaje, krzyczał pod kijami.

Te i inne wspomnienia gnębiły mnie jak zmory, ale najwięcej gnębiło mnie wspomnienie o odwiedzinach mego biednego Ojca, dziesięć lat temu. Jakże się łudził ten drogi starzec, ufając, że wnet będę mógł powrócić do niego, do Turynu! Czy byłby zniósł myśl dziesięcio-letniego więzienia syna, i to takiego więzienia! Ale kiedy złudzenie jego spełzło, czy miał, czy matka moja miała siłę zniesienia takiej boleści? Czy danem

mi będzie widzieć ich jeszcze oboje? A może tylko jedno z nich? I które?

O, wątpliwości która tak strasnie dręczy, a wciąż powraca! Byłem jakoby u drzwi rodzicielskiego domu, a nie wiedziałem, czy rodzice moi przy życiu; ani czy żyje jeszcze ktokolwiek z mojej rodziny?

Naczelnik policyi przyjął mnie uprzejmie i zezwolił, bym zamieszkał w Bella Venezia z komisarzem cesarskim, zamiast bym był pod strażą gdzieindziej. Nie zezwolono mi jednak pokazywać się komukolwiek. Wobec tego postanowiłem wyjechać nazajutrz rano. Otrzymałem tylko upoważnienie widzenia się z konsulem piemonckim, by go zapytać o moją rodzinę. Byłbym poszedł do niego, ale febra mnie znówu schwyciła; zmuszony położyć się do łóżka, kazałem go prosić by do mnie przyszedł. Był tak uprzejmy, że nie dał na siebie czekać. O jakże byłem mu wdzięczny!

Dał mi dobre nowiny o Ojcu i o najstarszym bracie. Co do Matki, drugiego brata i siostr, zostałem w srogim niepokoju.

W części zaspokojony, ale nie dostatecznie, byłbym chciał przedłużyć rozmowę z konsulem, by podźwignąć się na duchu. On nie skąpił swej uprzejmości, jednak musiał odejść.

Zostawszy sam, byłbym chciał się wypłakać, ale też nie miałem. Czemu czasami boleść sprawia, że nie mogę powstrzymać się od płaczu, a kiedy indziej i to najczęściej, kiedy mi się wydaje, że płacz sprawiłby mi najśłodsza ulgę, wzywam go napróżno? To niepodobieństwo ulżenia zgryzocie powiększyło moją gorączkę; głowa mnie bardzo bolała.

Prosiłem Stundbergera, by mi się dał napić. Ten poczciwy człowiek, były podoficer policyi wiedeńskiej, pełnił przy komisarzu obowiązki służącego. Nie był starym, ale zdarzyło się, że mi podał szklankę trzęsącą ręką. To trzęsienie ręki przypomniało mi Schillera, mego kochanego Schillera, kiedy w dzień mojego

przyjazdu do Spielberga, prosiłem go z wyniosłą pychą o dzban wody, a on mi go podał.

Dziwna rzecz! To przypomnienie wraz z innemi przebiło skalę mego serca i łzy popłynęły.

XCVII

Zrana, 10 Września 1830 uściskałem pocziwego komisarza i odjechałem. Znaliśmy się dopiero od miesiąca, a zdawał mi się przyjacielem wieloletnim. Dusza jego była pełna poczucia piękna i uczciwości, nie był podstępny, ani przebiegły, nie dlatego by mu brakło rozumu, ale przez zamiłowanie szlachetnej prostoty, właściwej ludziom prawym.

W czasie podróży, na popasie, ktoś mi tajemnie powiedział: « Miej się na ostrożności z tym aniołem stróżem; gdyby nie należał do tych czarnych, nie byliby ci go dali. — Mylisz się, powiedziałem; mam mocne przekonanie, że się mylisz. — Najchytrzejsi, rzecz tamten, są ci, którzy się wydają najprostoduszniejsi. — Gdyby tak było, nie trzeba by nigdy wierzyć w niczyją cnotę. — Są stanowiska społeczne, na których można otrzymać wytworne wychowanie co do sposobu zachowywania się, ale nie co do cnoty! nie co do cnoty! nie co do cnoty! »

Nie mogłem mu odpowiedzieć inaczej, jak tylko: « Przesada, mój panie, przesada! — Jestem logiczny, nalegał tamten. »

Ale przerwano nam. I przypomniało mi się Leibnitza: « Strzeż się następstw ».

Zbyt wielu ludzi rozumuje według tej fałszywej i nieprzełaganej logiki: « Ja idę za sztandarem A, o którym jestem pewien, że służy sprawiedliwości. Drugi zaciąga się pod sztandar B, o którym jestem równie pewien, że służy niesprawiedliwości. A zatem, on jest niegodziwcem. »

Nie tak, zaciekli logicy, do jakiegokolwiek sztandaru należycie, nie rozumujcie w sposób tak nie ludzki! Zważcie, że wychodząc z jakiejś danej niekorzystnej (a gdzież jest społeczeństwo, albo jednostka, które by takich nie miały?) i postępując z zajądłą ścisłością z następstwa w następstwo, łatwo komubądź dojść do tego wyniku, że « Poza nami czterema wszyscy śmiertelni zasługują, by ich żywcem spalono. » A przy ściślejszem badaniu, każdy z tych czterech powie: « Wszysey śmiertelni zasługują na spalenie żywcem z wyjątkiem mnie. »

Ta pospolita surowość jest do najwyższego stopnia niefilozoficzna. Umiarkowana nieufność może być mądrą, nieufność za daleko posunięta nigdy.

Po ostrzeżeniu danem mi o tym aniele stróżu, baczniejszą na niego zwracałem uwagę i z dniem każdym bardziej się przekonywałem o jego nieszkodliwym i szlachetnem usposobieniu.

W społeczeństwie, w którym panuje mniej więcej porządek, wszystkie urzędy społeczne, których sumienie publiczne nie piętnuje, jako niegodne, wszystkie urzędy społeczne, które obiecuja przyczynić się szlachetnie do dobra publicznego i które to obietnice wzbudzają wiarę wielkiej ilości ludzi, wszystkie urzędy społeczne, o których śmiesznością byłoby zaprzeczać, że były zajmowane przez ludzi zacnych, mogą zawsze zajmowane być przez zacnych ludzi.

Czytałem o jakimś kwakierze, który nienawidził żołnierzy. Zobaczywszy żołnierza, rzucającego się do Tamizy dla uratowania nieszczęśliwego topiącego się, powiedział: « Zostanę zawsze kwakrem, ale i żołnierze bywają pocziwymi ludźmi ».

XCVIII

Stunberger towarzyszył mi do samego powozu, do którego wsiałem z podoficerem żandarmeryi, któremu mnie powierzono. Deszcz padał i zimny wiatr powiewał: « Niech się pan dobrze zawinie płaszczem, mówił mi Stundberger, okryj pan głowę. Staraj się nie przyjechać do domu chory; niewiele panu potrzeba, by się zaziębić? Jakże mi żal, że nie mogę panu służyć aż do Turynu. »

A to wszystko mówił mi tak serdecznie i głosem wzruszonym: « Odtąd, dodał, prawdopodobnie nie będziesz pan nigdy miał do czynienia z żadnym Niemcem, już nigdy nie usłyszysz tego języka, który się Włochom wydaje tak twardym. Ale to prawdopodobnie nie wiele będzie pana obchodzić. Wśród Niemców tyłeś pan przecierpiał, że nie będziesz skłonny do pamiętania o nas. A nie mniej ja, którego nazwisko wnet pan zapomnisz, ja zawsze się za pana modlić będę. » — A ja za ciebie, powiedziałem, podając mu rękę po raz ostatni.

Pocziwiec krzyknął jeszcze: « Szczęśliwej podróży! dobrego zdrowia! » Były to ostatnie wyrazy niemieckie, które mnie doleciały i tak miło mi brzmiały, jak gdyby w moim języku były wypowiedziane.

Namiętnie kocham moją Ojczyznę! ale nie mam nienawiści do żadnego innego narodu. Uprzejmość, dobrobyt, potęga, chwała, są różne u różnych narodów, ale wszystkim wspólne jest wielkie posłannictwo ludzkości: kochać, współczuć, radować się.

Podoficer, mój towarzysz, opowiedział mi, że był jednym z tych, którzy aresztowali mojego nieszczęsnego Confalonieri. Mówił mi, jak ten próbował uciec, jak mu się sztuka nie udała, jak wyrwany z objęć żony, Confalonieri i ona, wzruszeni byli, ale z godnością znieśli nieszczęście.

Pałała mnie gorączka podczas tego smutnego opowiadania, a zdawało mi się, że mnie żelazna ręka serce ściska.

Człek nie zły zresztą i rozmawiający ze swobodą towarzyską, nie zdawał sobie sprawy z tego, że chociaż nic nie miałem przeciwko niemu, nie mogłem nie wzdrygać się na widok tych rąk, które chwytaly mego przyjaciela.

On w Buffalora śniadał; ja zbyt byłem wzburzony, nic nie jadłem.

Raz za dawnych lat, gdym w Arluno bawił z synami hr. Porro, zachodziłem czasami do Buffalora wzdłuż Ticinia.

Ucieszyłem się na widok ukończonego pięknego mostu, do budowy którego materiały widziałem rozrzucone na brzegu lombardzkim, sądząc jak wszyscy wówczas, że się takiego dzieła już nie dokona. Radowałem się, że mogłem przebyć na nowo tę rzekę i na nowo dotknąć się ziemi piemonckiej. Chociaż wszystkie narody kocham, Bogu wiadomo, jak szczególnie miłuję Włochy; a choć tak jestem przywiązany do Włoch, Bogu też wiadomo, jak ponad wszelkiego włoskiego kraju nazwy, miłszą mi jest nazwa Piemontu, kraju ojców moich.

XCIX

Na przeciw Buffalora jest San Martino. Tu podoficer lombardski pomówił z żandarmami piemonckimi, poczem mi się uklonił i wrócił przez most.

« Jedziemy do Nowary », mówię do woźnicy. — « Bądź pan łaskaw poczekać chwilę », powiada jeden z żandarmów.

Widzę, że jeszcze nie wolny i trapię się, obawiając się, by się znowu nie opóźnił przyjazd do rodzicielskiego domu.

Po kwadransie zjawia się jakiś pan, który mnie prosi o pozwolenie zabrania się ze mną. Stracił on inną sposobność, a teraz

już nie ma innego powozu, jak mój; bardzo by szczęśliwy był, gdybym pozwolił mu z niego skorzystać, i t. d.

Ten przebrany żandarm, o uprzejmem usposobieniu, dotrzymał mi towarzystwa aż do Nowary. Gdyśmy do tego miasta dojechali, udając, że chce zajechać do oberży, skierował powóz do koszar żandarmeryi, gdzie mi powiedziano, że jest dla mnie łóżko w pokoju podoficera i że czekać muszę na rozkazy wyższe.

Myślałem, że będę mógł odjechać nazajutrz. Położyłem się do łóżka i po krótkiej gawędzie z gospodarzem podoficerem, zasnąłem twardo. Oddawna tak dobrze nie spałem.

Obudziłem się nad ranem, zerwałem się prędko; pierwsze godziny wydały mi się długie. Zjadłem śniadanie, pogawędziłem, przechadzałem się po pokoju i po kruzganku, popatrzałem na książki mojego gospodarza; wreszcie oznajmiono mi wizytę.

Jakiś grzeczny oficer przyniósł mi wiadomości o ojcu i powiedział, że jest w Nowarze dla mnie list, który mi zaraz przyniosą. Nadzwyczajnie mu byłem wdzięczny za uprzejmość.

Zeszło kilka godzin, które mi się wydały wieczne i wreszcie zjawił się list.

O, co za radość na widok tego drogiego pisma; co za radość na wiadomość, że moja matka żyje, że żyją moi bracia i starsza siostra. Niestety, młodsza, ta Marietta, która została zakonnica wizytką, o czem mnie wieść skrycie w więzieniu doszła, żyć przestała przed dziewięciu miesiącami.

Miło mi wierzyć, że wolność zawdzięczam tym wszystkim, którzy mnie kochali i bezustannie się za mnie u Boga wstawiali, a szczególnie siostrze, która zmarła wśród oznak najwyższej pobożności. Bóg jej wynagrodzi wszystkie udręczenia, które serce jej przecierpiało z powodu moich nieszczęść.

Dnie mijały, a pozwolenie, opuszczenia Nowary nie nadchodziło. Wreszcie rano, 16 września dano mi to pozwolenie i

ustała wszelka opieka żandarmiska. Od iluż to lat nie było mi się zdarzyło, bym szedł, gdzie mi się podobało, bez towarzystwa dozorców.

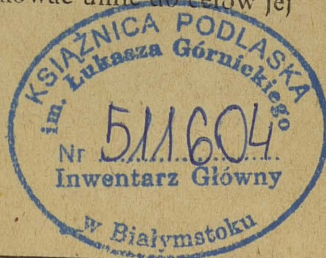
Otrzymałem trochę pieniędzy, przywitała mnie uprzejmie osoba mojemu ojcu znana i odjechałem około trzeciej popołudniu. Byli mi towarzyszami podróży jakaś pani, kupiec, rzeźbiarz i dwaj młodzi malarze, z których jeden był głuchoniemym. Ci malarze wracali z Rzymu; miło mi się było dowiedzieć, że znali rodzinę Maroncelli. Jakże przyjemnie móż mówić o tych, których kochamy, z takim, któremu nie są obojętni.

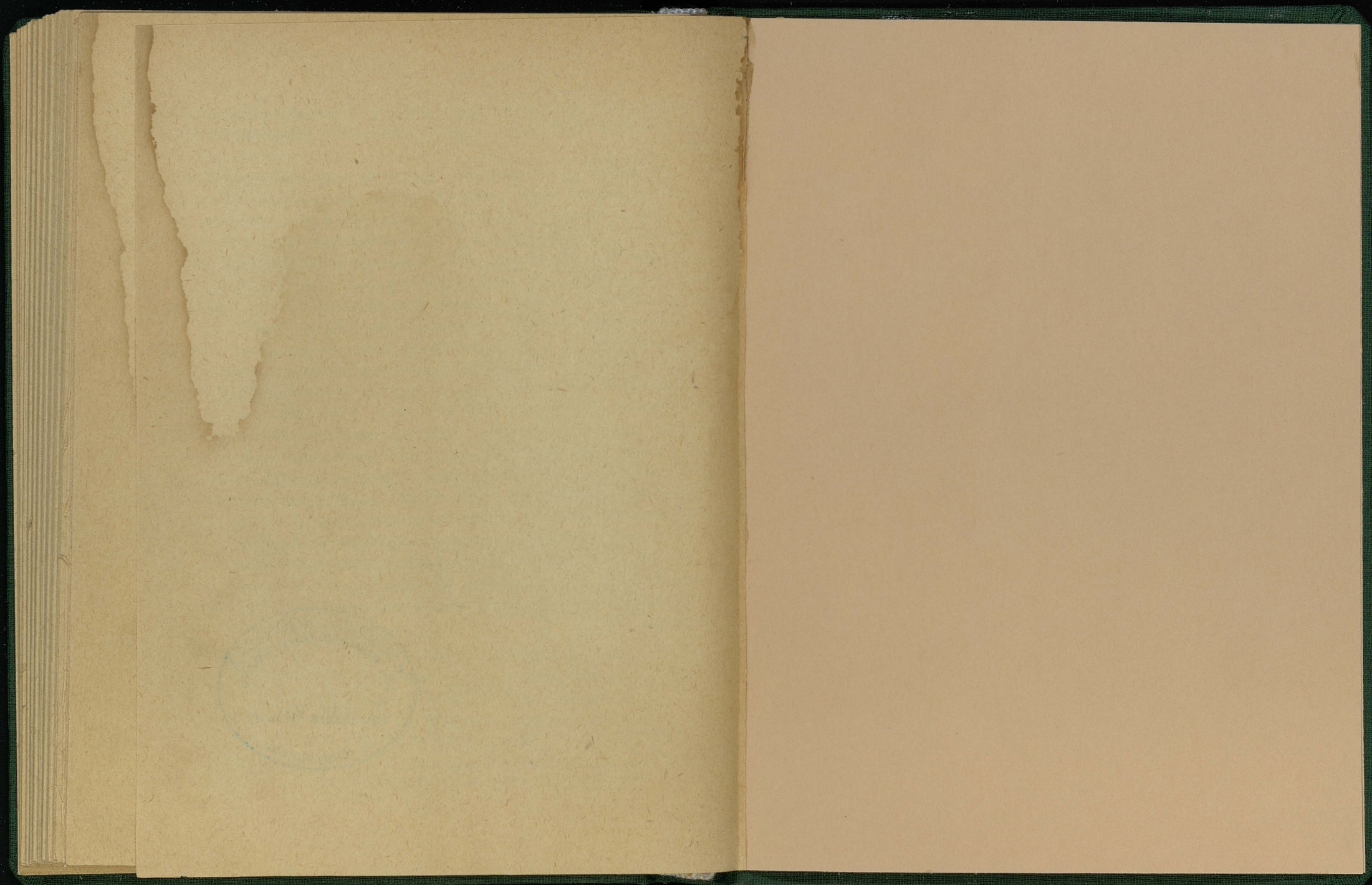
Nocowaliśmy w Vercelli. Zaświtał szczęśliwy dzień 17 września, puściliśmy się w dalszą podróż. O, jakże powozy wolno chodzą! Do Turynu zajechaliśmy dopiero wieczorem.

Któż opisze uciechę serca mego, i serca mych ukochanych, gdy znowu zobaczył i uściskał ojca, matkę, braci? Nie było drogiej mojej siostry Józefy, którą obowiązki trzymały w Chierri; ale, dowiedziawszy się o szczęściu mojem, zbierała się do przyjechania na kilka dni do rodziny. Zwrócony tym pięciu najdroższym przedmiotom mojej miłości, byłem i jestem ze wszystkich śmiertelników najbardziej godzien zazdrości.

O, za przebyte niedole, za radość obecną, jak za wszystko dobre i złe, jakie mi przeznaczono, niechaj będzie chwała opatrności, której ludzie i sprawy, czy chcą, czy nie chcą, są cudownymi narzędziami; Ona je zużytkować umie do celów jej godnych.

KONIEC







511 604

Kol.: 2 bibl. W.i P
Śliwowski

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0519678